

The background of the cover is a soft-focus winter scene. It features snow-covered trees and a person walking through a snowy field. The person is silhouetted against the bright, hazy background. The overall color palette is light blue and white, with a bokeh effect of light spots.

ZIMOWA EWANGELIA

BRENDAN KIELY



Brendan Kiely

Zimowa ewangelia

Przełożył z języka angielskiego
Tomasz Mucha



WYDAWNICTWO
SONA ORAGA

Tytuł oryginału:
THE GOSPEL OF WINTER
Copyright © 2014 by Brendan Kiely
Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Marta Wenda

Redakcja: Anna Kurzyca / e-DYTOR
Korekta: Monika Wójtowicz, Iwona Huchla / e-DYTOR

Skład i łamanie: Małgorzata Wieczorek / e-DYTOR

ISBN: 978-83-7999-684-1

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadrage.pl
www.soniadrage.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

*Dla Jessie, która powiedziała:
„A co jeśli?”*

*Pytanie nie brzmi, „w co mam wierzyć?”,
lecz „co mam zrobić?”*

Søren Kierkegaard

Aby opowiedzieć wam o tym, co się wydarzyło, a czego nie usłyszeliście od dziennikarzy, muszę zacząć od dorocznego przyjęcia bożonarodzeniowego mamy. Swoje zasługi w produkcji tego spektaklu miał sam wszechświat, bo dwa dni wcześniej przez nasz zakątek Connecticut przetoczyła się zamieć śnieżna. Mama była wniebowzięta. Lampki w oknach, stroiki na drzwiach, malownicze zasy piętujące się przed domem – wszystko wyglądało „przecudnie”, jak powiedzieliby jej przyjaciele. W górę serca! Dobór naturalny w opinii mojej matki polegał na przetrwaniu najweselszych osobników. Teraz planowała zaaplikować wszystkim swoje słodkie świąteczne panaceum. Mieliśmy przyjąć półtorej setki gości, nie zważając na fakt, że chociaż na październikowych zaproszeniach wytłoczono imiona obojga moich rodziców, w tej chwili Donovan Senior siedział w Europie, jak zresztą przez większość roku. Tym razem w dodatku wyjechał tam na stałe.

Nigdy nie było mi wolno wchodzić do biura Seniora, ale skoro nie był już w domu, przekształciłem je w swój gabinet. Pomędzy jego książkami i pamiątkami z całego świata usiłowałem znaleźć dość mądrości, by zapchać rosnącą wewnątrz mnie pustkę. Gdyby nie przyjęcie, spędziłbym w gabinecie całą noc, czytając *Frankensteina* na zajęcia z panem Weinsteinem. Skoro jednak mama szykowała się już na przyjęcie, stwierdziłem, że to pieprze. Jeśli miałem przetrwać najbliższe godziny, potrzebowałem czegoś na rozruch.

Zamknąłem drzwi na klucz i zasiadłem na obrotowym krześle przy biurku. Jedyne światło w pomieszczeniu pochodziło ze świecących girland, którymi obwieszono były krzaki na zewnątrz. Przez chwilę siedziałem w półmroku, wsłuchując się w krzątanie personelu szykującego przyjęcie. W końcu włączyłem niewielką lampkę do czytania, żeby sprawniej zrobić to, co zamierzałem. Biurkowy kalendarz zatrzymał się na jakiejś dawno minionej dacie. Przynależem go do siebie i położyłem na płask. Metalowa powierzchnia lśniła w świetle żarówki. Ułożyłem na niej kilka pastylek adderallu¹. Za pomocą jednego z masywnych piór Seniora pokruszyłem pastylki na proszek i ułożyłem w linie. Rozkręciłem pióro i posługując się pustą rurką, wciągnąłem pierwszą kreskę.

Przebłyski myśli i wspomnień wybuchły w mojej głowie. Wyobraziłem sobie zjawę Seniora, która wychynęła z ciemności: błądą, łysą głowę, parę oczu lustrujących mnie badawczym spojrzeniem. Nachylił się ku mnie i wygłosił jedną ze swoich licznych mądrości: „Chłopcze, możesz przynależć albo do gatunku ludzi, którzy piszą historię, albo do tych, dla których jest ona pisana”.

Donovan Senior należał do tych facetów, o których czyta się w gazetach. Kiedy spotykają się oni w Davos, Pekinie czy Mumbaju, ich uścisk ręki wstrząsa światową gospodarką. „Myśl globalnie, działaj lokalnie”. Chciałem przypomnieć mu o tej zasadzie, ale brakowało okazji – ojciec miał poważne kłopoty z działalnością lokalną. Nie był w domu. Zresztą i tak nie miał w zwyczaju pytać o moje zdanie.

Wciągnąłem drugą kreskę. Zjawa usadowiła się w fotelu, odgrywając moje wspomnienie.

Donovan czytał „Barron’sa”. Skarpetki wepchnął do spoczywających na podłodze butów, a bosc stopy oparł na otomanie. Wyglądały jak pomarszczone białe roduynki schnące przed kominkiem. Pocił się i drapał po skroni. Na stoliku przy jego boku spoczywał stos gazet. Stertę tę wieńczyła niewielka popielniczka, w której pogięte niedopałki tkwiły niczym nagrobki. Na poręczy fotela stała szklanka. Sporo w niej jeszcze zostało, lecz zjawa opróżniła ją jednym haustem, przyciskając wielki nos do krawędzi szkła. Mimo to w gardle Seniora wciąż pozostawał kleisty osad. Odchrząknął. „Poszczęści ci się, jeśli w dziejach świata pozostanie po tobie choć przypis. Większość ludzi żyje życiem kompletnie pozbawionym znaczenia. Usiłuję ci pomóc”.

Skupiłem uwagę i z widziadła pozostał tylko głos w mojej głowie. Głos dość zbliżony do mojego.

– To ja tu jestem – przemówiłem w końcu w pustkę. – Właśnie tutaj.

Odpowiedziała mi cisza. Zacząłem się bać. Bałem się innych ludzi i samego siebie. Strach mnie przytłaczał, górował nade mną jak jakaś żywa, oddychająca istota. Nie wiem, jak zdołałbym go odepchnąć bez moich chemicznych wspomagaczy. Ostatnia kreska powędrowała do nosa. Wymknąłem się z gabinetu, gotów na spotkanie wieczoru.

Poręcz wielkich schodów prowadzących do holu została owinięta girlandami. W każdym pokoju kłębiła się ekipa od przyjęć. Dwóch kelnerów w smokingach rozsypywało sztuczny śnieg wokół choinki w salonie. W bibliotece barman układał w rzędy kieliszki na prowizorycznym barze stojącym przy drzwiach do kuchni. Na przyjęciach mamy co roku wymieniała się cała obsługa, lecz i tak wszyscy wiedzieli, jak sprawnie odegrać swoją rolę w tej produkcji. Podczas imprezy ta cicha armia statystów pojawiała się na dany znak i z powrotem nikała za sceną. Wraz z przybyciem pierwszych gości ja również miałem zaistnieć na teatralnych deskach, lecz na razie nikt nie zwracał na mnie uwagi.

W kuchni zastałem Elenę. Rozmawiała z kelnerami. Krzywiła się na widok rozgardiaszu, jaki robiła obsługa, lecz zobaczywszy mnie, od razu podeszła. Włożyła tę samą białą koszulę z kołnierzykiem, którą miała na sobie podczas każdego przyjęcia. Jej włosy były już upięte. Kiedy pochylilem się, by ją objąć, bałem się, że pomnę delikatne falbanki spadające kaskadą wzdłuż guzików.

– Będziesz się dziś dobrze bawił? – zapytała po hiszpańsku.

– Nie – odparłem.

Poprawiła mi kołnierzyk.

– Musisz o siebie lepiej dbać.

– Po co, skoro mam ciebie?

– Ach, *m’ijo*², przestań – burknęła. Rzecz jasna nigdy nie nazywała mnie tak przy rodzicach ani nie rozmawialiśmy przy nich po hiszpańsku. Uczyła mnie tego języka, kiedy zostawaliśmy sami. Teraz mówiłem już niemal płynnie.

Pocałowała palce i dotknęła nimi mojej twarzy. Zmrużyła oczy w uśmiechu.

– Bądź rozsądny, proszę cię.

– Spójrz na mnie – powiedziałem, wskazując marynarkę i krawat, które dobrałem pod kątem oczekiwań mamy. – Jestem gotów do roli.

Przyglądała się zmaganiom obsługi z dwoma wielkimi piecami. Wziąłem ją za rękę.

– Nie możemy schować się u ciebie? – zapytałem. – Nawet nie spostrzeże, że nas nie ma. Popatrz, ilu ludzi wynajęła. Nas nie potrzebuje.

Elena przyjrzała mi się.

– Wszystko z tobą w porządku? Masz jakieś dziwne oczy.

– To nic.

Na pewno moje białka były mocno przekrwione, ale Elena potrząsnęła tylko głową i, jak zwykle, o nic nie zapytała. Przytuliła mnie, a potem ja położyłem sobie jej dłonie na policzkach.

– Proszę. Przydasz się. Zrób to dla swojej mamy – powiedziała. Pocałowała mnie i objęła jeszcze raz, tuląc w swoich ramionach.

Stalibyśmy tak dłużej, gdyby jakiś kelner nie strącił misy z blatu. Szkło rozprysnęło się na podłodze kuchni. Elena zrobiła w tył zwrot.

– *Ay, dios mio!*³ – Spojrzała na winowajcę. – Zawsze tacy nieostrożni – wymruczała, idąc do spiżarni.

Z poczuciem spoczywającego na mnie obowiązku wybrałem się na poszukiwania mamy. Usłyszałem jej głos dochodzący z salonu.

– Nie mamy *fumé blanc*? – pytała. Mimowolnie pomyślałem, że jej głos przypomina nawoływania delfinów. – Nie mamy *fumé blanc*? – Mówiła do kogoś, kogo tylko ona była w stanie zobaczyć. Wycięcie jej szkarłatnej sukni odsłaniało niemal całe plecy.

– Chardonnay i *fumé blanc*. *Y fumé blanc*, mówiłam Elenie. *Y, y, y* – przedrzeźniała. – Nie wydajemy balu charytatywnego. To przyjęcie świąteczne. Nasze wybory świadczą o naszym poziomie. – Matka zawsze potrafiła znaleźć dziurę w całym, luźną nitkę, za którą wystarczy pociągnąć, by spruć misterny dywan. Wina było więcej, niż ktokolwiek zdołałby wypić. Pod koniec każdego przyjęcia nawet obsługa pociągała już z otwartych flaszek, wracając chwiejnym krokiem do busów, które przywoziły całą tę czeredę.

– Zamówiła je – oznajmiłem. – Barman już chłodzi parę butelek.

– Dlaczego czaisz się gdzieś za meblami? – zapytała. – Myślałam, że mi pomożesz.

– Czaję się? Przecież tu jestem. Mówię tylko, żebyś nie obwiniła wiecznie Eleny.

– Adwokat się znalazł. Ty i twoja Elena.

Oddychała teraz powoli przez nos, co na zajęciach jogi nazywało się oddechem żółwia. A może chodziło o tai-chi, zajęcia pilatesu albo jeszcze jakiś inny wynalazek?

– No dobrze – zmieniła ton. – Chcę widzieć uśmiech na twojej twarzy. Mamy przyjęcie. Przyjdą ludzie.

– Przecież się uśmiecham.

– Bez nerwów – uspokajała mnie, kładąc rękę na biodrze. – Postaraj się wyglądać jak ojciec. Nie chodź taki markotny. Jesteśmy tu wśród swoich, Aidan.

Jakoś nie przypomniałem sobie, żeby Senior obdarzał gości rok temu promiennym uśmiechem.

– Nie jestem tatą – powiedziałem.

– Nie – odparła miękko. – Ale udawaj, że jesteś. – Wyrzała przez okno i westchnęła. – Proszę. Chciałem to dla niej zrobić.

Świece migotały na parapetach i stołach. Drewno w kominku pękało wśród żaru. Wnętrze koloru kości słoniowej oświetlone było teraz pomarańczowym blaskiem. Kiedy odwróciła się z powrotem, spełniłem jej życzenie.

– Wesółych świąt.

– Widzisz? Od razu lepiej. Tego właśnie oczekują goście.

– A zatem do boju – zażartowałem.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

Kiedy zadzwonił dzwonek, matka wygładziła sukienkę w pasie i zamrugała. Nadszedł czas. Wynajęty portier poprawił muszkę i otworzył drzwi. Dotarło do mnie, że powinienem wyciągnąć ręce z kieszeni. Na razie przyszła tylko Cindy, jedna z najbliższych przyjaciółek matki. Mama pomknęła do holu i zdawało się, że znów jest na teatralnych deskach, a ostatnie dwie dekady nie odcisnęły na niej swojego piętna. We dwie przeszły do baru. Cindy z miejsca wzniosła toast.

– Za kolejne niesamowite przyjęcie Gwen! Na pohybel Jackowi i jego belgijskiej dziwce.

Chociaż obie wychowały się w jednym mieście, ich ścieżki zbiegły się dopiero wtedy, kiedy awansowały do najwyższych sfer Connecticut. Cindy miała jeszcze bardziej filigranową posturę niż mama, ale za to natura obdarzyła ją nader szerokim uśmiechem. Czasem widywałem ją razem z rodziną w kościele Najdroższej Krwi. Jej syn James uczył się w tej samej szkole średniej co ja. Był dwa lata młodszy ode mnie. Jedyne sposoby na spamiętanie zastępów znajomych matki polegały na przypisaniu ich do określonych kręgów. Na podstawie tej klasyfikacji udawało mi się zapamiętać twarze i fakty z życia niczym statystyki z kart bejsbolowych. Jednak zamiast liczb odnoszących się do rzutów czy odbić funkcjonowały tam takie kategorie, jak: Majątek, Filantropia oraz Zaliczone Przyjęcia u Donovanów.

W przypadku Cindy w tej ostatniej rubryce widniało: „wszystkie”.

Wkrótce dzwonek znów się odezwał. Podeszedłem do drzwi, przywitałem się i tak zaczął się mój dryf od jednego zdawkowego kontaktu do drugiego. Mrugałem bez ustanku, by oczy nie paliły mnie żywym ogniem. Goście odpowiadali mi swoimi widmowymi uśmiechami i szli dalej. „Dobry wieczór”, mówiłem nowo przybyłym, „dobry wieczór”. Odprowadzałem gości w głąb domu z pretensjonalnym uśmiechem, a potem osuwałem się w tę tępą pustkę, w której rozmyślałem o tanim wydaniu *Frankensteina*, które spoczywało piętro wyżej na fotelu. Wyobrażałem sobie, że budzi się tam do życia prawdziwy potwór i rozgląda się wkoło zgorzkniałymi oczyma.

Imprezowiczów przybywało szybko i poruszanie się po domu prowadziło do nieuniknionych kolizji. Goście przysysali się do swoich drinków, jakby bali się, że inaczej je rozleją. Mówili coś do mnie tym tonem, którym komplementuje się różne cudowności. Opowiadałem, jak świetnie się uczę, a oni wysyłali mnie do Yale. Żeby wspiąć się na wyższy poziom aktorstwa, niemal nabrałem tego charakterystycznego akcentu, który ma brzmieć niby brytyjsko, ale naprawdę świadczy raczej o pochodzeniu z Manhattanu. Błąkałem się po pokojach, obmyślając plan wymknięcia się z tego spoconego i rechoczącego tłumu.

Kiedy przemykałem się obok grupki skupionej przy pianinie, mając nadzieję dotrzeć do biura, pomachał do mnie jeden z dawnych współpracowników Seniora – Mike Kowolski. Pospieszył w moją stronę, balansując swoim okazałym brzuchem. Jego syn Mark szedł za nim. Gdyby nie mocno zarysowana szczęka u ojca i syna, w życiu nie pomyślałbym, że są spokrewnieni. Mark pewnie zaliczał kolejne lata szkoły ze spokojnym dystansem, który brałem za objaw znużenia. Wpadliśmy na siebie u podnóża schodów.

Mike klepnął mnie w ramię.

– Widzę, że nie obijasz się na tym przyjęciu. Kopę lat, Aidan. Aleś ty wyrósł! Od kiedy twój staruszek pozwala ci nosić takie włosy? Facet nie powinien ukrywać oczu. – Machnął palcem, pokazując Marka i mnie. – Przedstawisz go dziś paru osobom? Twój przyjaciel też potrzebuje się zahaczyć na jakiś staż.

– Jak leci, Donovan? – zagaił Mark.

Chodziliśmy do tej samej szkoły i byliśmy rówieśnikami, ale ostatni raz Mark przywitał się ze mną na sprawdzianie pływackim na początku roku. Nazwanie nas przyjaciółmi zakrawało na kpinę. Mark był jednym z kapitanów drużyny pływackiej i przed sprawdzianem miał obowiązek każdemu podać rękę. Potem daliśmy nura do wody, by udowodnić, że przepłyniemy dwie długości basenu, nie topiąc się przy tym. W myślach nazywałem go Miedzianym Chłopakiem, bo jego skóra miała przez cały rok bursztynowy odcień. Kosmyki kręconych włosów wyglądały, jakby nigdy nie rosły ani nie były strzyżone. Chodziliśmy razem do szkoły niedzielnej, ale zamieniliśmy ze sobą słowo dosłownie raz na obiedzie, który wydali nasi ojcowie. Rzecz jasna było to lata temu, zanim tata odszedł z firmy i zaczął własną działalność.

– Mark musi pogadać z kilkoma osobami – powiedział Mike. – Obowiązkowo. Przyjęcie to targi pracy. – Skinął głową synowi.

– Wiem, tato.

– Mnóstwo zależy od perspektywy, chłopcy. Traktujcie wszystko jak szansę.

Mike stuknął mnie w pierś. Mark spoglądał to na ojca, to na mnie.

– Może Aidan mógłby się mną zająć? – zapytał.

Kowolski wziął syna pod ramię.

– *Carpe diem* – rzucił Mark. – Wiem, co mam robić, ale może teraz po prostu pogadamy sobie chwilę?

– Zajmę się Markiem – powiedziałem, nadając mojemu głosowi sztuczny luz.

Mark próbował wyrwać się z uścisku ojca, jednak bez powodzenia. Mike pochylił się ku nam.

– Chodzi o koncentrację, chłopcy. To nie zabawa! Koncentracja! Kiedy zobaczycie coś, czego pragniecie, macie się na to rzucić i zdobyć, do kurwy nędzy. – Uśmiechnął się do nas i przyciągnął mnie bliżej siebie tak, że też znalazłem się w uścisku. W jego oddechu wyczułem krewetki. – Mam rację? – zapytał.

– Tak jest – odpowiedziałem.

Mark posłał mi dziękczynny uśmiech, a Mike pchnął go w kierunku grupki mężczyzn okupujących kominek w salonie. Choć się rozstąpili, robiąc miejsce dla nowo przybyłego, Mark i tak oglądał się na mnie przez gąszcz ramion. Jego niesamowicie błękitne oczy wpiły się we mnie. „Zabierz mnie stąd”, zdawały się mówić. Nie przywykłem do tego, by ktoś prosił mnie o pomoc. Mark zresztą dał się już wciągnąć w rytuał autoprezentacji, do którego zdążyłem przywyknąć na przyjęciach mamy. Na razie nie było dla niego nadziei.

„Zdejmij tę twarz” – miałem ochotę mu odpowiedzieć. To samo z chęcią powiedziałbym reszcie moich kolegów ze szkoły. Zdejmijcie te swoje plastikowe ryła, którymi bierzecie szturmem przestrzeń życiową. Zabierajcie te pieprzone uśmieszki. Rzadko zadawałem się z innymi dziećmi – co najwyżej w klubie dyskusyjnym albo na kółku szachowym. Zdarzało się też, że byłem gdzieś zaproszony na obiad albo szedłem oglądać mecz futbolu czy hokeja na trawie. Jednak nawet tam wyłącznie słuchałem, jak rozmawiają ze sobą inni – obdarzeni wrodzoną pewnością siebie. W rozmowach tych nigdy nie padały słowa „nie wiem” albo „boję się, że...”. Gadające głowy zachowywały się tak, jakby przybrane przez nie maski były prawdziwymi twarzami, jakby nic nie było w stanie wytrącić ich z równowagi i nikt inny nie był im potrzebny. Jak to ujął John Donne, którego przerabialiśmy u pana Weinsteina? „Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą”? Nie tutaj. Byliśmy archipelagiem, który śmiał nazywać się wspólnotą. Dlaczego tylko ja jeden czułem, że znajduję się wewnątrz koszmaru?

Co gorsza, dobrze wiedziałem, że inni też czasem się boją. Strach malował się na wszystkich twarzach w szkole tej jesieni, kiedy w pewien piękny wtorkowy poranek nauczyliśmy się obawiać samolotów i słowa „dżihad”. Po tym dniu strach stał się sposobem na życie. Dosięgał starych i młodych. Słyszałem, jak rozmawiają ze sobą szkolni pedagodzy: „Nie wiem, co powiem dzieciakom. Też się boję!”. Dlaczego więc miałem wrażenie, że jako jedyny poszukuję jakiejś stabilizacji? Potrzebowałem kogoś, kto dałby odpór całemu temu rozgardiaszowi i powiedział mi: „Wszystko będzie dobrze”.

Zostawiwszy Marka samemu sobie, precisiłem się do biblioteki i usiadłem na stopniu schodów, tuż przy prowizorycznym barze. „Zdejmię twarz” – miałem ochotę powiedzieć to każdemu gościowi przyjęcia z osobna. Nie byli w niczym lepsi od dzieciaków ze szkoły. Matka postanowiła, że tegoroczna impreza będzie największa i najwystawniejsza w historii. „Potrzebujemy tego. Wszyscy” – oznajmiła, a zaproszeni chyba myśleli podobnie. Było jak na filmach o meksykańskim Dniu Zmarłych albo o karnawale. Twarze miały zbyt jaskrawy makijaż albo barw dodawał im alkohol. Matka odnalazła mnie po chwili. Zdziwiłem się, że wypatrzyła mnie w zatłoczonym pokoju, ale najwyraźniej bardzo się starała. Precisiła się przez kolejkę, jaką ustawiła się do baru. Ciągnęła za sobą moje dwie koleżanki z klasy. Z jej promiennego uśmiechu wywnioskowałem, że zaprosiła je osobiście. Zapomniała tylko mi o tym powiedzieć.

Momentalnie zeszytniałem. Nawet największy frajer ze szkoły kojarzył Josie Fenton i Sophie Harrington. Wielu uważało je za szkolne celebrytki, których życie jest pasmem sukcesów. Josie umawiała się tej jesieni z chłopakiem z ostatniej klasy, ale zerwała z nim po miesiącu. Często wpatrywałem się w nią w niemej próbie zagadania. Siedziała przede mną na zajęciach z pisania dla uzdolnionych uczniów. Wyobrażałem sobie, jak przeczesuję palcami jej długie kasztanowe włosy. Pisząc, przekrzywiła głowę, przez co jej czupryna opadała na jedną stronę. Odślaniała wtedy gładki skłon szyi, który – jak sądziłem – był najwspanialszym miejscem na pocałunek. Sophie miała z kolei reputację z gatunku takich, jakie przysparzają chłopakom powodów do przechwałek. Ponieważ faceci gapili się na nią bez przerwy, nabrała dość pewności siebie, by odpowiadać twardym spojrzeniem ciemnych oczu. Jej ironiczny uśmieszek sprawiał, że wyglądała dojrzalej od reszty klasy, a przynajmniej bardziej cynicznie.

Mamie najwyraźniej wydawało się, że dziewczyny muszą przyjaźnić się ze mną w szkole, skoro ona przyjaźni się z ich rodzicami. Na jej twarzy wykwitł uśmiech, o którym wiedziałem, że lepiej nie dawać mu powodu, by zgasł.

– Zajmij się koleżankami – poleciła, zostawiając mnie w ich towarzystwie. – Ty też masz dzisiaj gości.

Josie i Sophie stanęły obok mnie, rzucając spojrzenia w tłum, jakby kogoś tam usiłowały odnaleźć. W butach na wysokim obcasie i obcisłych spódnicach wtapiały się w masę dorosłych, którzy przelewali się przez pokój. Wstałem i wytarłem dłonie o spodnie.

– Nie wiedziałem, że dzisiaj przyjdziecie – zagailem, tracąc w ten sposób jedyną okazję, żeby popisać się błyskotliwością.

– Tak jakoś wyszło w ostatniej chwili – odparła Sophie. Samotny pieg na jej bladym policzku uniósł się w uśmiechu.

– Mam nadzieję, że nie zburzyło to wam planów?

– Nie. Niespecjalnie – powiedziała Sophie. Josie uśmiechnęła się zdawkowo. Miała srebrne kolczyki z niebieskimi koralikami, które podkreślały kolor jej oczu.

– Nie skłoniła was do przyścia przekupstwem?

– Nie przesadzaj. – Josie przewróciła oczami. W jej głosie pobrzmiwało zmęczenie. – Wszyscy wiedzą, że twoja mama robi świetne imprezy. Takich zaproszeń się nie odrzuca, co nie? – Wymownie spojrzała w stronę baru. – Spójrz na ten cały alkohol.

Nawet jeśli chciała powiedzieć przez to coś innego, i tak byłem wdzięczny.

– Chcesz coś do picia? – zapytałem.

Milcząco, patrzyła w głąb holu. Sophie spojrzała na nią.

– Może dwie cole light?

– Nie – odpowiedziałem. – Mam na myśli coś mocniejszego.

– Co? – zapytała Josie. – Serio?

– W końcu to impreza, nie?

– Byłoby super – powiedziała Sophie. – Ale matka by mnie zabiła.

– Moja nie będzie mieć nic przeciwko temu – stwierdziłem. – Zwłaszcza jeśli zobaczy, że trzymamy się razem całe przyjęcie.

Zacisnęły usta i szybko wymieniły spojrzenia. Dorzuciłem więc kolejny argument:

– Mark tu jest.

– Mark Kowolski? – upewniała się Josie.

– Spróbujcie go jakoś odciągnąć od ojca. Z tego, co widziałem, kazał mu rozmawiać z jakimiś facetami w salonie.

– Misja ratunkowa, co? – domyśliła się Sophie. – Poradzimy sobie. Gdzie się spotkamy na drinka?

Wy tłumaczyłem dziewczynom, jak dotrzeć do gabinetu Seniora. Trzymając się za ręce, nawigowały wśród tłumu kłębiącego się w bibliotece. Wyglądało to jak taniec, a ponieważ ośmielało mnie domowe wnętrze, pomyślałem, że mógłbym tańczyć z nimi.

Wyprosiłem u barmana kilka butelek wody mineralnej i parę kieliszków, po czym sam, krocząc najszybciej, jak potrafiłem, zagłębiłem się w tłum. Kiedy dotarłem do gabinetu, wszyscy byli na miejscu. Josie i Sophie przechadzały się wzdłuż jednego z regałów. Wcale nie wyglądały na znudzone. Nie umilkły też, kiedy do nich podszedłem. Zdziwiłem się. Najwyraźniej nieźle się bawiły. Mark zajął miejsce przy brunatnym globusie stojącym między dwoma skórzanymi fotelami.

– Twój tata lubi czytać, co? – zagadnęła Josie. – To jego gabinet?

– „Tata”? A kto to jest? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie, stawiając butelki na biurku. Sophie rzuciła mi współczujące spojrzenie. Josie skinęła głową.

– To jeden z gatunków szefa – wyjaśnił Mark. – „Wyniki!” – mój stary gada tak bez przerwy. „Wyniki, wyniki, wyniki”.

– Może przyjdzie na niego kryzys? – odparła Sophie. – Tak się stało z moim. Teraz siedzi po uszy w ajurwedzie i winjasie.

– Może – stwierdził Mark.

– Cóż, gdyby Senior wciąż tu był, nie mielibyśmy gabinetu dla siebie – ciągnąłem. – Obadajcie to! – Zdjąłem zasuwkę łączącą półkule globusa i podniosłem górną połowę, otwierając dostęp do ukrytego wewnątrz barku. – Wódka z mineralną? – zaproponowałem, wyciągając flaszkę. – Napijmy się za naszych ojców – tych, którzy odeszli, i tych, którym tego szczerze życzymy.

– Czemu nie? – orzekła Josie.

– Weźcie na wstrzymanie – oponował Mark. – Wyda się, że piliśmy. Będzie od nas czuć wódkę. Ostatnim razem, kiedy ojciec mnie przyłapał, myślałem, że mnie udusi. Uziemił mnie

na miesiąc w domu. Mamy coś innego? – zapytał, szturchając mnie palcem. – Stary, na pewno coś jeszcze masz. Jakies zielisko? Wszyscy tu lubimy zakurzyć. A z tym nigdy nie dają się nakryć.

Uśmiechnąłem się. Zawsze mogłem poczęstować towarzystwo tabletkami.

– Najpierw się napijemy. Mnie też jeszcze nigdy nie nakryli – odparłem.

Cała trójka rozsiadła się przy globusie, a mnie pozostało przyrządzić drinki. Cieszyłem się, że mam jakieś zadanie do wykonania, coś, na czym mogłem się skupić, bo moje serce waliło, jakbym wciągnął kolejną kreskę. Nie miałem pojęcia, o czym z nimi rozmawiać. Rozmowa wymagała spontaniczności, a spontaniczność kosztowała mnie sporo nerwów. Nie chciałem walnąć czegoś głupiego ani czegoś, czego bym potem żałował.

– Pijemy – powiedziałem zatem, wręczając im kieliszki.

– Belvedere, co? – zapytała Josie, próbując smaku wódki. – Gładko wchodzi.

– Myślałam, że gustujesz tylko w Ketel One – zaśmiała się Sophie i też pociągnęła łyk. – Pamiętasz, co było u Dustina? Sprułyśmy się na amen.

Podniosłem kieliszek na sposób, jaki podpatrzyłem u dorosłych na przyjęciu, trzymając go za podstawkę, nie za nóżkę.

– No to zdrowie!

Stuknęliśmy się szkłem i ogarnął nas śmiech na myśl o pozostałych gościach, którzy też spijali się w tej chwili. Usiłowałem nie uśmiechać się dużo, lecz byłem bezsilny. Nie lubiłem swego uśmiechu. Podobał mi się wyraz, który przyjmowała moja twarz, kiedy byłem zasłuchany albo kiedy paliłem papierosa. Patrząc wtedy w lustro, mogłem się ścierpieć. Za to gdy się uśmiechałem, wyglądałem jak przygłup.

Dziwiłem się za każdym razem, kiedy udawało mi się rozśmieszyć towarzystwo. Wypiwszy już ponad połowę drinka, zorientowałem się, że pozostali ledwo napoczęli swoje. Najmniej pił Mark. Odstawił kieliszek na biurko Seniora. Rozmowa przycichła. Sophie gapiała się na buty. Josie podeszła do okna wychodzącego na podwórze i żywopłot, który oddzielał nas od posiadłości Fieldingów.

– Co my robimy na tym przyjęciu dla zgredów? – dziwił się Mark. Sophie przewróciła oczami w niemej zgodzie. – Bez urazy, Donovan, ale bawiłbym się lepiej, gdyby mój stary nie krążył po okolicy.

– Mnie to rybka – odpowiedziałem. – Tak sobie z tym radzę. – Wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni pojemnik z adderalem i zagrzechotałem pastylkami. – Mam już fazę.

Sophie zmrużyła oczy.

– Łyka się to jak witaminy?

– Nie – powiedziała Josie. – Wciąga się, prawda? – Podeszła do mnie. Na jej twarzy malował się chytry uśmiech. – Robisz to każdego dnia?

– Nie każdego – wyszczerzyłem zęby. Roześmiała się. Nie minąłem się bardzo z prawdą. Wciągałem tylko w trzech przypadkach: szkoła, bezsenność i senność.

– To jak, niuchamy? – zapytałem.

– To nie mój klimat – stwierdził Mark. – Nie teraz, stary. Mam dziś straszną zwałę. Wicie, że zwykle taki nie jestem.

– Niech będzie – orzekła Sophie. – Ja w to wchodzę. Jak zawsze. – Uniosła swój kieliszek. – Tylko najpierw dopiję.

Poszedłem w jej ślady, ale wzięłem za duży łyk i połknąłem kostki lodu. Jedna z nich utkwiała mi w gardle. Krztusiłem się z pełnymi ustami. Dławiąc się, prychałem przez nos wódką.

– Wszystko w porządku? – Sophie nachyliła się ku mnie.

Spróbowałem zaczerpnąć tchu przez nos, ale nic się nie działo, a przynajmniej nie czułem żadnej ulgi. Desperacko usiłowałem wciągnąć powietrze. Bąbelki gazu trzeszczały mi w ustach i w nosie. Piekły mnie oczy. Wokół mojej szyi i piersi zaciskała się niewidzialna obręcz. Owładnął mną strach, bo głowa nagle zdała mi się dziwnie lekka. Kiedyś spróbowałem podduszania dla rozrywki i uczucie było znajome, takie jak w momencie, kiedy przed zapadnięciem się w mrok twoją ostatnią myślą jest: „Co ja narobiłem? A jeśli się nie obudzę?”.

– Jezu, ale ty zipiesz! – powiedziała Josie.

– On się dusi. – To była Sophie. – Dusi się, nie?

Próbowałem potrząsać głową i pochyliłem się naprzód, by wypluć zawartość ust z powrotem do kieliszka. Jednak wszystko wypłynęło ze mnie za jednym zamachem i obryzałem bluzkę i spódniczkę Sophie.

– Ożeż ty! – krzyknęła.

Miałem tak załzawione oczy, że ledwo widziałem.

– Przepraszam, bardzo przepraszam – wybąkałem.

– Zamknij się! – Usłyszałem od Josie. – Ogarnijcie się i nie róbcie sceny albo zaraz nas nakryją.

– Naprawdę mi przykro.

– Pobrudził mi spódnicę? – domagała się prawdy Sophie. – Moja bluzka! No bez jaj!

– Zamknij się! Ale już!

Mark podszedł do drzwi i nasłuchiwał hałasów w korytarzu. Przetarłem oczy. Gardło wciąż mnie paliło, więc instynktownie wziąłem kolejny łyk, po czym ni z tego, ni z owego wychyliłem resztę drinka, zębami zatrzymując lód w kieliszku. Płyn był lodowaty, ale wódka sprawiła, że poczułem się lepiej. Odstawiłem kieliszek i sięgnąłem po leżące na biurku chusteczki. Podałem je Sophie, choć pożytek z nich był żaden. Na zewnątrz huczała muzyka, a goście próbowali ją przekrzyczeć. Nikt nie mógł nas usłyszeć.

Josie pomogła wstać Sophie z fotela i razem przyglądały się ciemnym, wilgotnym plamkom, które usiały zieloną spódniczkę.

– Co ja powiem matce? – narzekała Sophie. – Coś ty narobił? – syknęła na mnie.

Josie chwyciła mnie za ramię.

– Zrób coś! Musimy znaleźć łazienkę.

Z rumieńcem na twarzy wyprowadziłem dziewczyny na zewnątrz.

Mark szedł za nimi. Spostrzegły nas przyjaciółki matki, których smukłe postacie zbiły się w gromadkę w przedpokoju.

– Patrz, Barbara. To on. – Usłyszałem zaśpiew jednej z nich.

Wyobraziłem sobie, jakie miny muszą mieć w tej chwili Josie i Sophie za moimi plecami. Zignorowałem zasłyszane zdanie, ale kolejny raz tego wieczoru poczułem, że zapadam się w sobie. Machnąłem na dziewczyny i podążaliśmy dalej korytarzem, zostawiając ludzi za sobą. Szliśmy do pokoju gościnnego, w którym Senior sypiał przez parę miesięcy, zanim zostawił nas na dobre.

Przytrzymałem dziewczynom drzwi łazienki.

– Tu będziecie mieć spokój – zapewniłem je.

Josie przecisnęła się koło mnie, a ja odsunąłem się, by Sophie mogła pójść w jej ślady.

– Spotkamy się później – zaproponowała Josie. – Wyczyszczę ją trochę. – Przyniosła ze sobą

drinki, które postawiła na blacie przy umywalce.

– Popilnuję dziewczyn – powiedział Mark. Zamknęli drzwi, a ja nasłuchiwałem szeptów, dopóki nie zagłuszył ich odgłos lejącej się wody. Ktoś w końcu zakręcił kran, ale drzwi pozostawały zamknięte. Słyszałem śmiech. Brzęknęło szkło. Chciałem się wtrącić. „Zdejmijcie wasze twarze, dupki”. Powinienem być to im powiedzieć, nawet przez drzwi. W męskim kiblu w szkole ktoś wydrapał na drzwiach: „Aidan to pojeb”. Byłem pewien, że w mojej toalecie mówi się o mnie teraz w podobny sposób.

Usłyszałem kolejną falę chichotu, lecz tym razem z korytarza. Jedna z kobiet, które wcześniej zobaczyły nas wychodzących z gabinetu, stanęła w drzwiach, zasłaniając światło.

Weszła do ciemnej sypialni. Przywołała swoje towarzyszki.

– Tutaj są! – Oparła się o framugę. Nie widziałem jej twarzy. Była tylko sylwetką, która gadała do mnie w mroku. – Dlaczego chowasz się w tych ciemnościach, Aidan?

Uderzyła mnie zimna bezpośredniość jej głosu. Chociaż ledwo mogła mnie dostrzec, czułem się, jakby przyłapała mnie rozebranego. Wylewała się ze mnie pustka, plamiąc wszystko wokół – dywan, prześcieradła, wiklinowe meble. Kolejne kobiety ładowały się do pokoju, a któraś z nich zapytała:

– Co wy tu robicie?

Inna znów przepchnęła się naprzód i zapaliła światło. Barbara Kowolski, mama Marka, wystąpiła przed szereg. Jej oczy, osadzone nad pełnymi, rumianymi policzkami, świdrowały mnie.

– Co z tobą? – zapytała. Strach wciąż trzymał mnie w bezruchu. Któraś z przyjaciółek mamy zaśmiała się i zagadała do towarzyszki stojącej na korytarzu, ale Barbara położyła tylko ręce na biodrach. – Gdzie jest Mark? Gdzie dziewczyny? – Wskazała na drzwi łazienki, pobrzękując bransoletkami. – Są tam? Czy Mark jest w łazience z dziewczynami? – Chciałem powiedzieć, że nie, ale odepchnęła mnie i nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte. Obejrzała się za siebie. Jej koleżanki zniknęły.

– Mark? – zawołała syna.

Odpowiedział jej odgłos lejącej się wody i toaletowej spluczki. Drzwi otworzyły się i z łazienki wyszła Josie.

– Dobry wieczór, pani Kowolski. – Jej policzki płonęły. Za nią próg przekroczyła Sophie, trzymając w ręce pusty kieliszek. Mark szedł ostatni, z rękami w kieszeniach. Kuląc się, wyglądał teraz jak dzieciak albo pies, który obawia się ciosu.

– Młody człowieku – rozpoczęła tyradę Barbara.

Nikt na mnie nie patrzył.

– Pani Kowolski – odezwała się Josie – po prostu tam sobie siedzieliśmy. Jak mija pani wieczór?

Barbara zmarszczyła brwi. Grymas ust upodobił jej sztucznie opaloną i napiętą skórę twarzy do akordeonu.

– Nie próbuj mnie udobruchać. – Odwróciła się do Marka: – Ojciec cię szuka. Chce, żebyś kogoś poznał. Ale w tym stanie? – Barbara obejrzała się znowu za siebie, po czym nam oświadczyła: – Zrobimy tak. Żadne z nas nie puści pary z ust na temat tego zdarzenia. Wasi rodzice o niczym się nie dowiedzą. Mike również. Niczego. Zrozumiano?

– To nie ich wina – odezwałem się w końcu. – I to moja wódka.

Barbara wycelowała swój krwistoczerwony paznokieć w moją twarz.

– Doskonale wiem, czyja to jest wina, Aidan.

– Nie wyżywaj się na nim – zaoponował Mark. Chociaż wypił najmniej, jego oczy wciąż były szkliste, a w ich kącikach chyba gromadziły się łzy. – To nie wina Aidana.

– Właśnie że jego – odwarknęła Barbara. – Dosyć tego. Wracasz do domu. – Jej palec zatoczył krąg obejmujący całą naszą grupę. – Wszyscy wracacie.

– Mamo, przestań – próbował Mark.

– Dosyć – przerwała Barbara. – Ja wiem najlepiej, co jest dla was dobre. – Przytuliła syna szybkim, pozbawionym uczucia uściskiem. – Wiesz, jaki jest tata, kochanie. Nie rób głupstw. – Wypchnęła na korytarz dziewczyny i Marka usiłującego się ze mną pożegnać. – To, że nie ma przy tobie ojca, nie znaczy, że możesz robić, co ci się żywnie podoba – powiedziała na odchodne. – Ktoś powinien ci to wytłumaczyć.

Kiedy wyszła, zgasilem światło w łazience, a potem w sypialni. Siedziałem w ciemności na łóżku, a dom dalej huczał przyjęciem. W końcu wstałem, podszedłem do okna i wyjrzałem na podwórko. Światło srebrnego globu nadało księżycowe pozory krajobrazowi przed domem. Szare, niczym nieskazane zasy śniegu pasowały do moich wyobrażeń o śmierci. Jak sądziłem, umierając, trafia się nieodwołalnie w takie właśnie miejsce. Samemu.

Chciałem móc zniknąć, tu i teraz, ale na wszystkich piętrach kłębiło się mrowie ludzi. Przyjęcie rozlało się po domu, goście anektowali pokój za pokojem. „Tyle osób, a nie ma z kim pogadać”, pomyślałem, ale wtedy właśnie z holu dobiegł mnie znajomy śmiech. Pierwszy raz usłyszałem go w kościele Najdroższej Krwi. Człowiek, który śmiał się w ten sposób, przejął niedzielne nabożeństwa od księdza Dooleya i przeobraził kazanie w godzinny *stand-up*⁴. Jego niski głos pobrzmiwał jak syrena mgielna pośród nocy i czułem, jakby dźwięk tej syreny prowadził mnie do domu. Z ulgą podążyłem za nim.

Nikt nie śmiał się tak jak ksiądz Greg, niczyj śmiech nie przybierał tak na sile w miarę rozbawienia. Stał u podnóża schodów. Jego rumiana twarz i siwiejąca krótka broda błyszcząły w świetle żyrandola. W dłoni miał szklankę wypełnioną wysoko lodem. Pociągał z niej szkocką, jednocześnie gawędząc z otaczającymi go ludźmi. Większość słuchaczy musiała zadzierać głowę, gdyż nie tylko głos księdza Grega przykuwał uwagę. Myślę, że gdyby miał stanąć w szranki z naszym szkolnym trenerem boksu, trenerowi trudno byłoby się odważyć choćby włożyć rękawice. Ksiądz wyglądał na faceta, który grywał w futbol amerykański, jeszcze zanim wymyślono kaski i ochraniacze, i wyszedł z tego bez szwanku.

Zaśmiał się z opowiadanej przez siebie historii, a widząc mnie, przywołał do siebie skinieniem głowy. Natychmiast podszedłem. Duchowny był powszechnie lubianym bywalcem przyjęć. Nie zawracał sobie i innym głowy naukami w rodzaju, że taniec jest wymysłem diabła. Dobrze wiedział, że nasze katolickie miasto najbardziej przepada za tłustym czwartkiem i wielkanocnym śniadaniem, a post usuwa się na dalszy plan. Ksiądz Greg nigdy nie przepuścił przyjęcia.

– Nie chodzi jedynie o pieniądze – ciągnął swoją opowieść, kiedy się do niego zbliżyłem. – Wiecie, jaka jest najcięższa praca? Miłość. Miłość jest może i najcięższą robotą, ale ostatecznie tylko ona się liczy. I o to chodzi w naszej pracy z dziećmi. Mówisz, żeby dać biedakowi wędkę? – Machnął z dezaprobatą dłonią. – Richard, nauczmy biedaka miłować. Nauczmy dziecko kochać. Niech kocha naukę, kocha ludzi. Potem wystarczy tylko patrzeć i podziwiać. – Ksiądz położył mi rękę na ramieniu. – Prawda, Aidan? – To on był prawdziwym motorem dobroczynności na tym i każdym innym przyjęciu. Ja mogłem zaledwie służyć za pomocnika i właściwie już od pół roku

zajmowałem się tą robotą.

– Wiem, wiem. Dzieciaki. – Richard zdobył się na uśmiech. – O nikim innym nie myślę, wypisując co roku czeki. – Potem zwrócił się do mnie: – Swoją drogą, wciąż czekam na telefon, Aidan. Kiedy zamierzasz zacząć dzwonić? – I znowu mówił do duchownego: – Ojcie, zamierzasz zrobić Aidana swym zastępcą?

Ksiądz uśmiechnął się do mnie.

– To całkiem dobry pomysł. Aidan nie jest już taki młody. Bez niego nie dałbym sobie rady. – Podniósł dłoń, a ja przybiłem mu piątkę tak instynktownie, jakbyśmy grali w jednej drużynie futbolowej. – Aidan dobrze wie, że trzeba dokładać do ognia, żeby lokomotywa nie stanęła.

Przytaknąłem skinieniem głowy. Rzeczywiście pomagałem zbierać pieniądze na katolickie szkoły w mieście. Nazywać moje tabelki w Excelu i prezentacje z Crystal Reports „dokładaniem do ognia” było przesadą, ale nawet otwierając koperty z datkami i wstukując kwoty do baz danych, robiłem coś w istotnej sprawie.

– Nawet nie przywitałem się z gospodarzem – powiedział ksiądz Greg.

– Mama jest gdzieś w pobliżu – odrzekłem, spoglądając w stronę biblioteki.

Ksiądz zaśmiał się.

– Miałem na myśli ciebie.

– Och...

– Właśnie tak.

Odszedł ze mną na bok, w stronę garderoby. Cieszyłem się, że ma kto mną pokierować. Uśmiechnął się, lecz szybko na jego twarzy pojawił się poważny wyraz, świadczący o tym, że szuka odpowiednich słów, żeby zacząć naprawiać świat.

– Jak się trzymasz?

Było to pierwsze szczere pytanie, jakie zadano mi tego wieczoru. Chciałem poszukać jakiegoś bardziej zacisznego miejsca. Chciałem zatrzaskać drzwi, odciąć się od bezsensownego bełkotu i porozmawiać z nim poważnie, jak dwóch facetów, którzy wiedzą, co się w życiu liczy. Najwyższy czas.

– Posłuchaj, wyjdę stąd na chwilę – powiedział ksiądz Greg. – Świeże powietrze dobrze mi zrobi. – Wyłowił z kieszeni swój numerok od płaszcza i podał go odźwiernemu. – Może przejdziemy się obaj? – Włożył płaszcz niczym pelerynę, nie wkładając rąk w rękawy. Z kieszeni na piersi wyciągnął papierosa. Zawsze było od niego czuć tytoniem. – Chodź ze mną. Oczywiście, jeśli chcesz. – Płaszcz falował za nim, kiedy wyszedł na werandę. Odnalazłem kurtkę narciarską i poszedłem w jego ślady.

Zatrzymał się na zakręcie półkolistego podjazdu z białego kamienia. Spoglądał na zaśnieżony dziedziniec.

– Trzeba ci jakoś umilić to twoje przyjęcie – powiedział.

Obserwowałem mgiełkę mojego oddechu, która rozpływała się w zimnym powietrzu.

– To nie moje przyjęcie – odparłem. Zapiałem kurtkę. – Nie wiem, co tu dzisiaj robię.

Ksiądz Greg przybliżył się do mnie i postawił stopę na werandzie. Wypuścił powietrze kącikiem ust, by dym nie leciał w moją stronę.

– Dobrze wiesz. Robisz to, co zawsze. Starasz się pomóc. Nie bądź wobec siebie taki krytyczny, Aidan.

Często mówił mi po imieniu i chociaż najpierw brzmiało to dziwnie dla moich uszu, w końcu polubiłem ten sposób zwracania się do mnie. Dawało mi to poczucie, że ksiądz faktycznie chce

ze mną rozmawiać, że coś dla niego znaczę, a nawet że może trochę mnie potrzebuje.

Zapatrzyłem się na połąć przyszytych krzewów na podjeździe. Zaproponował mi swojego papierosa. Zaciągnąłem się, odwracając głowę. Poczułem uderzenie nikotyny i oparłem się plecami o kolumnę.

– Wolałbym czytać lektury w gabinecie – wydusiłem z siebie w końcu.

– Dobry chłopak z ciebie, zawsze ciężko pracujesz. – Wzruszyłem ramionami. – Mimo wszystko wiem, co teraz czujesz. – Dał mi się zaciągnąć jeszcze raz. – Rozmawialiśmy już o tym. – Jego głos brzmiał łagodnie. – Trudno o poważną rozmowę na takim przyjęciu – ciągnął. – O taką wymianę zdań, jaka zazwyczaj zachodzi między nami. Rzadko widuję tych wszystkich ludzi w innych okolicznościach. Nie wiem, czy w ogóle widywałem twoich rodziców, gdyby nie zapraszali mnie na imprezy.

– Cóż, dzisiaj jedno z nich się nie pokazało.

– Otóż to. – Ksiądz Greg pokiwał głową, co znaczyło, że mnie słucha. Delikatnie zmiął filtr papierosa w palcach tak, że resztkę tytoniu spadła na ziemię. Wcisnął goły filtr do kieszeni i spojrzał w stronę drzwi wejściowych. – Ale nie jesteś sam – powiedział. Często wyjaśniał mi, że obecność Boga w moim życiu powinna dawać pewność, stabilny grunt. Bóg był ze mną, a czasem musiał posługiwać się takimi ludźmi jak on, żeby przypomnieć o Swojej obecności. Tak przynajmniej tłumaczył mi ksiądz. Na temat Boga miałem dość mgliste pojęcie, za to ksiądz Greg był konkretną postacią – namacalną i rzeczywistą – taką, jakiej potrzebowałem. Dawał pewność.

Chuchnął do wnętrza stulonej pięści, by ją ogrzać.

– Świetnie sobie radzisz, Aidan, biorąc pod uwagę nieobecność twojego taty. Nikt nie chce się czuć opuszczony. Rozmawialiśmy już o tym. Wiesz, jak się o ciebie martwię. – Wypuścił powietrze przez nos i uśmiechnął się znów z troską. Usłyszałem westchnienie. – Dorastasz w przerażających czasach, Aidan. – Jego głos pobrzmiwał tą samą pewnością, jaką wyczuwałem w artykułach prasowych. Położył mi rękę na ramieniu. Przycisnęła mnie do kolumny. – Nie można udawać, że jest inaczej. A ostatnia rzecz, jaką należy czynić w takich czasach, to zostawić drugiego człowieka. – Zamilkł i nachylił się ku mnie. – Ale Bóg cię nie zostawił, Aidan. Nie zostawił cię Kościół, nie zostawiłem cię ja.

Cofnął się. Potarł ręką podbródek i spojrzał w stronę domu.

– Odwaliliśmy razem kawał dobrej roboty, czyż nie? Kampania się rozwija. Podoba ci się, prawda? Nie znudziłeś się?

– Nie. Bardzo mi się podoba.

– Tak myślałem. – Ksiądz skinął głową i odwrócił mnie z powrotem w stronę wejścia do domu. – Swoją drogą dziwię się, że nie dostałem dotychczas czeku od twojego ojca, Aidan. Zawsze wysyłał go wcześniej. Jestem zaskoczony.

– Siedział w Europie przez całą jesień.

– Wiem, Aidan. Wiem.

Wróciliśmy do środka i oddaliśmy okrycia. Ksiądz wypatrzył znajomego wśród mężczyzn zgromadzonych przy bibliotece i się mu uklonił. Trzymając rękę na moich plecach, prowadził mnie przez tłum obok stołu ustawionego na środku holu. – Może to nie z twoim tatą powinienem teraz rozmawiać? – zapytał. Przeciągnął mnie przez zgraję gości zagradzających drogę do salonu. – Poszukajmy twojej matki, Aidan.

Szedłem teraz przed nim, więc nie widział mojej twarzy, ale i tak wiedział, co się na niej

maluje.

– Nie martw się – powiedział pogodnie, nachylając się nad moim ramieniem. – Niedługo znów pogadamy. Dłużej. Jesteśmy umówieni w ferie, prawda? Nie zapomnę o tobie. Wiem, że minęło sporo czasu, i wiem, że potrzebujesz rozmowy.

Zatrzymałem się i odwróciłem przodem do niego. Uśmiechnął się, lecz wodził dalej wzrokiem po całym pokoju.

– Zgadamy się w ferie. Nie martw się.

Przez sekundę czy dwie nie wiedziałem, co robić. Miałem wrażenie, że ksiądz czeka, bym jakoś zareagował, ale nie patrzył już na mnie i machał komuś, kto stał za moimi plecami. W głębi salonu moja matka siedziała w swoim własnym kręgu admiratorów. Była wśród nich Cindy, lecz pozostałych osób nie znałem. Mama stała na niskim stołku i wyciągała rękę w drugiej arabesce. Identycznie była przedstawiona na portrecie, który wisiał obok wąskich schodów w bibliotece. Przyjmując baletową pozę, nie przerwała przemowy. Rozglądała się też po pokoju. Myślałem, że mnie dostrzegła, ale się myliłem.

– Tak musiałam ćwiczyć – opowiadała zebrany. – Inaczej bym się zaniedbała.

– Determinacja, wytrwałość – podpowiedziała Cindy. – Na tym polega klasa.

– Klasa? – zapytał ksiądz Greg, kiedy zbliżyliśmy się do tej grupy. – Gwen co roku robi nam wykład na temat klasy.

Matka zeszła ze stołka i ksiądz ucałował ją w policzek.

– Każdego roku podnosisz poprzeczkę coraz wyżej. Co za przyjęcie! Nikt cię nie przebije, poza tobą samą.

Matka nic nie odpowiedziała.

– Racja – odezwała się Cindy. – Powinnaś szykować też moje imprezy. Mówię poważnie. Może udzielisz mi paru porad przed kolejnym wernisażem?

– Mogłoby się zdawać, że wszystko przychodzi ci bez wysiłku – powiedział ksiądz Greg. – To więcej niż umiejętność. To sztuka. Wszyscy twoi wielbiciele chyba się zgodzą. – Matka skłoniła się w tanecznym przysiadzie. – Swoją drogą, będę wdzięczny, jeśli przedstawisz mnie twoim towarzyszom.

– Ci, z którymi powinieneś porozmawiać, siedzą na przeszklonej werandzie – odpowiedziała. Roześmiały się razem z Cindy, a twarz księdza Grega wyrażała żartobliwe przyznanie się do winy. Nie znosiłem tej gierki. Powaga najwyraźniej oznaczała w niej porażkę.

W końcu mama zaoferowała, że zaprowadzi księdza do „odpowiednich” ludzi, a on wziął ją pod rękę. Poszedłem za nimi. Za drzwiami zastaliśmy zgromadzenie palaczy cygar, którzy osunęli się w głąb swoich foteli. Ksiądz Greg pomachał im, schodząc ze stopni schodów, i odpowiedział mu chóralny ryk powitania. Matka zamknęła drzwi. W powietrzu unosił się tytoniowy zaduch. Ksiądz torował sobie w dymie ścieżkę, niczym zwierzę, które przeciska się przez gęste krzewy.

Zostałem razem z Cindy z tyłu. Przyjaciółka mamy omiotła przeszklone pomieszczenie spojrzaniem.

– Słyszałam, ile radości sprawia ci praca dla księdza Grega – zagaiła. – Myślę, że to świetna sprawa. James też zaczął się udzielać w parafii. Podoba mu się to. Jest ministrantem.

Nie wiedziałem o tym, ale uświadomiłem sobie jeszcze dobitniej, jak rzadko jestem teraz zapraszany do kościoła Najdroższej Krwi. Rzecz jasna ksiądz musiał mieć również czas dla innych. Oczywiście potrzebował pomocy nie tylko w sprawie zbierania funduszy. Był naszym

kapłanem. Mimo to poczułem ucisk w żołądku na myśl, że pociesza teraz Jamesa. Czy nie miałem prawa uważać, że to właśnie ja potrzebuję księdza najbardziej? Był jedynym człowiekiem, który nie rozmawiał ze mną poprzez ruszt wyszczerzonych zębów – w odróżnieniu od Cindy, która właśnie uśmiechała się, jakby chciała powiedzieć „nie zbliżaj się do mnie”.

Przeszedłem przez jadalnię do spiżarni. W kuchni zauważyłem Elenę, która wyklócała się z dwoma kucharzami przy piecach. Wymachiwała drewnianą łyżką tak już pociemniałą, że wyglądała na zwęgloną. Obrzuciła mnie spojrzeniem, lecz nie przerwała swojej tyrady. Kucharze jednak jej nie słuchali i zajmowali się pracą, więc opieprz przyjmowały ich plecy.

– Elena! – zawołałem, lecz – jak się okazało – zbyt cicho. Pomieszczenie wypełniał gwar. Wpadłem na jednego z kelnerów. Taca z krewetkami zakolysała się w jego rękach. – Cholera! – warknął, a ja usunąłem mu się z drogi, lawirując wokół kuchennej wyspy. Zgarnąłem otwartą butelkę fumé blanc z wiadra z lodem, które stało za plecami barmana, i dałem nura przez tylne drzwi. Hałas przyjęcia towarzyszył mi nawet w ogrodzie. Kiedy znalazłem się poza zasięgiem latarni oświetlającej ścieżkę, zadarłem głowę i krzychałem. Nie doczekałem się odpowiedzi, a mój głos utonął w ciemności.

Poszedłem przez trawnik w stronę drugiego garażu i wszedłem po schodach prowadzących do kwatery Eleny. Pociągnąłem za klamkę. Drzwi były zamknięte, ale mogłem zajrzeć do środka przez okno. Pokój był mały i prosto urządzone niczym cela mnicha: były tam półka na książki, fotel, szafa i równo zaścielone łóżko. Dwa oprawione w ramki zdjęcia opierały się o podstawę lampki stojącej na małym stoliku. Na fotografiach były dzieci Eleny: Teresa i Mateo. Teresę obejmował Candido, jej tata.

Opadłem z sił. Piłem wsparty o drzwi. Gapiłem się przy tym w ciemną noc. Tkwiłem tak przez pewien czas, aż wreszcie dostrzegłem Elenę, która przecierała ścieżkę z kuchni do mieszkania. Kiedy wchodziła już po schodach, zdałem sobie sprawę, że mam dreszcze. Schowałem wino za doniczką na malutkiej werandzie. Byłem pewien, że zauważyła butelkę, ale skoro nie trzymałem jej w dłoniach, mogła zbyć to milczeniem. Zamiast mówić cokolwiek, przytuliła mnie.

– *M'ijo*, nie płacz – powiedziała, trzymając mnie w ramionach. – Proszę, nie płacz – powtarzała.

Wpuściła mnie do środka i usadziła na swoim tykim łóżku, nie rozluźniając objęć. Mamrotała coś po hiszpańsku, a po chwili rozpoznałem modlitwę *Zdrowaś Mario*. „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej”. Nie wiem, ile razy to powtórzyła, ale dołączyłem swój głos do tej obcojęzycznej modlitwy, chociaż bolało mnie ściśnięte gardło.

– Nie płacz już. Proszę. – Wstała wreszcie i przysunęła do drzwi swoją wypchaną walizkę. Wyciągnęła małą torebkę spod umywalki zamontowanej w miniaturowej łazience i pakowała przybory kosmetyczne.

– Nie możesz zostać na noc? – zapytałem. Byłem wściekły na siebie za to pytanie. Na miłość boską, była Wigilia, a na Elenę czekała rodzina na Bronksie. I tak wychodziła później, niż powinna. Wiedziałem, że chce zdążyć na pasterkę do swojego kościoła.

Kiedy skończyła pakować kosmetyczkę, zgasiła światło. Pokój oświetlała wyłącznie zewnętrzna lampa, która świeciła nad drzwiami.

– Możesz tu dziś spać – powiedziała. – Nie mam nic przeciwko. Dbaj tylko o siebie, proszę. –

Stała przy drzwiach i nie mogłem dojrzeć jej twarzy. Była jedynie sylwetką stojącą na drodze światła wpadającego z ganku. – Proszę – powtórzyła. Nie mówiąc już nic więcej, chwyciła torbę i pognęła na dół do garażu, żeby wreszcie rozpocząć wyczekiwany urlop.

Nad jej łóżkiem wisiał krucyfiks, który przykuł moją uwagę, kiedy siedziałem i piłem prosto z butelki. Mówiono mi, że drogą do spokoju ducha jest przebaczenie, ale w tej chwili byłem zdania, że wystarczy cisza. Mój język omdlał i spuchł. Traciłem nad sobą władzę. Kiedy pijesz w samotności dostatecznie długo, przestajesz się oszukiwać, że alkohol oczyszcza umysł. Zamiast tego świadomie się rozpadasz, chcesz rozpląnąć się w nieświadomości niczym bałwan, aż znikniesz do końca.

ROZDZIAŁ 2

W świąteczny poranek wygramoliłem się jakoś z mieszkania Eleny i wróciłem do domu, by wziąć prysznic. Byłem teraz wrażliwy i nerwowy – długo stałem w strumieniu gorącej wody z nadzieją, że wypoczę toksyny. Odpokutowaliśmy z matką nasze kace osobno. Już wcześniej umawialiśmy się, że nie będziemy otwierać prezentów pod choinką. Nie wypiliśmy naszej porcji *eggnog* – jajecznego ponczu, ani nie zjedliśmy drożdżowych bułeczek ze zsiadłym mlekiem, co wcześniej było naszą tradycją. Ból mógł zaatakować niespodziewanie w każdej chwili i matka chowała się przed nim przez większość dnia pod kołdrą.

Kilka razy zadzwoniłem do księdza Grega. Odzywała się poczta głosowa, lecz nie zostawiłem wiadomości. Było Boże Narodzenie – na pewno ktoś zaprosił go do siebie. Skoro nie było go teraz na plebanii, do kogo innego mógłbym zadzwonić? Nie sądziłem, aby Senior miał ochotę ze mną rozmawiać, ale nawet jeśli – nie wiedziałem, jak się do niego dodzwonić. Nigdy nie znałem numeru. Przypomniał mi się poranek sprzed kilku tygodni, kiedy widziałem ojca po raz ostatni. Przyjechał właśnie z jednego ze swoich długich wypadów do Europy. Zjawił się w domu w piątkową noc, kiedy już spałem. Wstałem późno, a kiedy się zbudziłem, zastałem go w jego śniadaniowym zakątku, z nosem w gazecie. Stos elegancko ułożonych czasopism piętrzył się też na stole. Z popielniczki unosiły się ostatnie pasemka dymu. Ojciec wciąż miał na sobie pasiastą piżamę. Siadłem naprzeciwko niego i sięgnąłem po strony „Timesa”, które już przeczytał. Odchrząknął. Głęboki oddech dochodził z głębi wilgotnych, pracujących z trudem płuc.

– Witaj w domu – odezwałem się.

– Jasne – ziewnął i potarł twarz.

– Wiele cię ominęło.

– Serio? Cóż, pojechałem siać nadzieję wśród Europejczyków. Ropa tanieje, turystyka pada, PKB spadł w zeszłym kwartale i na tym się nie skończy. Wszyscy są tak cholernie tchórzliwi, że boją się odsłonić karty. Jak, na Boga, można w tych warunkach ratować gospodarkę? Pracą! Ciężką pracą. Wszystko sprowadza się do tego. – Spojrzał na mnie gniewnie, jakbym był winny recesji.

Wyglądał na wymiętego. Pod oczami miał sińce z niewyspania. Siwe włosy na klatce piersiowej kłębiły się między klapami piżamy. Pchnął kubek po kawie w stronę krawędzi stołu.

– Mógłbyś mi dolać?

Wstałem i zabrałem dzbanek z kawą z kuchennej wysepki. Nalałem sobie trochę. Dzbanek postawiłem przy kubku taty. Spojrzał na mnie krzywo i obsłużył się sam. Podsunął mi stos gazet.

– Zerknij – powiedział.

Zdążyłem się już nauczyć, że kiedy Senior chce ze mną „porozmawiać na poważne tematy”, w rzeczywistości jest to jego sposób na powiedzenie mi: „Dorośnij wreszcie!”. Kiedy jednak przeglądałem tego poranka prasowe nagłówki, zastanawiałem się, w jakim świecie przyjdzie mi dorastać. Gdziekolwiek spojrzełam, wszędzie były powody do obaw.

– To przygnębiające – odezwałem się w końcu.
– Mówisz jak własna matka. Wszystko zależy od tego, jakie ma się oczekiwania. Czytaj Nietzschego.
Słyszałem jego rżący oddech.
– Nie wypałeś się? – zapytałem.
– Do niektórych łóżek trudno przywyknąć – odparł. Zauważyłem uśmiezek i zastanawiałem się, co miała znaczyć ta odpowiedź. – Czasem budzę się w samolocie i nie pamiętam, cholera jasna, gdzie lecę.
– Ach tak.
– Ciężko utrzymać się na powierzchni.
– Ach tak.
Popijaliśmy kawę.
– Nie dają już rady utrzymać tempa.
– Ach tak.
– Słuchaj, do cholery, próbuję z tobą porozmawiać, zanim zejdzie tu twoja matka i zacznie gadać swoje. Chcę, żebyś wiedział jedno. – Potarł czoło. – To, że mam syna, zawsze się dla mnie liczyło. Próbowałem zaszczepić ci wiele rzeczy. Lubilem to zajęcie. – Przerwał, kiedy z domowych głośników popłynął jakiś utwór na gitarę klasyczną. Potrząsnął głową. – Musiałem ci to powiedzieć – kontynuował. – Posłuchaj. Postaram się być miły przez następnych kilka dni. Chciałbym, żebyśmy wszyscy się tak do siebie odnosili.
Poczułem się spięty. Nie rozmawialiśmy wiele od początku roku szkolnego, a już na pewno nie pamiętałem, by tak usilnie starał się mi coś powiedzieć.
– Wkrótce muszę jechać – ciągnął. – Wracam do Brukseli.
– Świetnie, czyli nic nowego. – W tym momencie straciłem zainteresowanie rozmową. – Słuchaj – powiedziałem. – Muszę zadzwonić po samochód. Mam dziś sporo roboty.
– Nie prowadzisz auta sam?
– Nie poszedłem na kurs w tym semestrze. Miałem co robić.
– Mogłeś to chyba gdzieś wcisnąć?
– Ostatni raz widzieliśmy się ponad miesiąc temu.
Znów potarł czoło.
– Co ma jedno do drugiego? Nie odpowiedziałeś na pytanie. Wiem, że pracujesz przy kampanii na rzecz parafii Najdroższej Krwi. Podziwiam twoją pracę. Jest ważna. Sam o tym wiesz najlepiej. Wolałbym się dowiedzieć czegoś, o czym nie wiem. Są jakieś kursy na prawo jazdy rano, przed szkołą? Może bywają zajęcia w weekendy?
– Nie wiem.
– Ach! Czyli dlatego odpowiadasz nie na temat. Cieszę się, że to wyjaśniliśmy. – Pociągnął łyk kawy. – Masz dużo ze swojej matki.
– Idę pracować. Witaj w domu.
– Nie tak szybko – odparł. – Chciałbym, żebyśmy dzisiaj wszyscy zostali na miejscu. Ty pojedziesz pracować, twoja matka zacznie krzątaninę i zanim się obejrzymy, dzień się skończy. Potem będziemy już czekać na coś innego i tak minie cały weekend. Zostań dziś w domu. Rozumiesz? – Postukał palcem w stół. – Wiem, że to niełatwe, ale potrzebuję twojego wsparcia. Dasz radę mi pomóc?
Para unosiła się nad naszymi kubkami. Senior wyjął papierosa i zapalił. Zaciągał się dymem

i wypuszczał go, a cisza sunęła w moją stronę niczym dusząca chmura, która w końcu całkiem mnie stłamsiła.

Lata uprawiania wioślarstwa wykształciły w ojcu silne plecy, które wciąż były w stanie dźwigać ciężar reszty ciała. Kiedy matka go poznała, fizycznie wyglądał na jej rówieśników, lecz miał już determinację i mądrość faceta, który zdobył pozycję w przemyśle. Teraz zeszczupeł, ale siła pozostała. Sprawiał wrażenie, jakby przez te wszystkie lata jego ciało wyschło i stało się bardziej zbite.

– Nie lecę tam do pracy. W każdym razie nie tylko do pracy – powiedział w końcu. – Jesteś jeszcze młody, mimo to zamierzam powiedzieć ci coś, czego nie można powtarzać matce. W porządku? Nie zawieź mojego zaufania.

Wpatrywałem się w niego, siedząc naprzeciwko.

– Jest pewna kobieta w Brukseli...

Pomyślałem, że należy jakoś zareagować, ale nie miałem pojęcia jak. Nie chciałem silić się na żadną reakcję. Chciałem patrzeć, jak krztusi się kolejny raz, aż oczy pokryje czerwona siateczka, a żyły biegnące pod brwiami się wybrzuszą.

Wstał i zgniótł papierosa w popielniczkę.

– Synu, bądź facetem. Zachowaj to dla siebie. Dasz radę? Niech to będzie nasza umowa na ferie. Mówię ci o tym teraz, bo jesteś dla mnie ważny. Chcę być z tobą szczerzy.

Skinąłem głową, a on uśmiechnął się, jakby właśnie przeprowadził niewidomego przez jezdnię.

Potem było wiele krzyku. Ojciec powiedział matce, że wyjeżdża i nie będzie go w domu na przyjęciu ani podczas ferii. A potem zniknął – nawet wcześniej, niż planował.

Stary drań. Co on tam wiedział? Nie wygadałem się matce, co akurat nie sprawiło mi trudności. Na szkolnym tableau powinni byli podpisać moje zdjęcie „Wybitny Dotrzymywacz Sekretów”. I pomyśleć, że tak łatwo przyszło mi osiąść tak pożądaną umiejętność! Parę dni później Drań Senior wyjawiał matce swój sekret przez telefon i wszystko się między nimi rozpadło.

Wcześniej, latem, plątałem się cały czas pod nogami Eleny, aż w końcu, zmęczona tym, przekonała mnie do wolontariatu w parafii Najdroższej Krwi. Zasugerowała mi, że mogę znaleźć tam przyjaciół. Poza tym, według niej, nie zaszkodziłaby mi bliskość Boga. Moi rodzice mienili się katolikami, lecz nie zawracali sobie głowy praktykowaniem wiary. Elena sądziła, że moim życiem religijnym nie ma kto pokierować. Zresztą dołączenie do kościelnej wspólnoty i tak zapowiadało się bardziej sensownie od beznadziejnego siedzenia w domu.

Pracując w parafii, zacząłem częściej chodzić na msze. Nasza rodzina zaliczała się do „kulturowych katolików”, jak ujął to kiedyś Senior. Nie bywaliśmy w kościele częściej niż parę razy w roku. Ksiądz Dooley przygotował mnie do komunii i bierzmowania. Znałem wartość tych sakramentów i cel wspólnej modlitwy, ale wolałem słyszeć ją z ust księdza Grega niż Dooleya. W tym pierwszym nie dostrzegałem jedynie rutyny. Potrafił mnie zaskoczyć, zagadując na kościelnych schodach po odprawieniu mszy. Rozmawiał ze mną o łasce Boga na przykładzie Kerouaca i jego *W drodze*. Teoretycznie parafią rządził Dooley, ale kiedy modliliśmy się „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, to właśnie ksiądz Greg jawił mi się jako pasterz, który z osoby, jaką byłem, uczyni taką, jaką chciałbym się stać. Wiare, o której tyle się mówiło w kościele, ja odnajdywałem w naszych codziennych rozmowach. Słuchał mnie i przez to stawałem się kimś.

Pustka poświęconego domu wdzierała się w moje wnętrze. Czułem się pusty w środku. Znalazłem w lodówce jakieś zaschłe resztki sushi z przyjęcia i jadłem je w kuchni, czytając jednocześnie *Frankensteina*. Łatwo było zrozumieć, dlaczego potwór pożądał towarzyski. Bez niej był krańcowo samotny. Postanowiłem w końcu, że nie będę już wydzwaniać na plebanię. Zamiast tego chciałem wybrać się tam osobiście, żeby przypomnieć się księdzu Gregowi.

Najłatwiej było go odnaleźć przed wieczornymi nabożeństwami. Szofer wysadził mnie na początku podjazdu, więc szedłem pod górę, powtarzając wersy z Psalmu 31, który był przewidziany na ten dzień. Próbowałem zapamiętać wezwanie i odpowiedź. Nie byłem ministrantem i nie służyłem do mszy, ale dzięki księdzu zacząłem doceniać nabożeństwa. Miałem też nadzieję, że moja nauka nie pójdzie na marne i relacje między nami się poprawią.

Drzwi plebanii zatrzasnęły się za mną. Głuche echo przetoczyło się przez klatkę schodową. Główny hol oświetlały wyłącznie kinkiety na ścianach i przytłumione światło zimowego słońca, sączące się przez okna. Drzwi do biura księdza były zamknięte i zmartwiłem się, że go tu nie ma. Zdjąłem płaszcz i powiesiłem na wieszaku. Do holu przydreptał ksiądz Dooley. Wyszedł z kuchni położonej naprzeciw biur. Chociaż był już starszy i przygarbiony, to nie można go było nazwać zgrzybiałym. Wciąż prowadził samochód i nie znosił, by go wyręczano, jeśli mógł się obejść bez pomocy. Przywitałem się z nim i spróbowałem mu pomóc, kiedy podnosił metalowe żaluzje w oknach. Oczywiście nie życzył sobie wsparcia, w tej czynności wspomógł się zakrzywioną laską.

– Co słysząc? – rzucił zdawkowo. Potarł swoje dłonie o spuchniętych stawach. – Nie miałeś dzisiaj tu przychodzić – powiedział.

– Miałem.

– Wydaje mi się, że dopiero w przyszłym tygodniu.

Zauważył, jak spoglądam na drzwi gabinetu księdza Grega.

– Myślałem, że będę dzisiaj pracował – powiedziałem.

– Znam rozkład dnia. Prowadzimy wieczorem telefoniczną zbiórkę. Gościmy wolontariuszy od Świętego Józefa.

– Ojciec jest u siebie? – zapytałem.

– Ma spotkanie. Prawie się dziś nie widzieliśmy.

– Mogę się chociaż przywitać?

– Nie teraz, Aidan. Wiesz, jak jest. – Spojrzał na drzwi gabinetu. – Lepiej mu nie przeszkadzać. Przykro mi, że się fatygowałeś.

– Właśnie przyjechałem.

– Zdaję sobie sprawę. Coś się musiało pomieszać w planach. Nie wiem, co ci powiedzieć. Jesteśmy zajęci, a ja nie mogę się teraz tobą zaopiekować. Wolontariusze zaraz przyjdą, trzeba przygotować się do nabożeństwa. Wybacz, Aidan, ale musisz przyjść innym razem.

– Poczekam na ojca – zaproponowałem. Ksiądz zawahał się, więc przekonywałem dalej. – Mogę pomóc w zbiórce. Będę pracował nad podziękowaniami dla darczyńców. Nie obrazi się chyba?

Samochód już odjechał, a kierowca miał wrócić nie wcześniej niż za kilka godzin. Co zresztą miałbym robić w domu?

– Po prostu proszę mu powiedzieć, że przyszedłem.

– Nie mogę tam teraz wchodzić – zaproponował starszek. Wydał z siebie westchnienie świadczące o niezadowoleniu. – Mamy dużo pracy, rozumiesz? Przykro mi, ale musisz nas teraz

opuścić. – Wziął mnie pod ramię i odprowadził do wieszaka. Podał mi płaszcz i czapkę, po czym niemal zagonił do wyjścia.

– Idź do domu – powiedział miękko, lecz w jego głosie była jakaś nieprzyjemna nuta. Nie przywykłem do tego, żeby wypraszano mnie z parafii.

Sięgał już do klamki, kiedy ktoś otworzył drzwi z drugiej strony.

– Ojcie Dooley! – W progu stanął mężczyzna w wieku starszego księdza. Był zakutany w czapkę i gruby płaszcz. Do wnętrza wdarł się powiew wiatru. Z tyłu tłoczyli się inni starsi ludzie, mężczyźni i kobiety, którzy wysiadali z parkującego pod plebanią autobusu. – Mam nadzieję, że czeka na nas ciepła kawa – mówił staruszek. – Solidnie zmarzliśmy.

Ksiądz Dooley potrząsnął głową.

– Właśnie miałem ją nastawić, Fred. – Gestem nakazał mi, żebym usunął się z przejścia i wpuścił Freda do środka. Sam odwrócił się i poszedł z powrotem do kuchni.

Stałem z płaszczem i czapką w ręku, przytrzymując drzwi wolontariuszom. Mijali mnie jeden za drugim i powoli zapełniali korytarz. Z mojej perspektywy wyglądali jak stado wałęsających się kotów. Zatrzymywali się w pół kroku, potem znów ostrożnie ruszali przed siebie.

– Ciemno tu trochę! – zawołała jedna z kobiet do Dooleya.

– Niech stanie się światłość! – Rozbłysły lampy pod sufitem. Przy przełączniku stał uśmiechnięty ksiądz Greg. Tylko on miał głos, którym mógł wypełnić cały hol i grzmieć, jakby pomieszczenie było dla niego zbyt małe. Szare sklepienie i prostota kuchni nadawały plebanii pozór miejsca pozbawionego życia, jednak jego głos był w stanie tchnąć w nią ducha.

– Nadeszły wojska! – powitał przybyłych. – Macie trochę czasu do stracenia? – Pomachał papierami, które trzymał w dłoni. – To lista ludzi, którzy stoją przed ostatnią szansą, żeby odpisać sobie od podatku darowiznę. – Uśmiechnął się. – Każdy przecież lubi coś wyrwać fiskusowi, nawet rentierzy. – W holu zabrzmiał stłumiony śmiech. Ksiądz Greg pomagał przybyłym zdejmować płaszcze i wieszal je na oparciach krzeseł. Obok pianina i systemu nagłośnienia ustawiono kilka składanych stolików. Stał na nich rząd telefonów.

Zabrałem dwa rozkładane krzesła z kuchni i podszedłem z nimi do księdza.

– Pomyślałem, że pomogę w zbiorce – odezwałem się.

Spojrzał na wolontariuszy rozsiadających się dookoła.

– Wcale nie musisz – odpowiedział.

– Ale chcę.

Ksiądz Dooley, który stawał na stole koszyk z ciastkami, spojrzał na niego. Greg westchnął i odwrócił się do mnie.

– Nie dzisiaj, Aidan. Damy sobie radę. Nie płacz się tutaj.

– Co?

– Posłuchaj – nagle zmienił front – może poczekaasz na mnie w moim biurze?

Zrobiłem, o co prosił. W gabinecie świeciła się tylko biurkowa lampka. Gdyby to był nasz zwykły, normalny dzień pracy, po wszystkich obowiązkach przyszedłby czas na rozmowę. Nie słyszałbym dziesiątków głosów zadających pytania. Rozbrzmiewałyby tylko dwa – mój i księdza Grega. Tego właśnie dziś potrzebowałem. Ksiądz jednak wciąż tkwił w sąsiednim pokoju, starając się zapanować nad wiekowymi wolontariuszami. Właśnie objaśniał sposób prowadzenia telefonicznej zbiórki. Wpatrywałem się w gruby perski dywan pod stopami. Odbiły się na nim moje ślady. Znikły, kiedy pogładziłem włókna. Powtarzałem słowa psalmu:

*Ty bowiem jesteś dla mnie skałą i twierdzą;
przez wzgląd na imię Twoje, kieruj mną i prowadź mnie!
Niech zajaśnieje Twoje oblicze nad Twym sługą:
wybaw mnie w swej łaskawości!*⁵

Kiedy ksiądz w końcu przyszedł, zapalił lampę pod sufitem i opadł na swoje obrotowe krzesło za rzeźbionym mahoniowym biurkiem. Nie zamknął za sobą drzwi. Rozsiadł się wygodnie i splótł ręce na brzuchu.

– Świetnie dziś pójdzie – zagaił. Nie słyszałem radości w jego głosie. Wiedziałem, że przecież i tak zebrał już dość środków. Zysk z dzisiejszego wieczoru był ponadplanowy. Odchylił się na krześle, nogi wyciągnął przed siebie. W tej chwili mógłby nawet spaść na niego sufit, a on by nawet nie mrugnął.

Mój wzrok spoczął na otwartych drzwiach.

– Myślałem, że będziemy mogli porozmawiać?

– Wiem, wiem – odparł. – Ale mam dziś pełno zajęć.

– Nawet się nie pożegnaliśmy po ostatnim spotkaniu – ciągnąłem dalej. Ksiądz wyprostował się. – Urwałem się z tego przyjęcia – dodałem.

– Nie ma sprawy – odpowiedział.

Siedzieliśmy w milczeniu. Słyszałem, jak w sąsiednim pokoju wolontariusze ćwiczą swoje kwestie. Uśmiechnął się do mnie w jakiś obojętny, bezmyślny sposób. Chciałem porozmawiać o zimnie, jakie wypełniało moje gardło, kiedy krzyczałem w zimową noc, i o tym, że Josie, Sophie i Mark z pewnością mnie znienawidzili, więc spodziewam się trudności po powrocie do szkoły po feriach.

– Jesteś bardzo zajęty? Miałem nadzieję, że znajdziesz wolną chwilę.

– Jestem, Aidan. Mam dużo pracy. Muszę o wszystko zadbać, taka już moja rola. Parafialny cheerleader nie ma lekko.

– Jasne.

– Powinieneś być zadowolony, Aidan. Miałeś swój udział w tym sukcesie. Jesteś jego częścią. – Wstał zza biurka i podszedł do zbiornika z wodą przy sofie. Sięgnął po plastikowy kubek. Podając mi go, przysiadł na oparciu kanapy. – Jesteś niezwykle młodzińcem. Pewnie teraz ci przykro?

– Owszem.

– Nie widać tego po tobie.

Spojrzałem znów na otwarte drzwi. Zazwyczaj byłyby zamknięte przy naszej rozmowie, a ksiądz wyciągnąłby butelkę whisky Laphroaig, którą trzymał w biurku. Przyzwyczaiałem się do jej bursztynowego poblasku. Dzisiaj jednak wszystko układało się nie tak.

Miałem tak wiele do powiedzenia, a nie wiedziałem, jak zacząć. Chciałem, żeby ksiądz wrócił za biurko, żeby między nami znów zaistniała ta cicha, intymna przestrzeń. Teraz jednak przycupnął na oparciu kanapy, jakby w każdej chwili miał się zerwać na nogi.

– Aidan, znajdę kiedyś dla ciebie czas. Obiecuję. Czy kiedykolwiek nie dotrzymałem słowa?

Wypiłem kubek wody jednym haustem.

– Wszystko będzie dobrze – dodał ksiądz. Nachylił się ku mnie i niezręcznie objął mnie ramieniem. Uścisk był mocny jak zawsze i pozwoliłem, aby trwał, bo świadczył o szczerości. – Musisz mi zaufać, Aidan – powiedział, odsuwając się.

- Ufam – zapewniłem go cicho, podobnie jak wiele razy przedtem.
- Naprawdę powinieneś mi zawierzyć. Wszystko się ułoży.

Wyciągnąłem do niego rękę, ale powstrzymał mnie. Odchylił się, trzymając mnie na dystans. Hałas, jaki czynili wolontariusze, przypominał mi przyjęcia mamy. Wyglądało na to, że zabawią tu długo. Przemknęło mi przez myśl, że teraz chcę się już tylko stąd wynosić. Coś było nie tak. Chciałem wracać do domu, ale nie dlatego, żebym tęsknił do tamtych czterech ścian. Zależało mi raczej na poczuciu, że jestem u siebie.

- Muszę się zająć wieloma ludźmi, Aidan – tłumaczył się.
- Mówiłeś kiedyś, że zawsze znajdziesz dla mnie czas.
- Tak. – Rzucił okiem w stronę drzwi. – Słuchaj, stajesz się już mężczyzną. Nagle i z wielką mocą. Jestem z ciebie dumny. Nie wiesz o tym?

- Czuję się samotny.
- Rozmawialiśmy o tym, Aidan. Nie jesteś sam. O to właśnie chodzi w wierze. Nie odpowiedziałem, a on westchnął.
- Później porozmawiamy.

Zgarbiłem się na krześle i wpatrywałem w podłogę pomiędzy moimi stopami.

- Kiedy?
- Nie wiem. Trzeba zerknąć w kalendarz.
- Nie tak miało być. Proszę! Obiecałeś, że zawsze będziesz na mnie tu czekał.
- I czekam. Pogadamy potem, Aidan. Obiecuję.
- Kiedy?
- Niech no zobaczę...
- Jutro! – krzyknąłem.

Ksiądz chwycił mnie za rękę.

– Nie ma potrzeby wrzeszczeć. – Znów obejrzał się w stronę drzwi. – Niech będzie jutro. Jutro. Skończ tylko z tymi krzykami i weź się w garść.

Przytaknąłem, a on z powrotem zasiadł za biurkiem. Skrzyżował ręce, kręcąc głową.

- Teraz już pora na ciebie – oznajmił.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale podniósł rękę i wskazał na mnie palcem.

– Aidan – odezwał się, patrząc mi w oczy. – Pamiętaj, że też mi coś obiecałeś. Nie zawiedziesz mnie, prawda? Nie po tym, co dla ciebie zrobiłem. Nie po tylu rozmowach.

- Nie.

– To dobrze. – Wskazał mi głową drzwi. Zawahałem się. Ksiądz położył na biurku złożone ręce. – Nie każ mi powtarzać drugi raz, Aidan – powiedział, patrząc na swoje dłonie.

Również się w nie wpatrywałem, kiedy do uszu nas obu dobiegł głos Cindy, która witała się w holu z księdzem Dooleyem. Jak zawsze była tak nakręcona, że rozciągnęła swoje „cześć” do czterech sylab. Ksiądz spojrział na mnie w milczeniu. Cindy zapukała i wsunęła głowę do gabinetu.

– Jesteśmy! – wykrzyknęła zbyt głośno i ze zbyt szerokim uśmiechem. – James jest już gotowy do swojej pierwszej służby, prawda, kochanie? Och, chyba nie przeszkadzamy!

- Nie – szybko odpowiedział ksiądz Greg. – Wcale.

– Świetnie! – Cindy wepchnęła syna do gabinetu i sama weszła do środka za nim. Niebieska chustka i błękitne czółenka podkreślały kolor jej oczu. Promieniała „dzikością”, jak określała tę cechę moja matka. – Chodź, kochanie – ponaglała Jamesa. – Odezwiż się. Jesteś gotowy czy

nie? Powiedz, co ćwiczyłeś w domu.

James zmienił się, od kiedy widziałem go po raz ostatni. Wciąż był niższy ode mnie, ale teraz wychudł. Był blady jak typowy got, a na głowie kłębiła mu się czarna czupryna. Wciąż jednak był tym samym zahukanym, rozedrganym chłopcem.

– Aidan też pomoże księdzu? – zapytał cicho.

– Nie – odpowiedział duchowny.

– Ale dziś jest przecież wspomnienie świętego Szczepana – odezwałem się. – Wiem, jakie będzie czytanie: „Kiedy was wydadzą, nie martwcie się o to, jak ani co macie mówić. W owej bowiem godzinie będzie wam poddane, co macie mówić”⁶.

– Aidan – przerwał mi ksiądz. – Starczy tego.

W pokoju zapadła cisza. Zapamiętałem ten fragment, żeby zrobić na nim wrażenie, ale kapłan tylko wgapiał się we mnie, milcząc, z ustami rozciągniętymi uśmiechem, który nie wyrażał radości. Cindy stała za nim i nie widziała jego twarzy.

– Widzisz, kochanie – powiedziała do syna. – Wkrótce będziesz tak dobry jak Aidan. Wyobrażasz to sobie?

– Aidan, przeproś Jamesa – zażądał ksiądz.

– Za co?

– Nikt nie lubi przemądrzałych ludzi. To nie było miłe. Jesteśmy Kościołem i zachowujemy się tak, żeby każdy czuł się mile widziany i szanowany, prawda, Aidan?

Zwrócił się do Cindy.

– Przepraszam. Proszę wybaczyć mój ton, ale dzieciakom przydaje się odrobina dyscypliny.

– Świetnie to rozumiem – odpowiedziała. – Słyszałeś, James? Słuchaj księdza. – Poklepała syna po plecach i znów popchnęła go do przodu. – Dobrze się sprawi. Jak zawsze!

Duchowny wstał i zaprosił tych dwoje do wnętrza gabinetu.

– Siadajcie, proszę. – Wskazał im kanapę. Wracał mu entuzjazm i pewność siebie. – Aidan właśnie wychodzi. – Uśmiechnął się w moją stronę sztucznym uśmiechem rodem z imprez mojej mamy. – Mam spotkanie z Cindy i Jamesem. Co za dzień! – Klasnął w dłonie i kładąc mi rękę na plecach, wypchnął mnie z pokoju. – Idź już – powiedział na odchodne i zamknął za mną drzwi. Już zza nich usłyszałem kolejne klaśnięcie i wypowiedziane zdanie: – Dasz sobie radę, James! Przypomnijmy sobie teraz wszystkie obrzędy.

W holu starcy zapadali w drzemkę nad swoimi telefonami i kawą. Znałem kwestie, które wypowiadało się przy zbieraniu datków, lepiej od nich, ale dziś nie było dla mnie miejsca w parafii. Ani wszystkie świąteczne ozdoby, ani malunki i figury, ani nawet ludzie wypełniający pomieszczenie nie byli w stanie ukryć chłodu i martwoty wnętrza. Przypominało mi miejsce, gdzie mieszkałem – przerośnięty domek dla lalek, makietę czegoś, co w rzeczywistości nie istniało. Nie chciałem zostawać na wieczorne nabożeństwo i patrzeć, jak James radzi sobie z kadzidłem albo jak trzyma mszał przed księdzem Gregiem, a ten unosi ręce w modlitwie i uśmiecha się do chłopaka. Modlitwa polega na uświęconym zaufaniu, jak powiedział mi ksiądz, i nic tego zaufania nie może nadwerężyć. Nic, jeśli ma się wiarę.

„Kiedy was wydadzą, nie martwcie się o to, jak ani co macie mówić. W owej bowiem godzinie będzie wam poddane, co macie mówić. [...] Będziecie w nienawiści u wszystkich z powodu mego imienia. Lecz kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony”⁷. Powtarzałem w myślach ten ustęp, idąc. Nie poczekałem na samochód. Przeszedłem przez frontowy gazon i schodziłem w stronę ulicy. Niczego nie rozumiałem: Czy doświadczałem prawdziwej miłości, skoro tak

często była poddawana próbie? Czyżbym nie wytrwał do końca? Przecież trwałem i na pewno jeszcze bym wytrwał – odpowiedziałem sam sobie. Musiałem. Co innego mi pozostawało?

ROZDZIAŁ 3

Samochód miał przyjechać po mnie później, ale nie zadzwoniłem, żeby odwołać kurs. Poszedłem do domu, a mroźne powietrze kąsało moją twarz i oczy.

Kiedy kierowca mnie mijał, jadąc na plebanie, spuściłem głowę. Czułem, że jestem plamą szpecącą piękny krajobraz. Chciałem stać się pyłkiem, którego można się pozbyć, mrugając okiem. Mogę tylko sobie wyobrażać, jak wyglądałem, brnąc pod wiatr. Płaszcz falował za mną. Moja twarz pokryła się czerwonymi plamami. Słyszałem, jak przechodnie rozmawiają ze sobą, mijając mnie: „Kto to jest? Co on tu robi?”

Cóż, „ściągniecie już lepiej te wasze ryły”, bo jestem tylko jednym z was.

Kiedy dotarłem do domu, zrzuciłem płaszcz i zrobiłem sobie w kuchni coś do jedzenia. Miałem zamiar zabarykadować się w moim pokoju na resztę popołudnia i wieczoru. Tak właśnie bym postąpił, gdyby nie zadzwonił telefon, kiedy wciąż byłem na dole. Pobiegłem odebrać, sądząc, że to ksiądz Greg. Wyobrażałem sobie, że mnie przeprosi, powie, żebym wracał, że chce ze mną porozmawiać po nabożeństwie. Marzyłem, żeby powiedział, jak jest ze mnie dumny i że jeśli człowiek zwraca się ku drugiemu w potrzebie, wówczas zaprasza Boga do życia ich obu.

Jednak to nie głos księdza zabrzmiał w słuchawce. Dzwoniła Josie i ogarnięcie się zajęło mi dłuższą chwilę. Poczułem wstyd, choć nie wiedziałem dlaczego.

– Jak tam ferie? W porządku? – zapytała.

– Pewnie – odpowiedziałem.

Zawahała się.

– Nie czujesz zawsze zawodu? Najpierw spodziewasz się Bóg wie czego, a potem pytasz, gdzie te wszystkie wyczekiwane atrakcje?

– Taa...

– Mamo! Nie podsłuchuj! – Josie westchnęła i musiała chyba odejść gdzieś dalej z telefonem w poszukiwaniu prywatności. Czekałem. – Właściwie to nie najgorzej się bawiłam na twojej imprezie – powiedziała w końcu.

– Ja też.

– Nawet mimo tej chorej akcji z matką Marka, która kazała nam się zmywać bez najmniejszego powodu. Przecież nie zdążyliśmy się jeszcze spać. Trochę żałuję, że tak się to skończyło. W sumie to nie pożegnaliśmy się z tobą.

Rozmawiając z Josie, wyszedłem z kuchni i ruszyłem w stronę gabinetu Seniora.

– Nic się nie stało – powiedziałem.

– Stało, stało. Ale podobało mi się to, jak rozegrałeś sprawę. Spokojnie wzięłeś to wszystko na siebie. My staliśmy jak te barany. Sama nie wiem, czemu tak się zachowałam. Skrewiłam.

Słyszałem, milcząc. Nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Serio – mówiła dalej Josie. – W ogóle się nie kłóciłeś. Zdawało mi się, że to dziwne, a potem zrozumiałam, że weźmiesz całą winę na siebie.

– Bo to była moja wina.
– No co ty? Rozmawiajmy jak ludzie. Wszyscy wtopiliśmy.
– To ktokolwiek rozmawia nadal jak ludzie?
– Ale cynik z ciebie.
– Posłuchaj – starałem się trochę złagodzić poprzednie zdanie – przecież nic wielkiego się nie stało.
– Stało. I uważam, że nieźle dałeś radę.
Czułem się, jakby Josie sięgnęła poprzez słuchawkę telefonu i pogłaskała mnie po brodzie. Musiałem krążyć po domu podczas rozmowy.
– Dzięki. – Ledwo przeszło mi to przez gardło.
– Było mi głupio – powiedziała ciszej. – Zachowałam się jak samolubna szmata. Przecież narobiłam ci kłopotów.
– Nie sądzę. Zresztą od imprezy jest cisza. Serio. Pamiętasz? Mieliśmy nie gadać na ten temat. Ty, Mark, Sophie, ja. Jak cztery mądre małpy.
Jej śmiech spłynął na mnie przez telefon jak uścisk.
– Cieszę się, że wszystko w porządku – powiedziała. Milczeliśmy wspólnie. Słyszałem tylko jej oddech i mogłem sobie wyobrazić, jak przeczesuje ręką włosy, kiedy zbiera myśli. Niemal widziałem teraz to przekrzywienie głowy i łagodny skłon szyi, które podziwiałem na lekcjach z panem Weinsteinem. Czekałem.
– Słuchaj – odezwała się w końcu. – Mam postanowienie noworoczne. Chcę przestać być taką suką. To trudne, bo wszyscy dookoła zachowują się sukowato, ale spróbuję. Nie chcę taka być. Chcę się zmienić, wiesz?
– Wiem, o co chodzi. Też chciałbym być kimś innym.
Znów milczeliśmy.
– Wiesz co? Sophie, ja i Mark chcemy się dziś spotkać. Może przyjdiesz?
Nagle, ni z tego, ni z owego, miałem plany. Nie „zajęcia”, nie pracę, nie jakieś „wyjście do ludzi” wymuszone przez matkę. Mogłem się umówić jak każdy normalny chłopak w moim wieku. Ktoś mnie zaprosił. „Rozmawiajmy jak ludzie”, powiedziała. Zastanawiałem się, czy właśnie na tym polegają spotkania jej ekipy. „Jak ludzie”. W szkole tematy rozmów były dość ograniczone. Można było pogadać o pracy domowej, książkach czy o twierdzeniach z lekcji geometrii, ale nigdy nie powiedziałem Josie, że te ostatnie wikłają się w mojej głowie niczym wstążki, które czasem wplatała we włosy. Nigdy bym się nie przyznał, że zauważałem, co nosi na głowie. O czym mieliśmy teraz rozmawiać? O tym, co mnie naprawdę obchodzi? Chciałem „rozmawiać jak człowiek”, ale na jakiego człowieka wyglądałem w oczach innych? Jaki byłem naprawdę? Chciałem tego spotkania, ale targały mną wątpliwości.

Josie i Sophie przyszły po mnie niedługo potem. Spotkanie miało być w domu Josie. Ruby – jej pomoc domowa – zrobiła nam gorącą czekoladę, kiedy czekaliśmy na Marka. Chociaż nasze rodziny były niegdyś żyte, rzadko się z nim spotykałem. Z tego, co wiedziałem, nie miał wielu znajomych w szkole, podobnie jak ja, ale atmosfera dystansu, jaką wokół siebie wytwarzał, dawała mu opinię gościa, który nie potrzebuje innych. Podziwiałem tę zdolność.

Kiedy się w końcu zjawił, wszedł przez drzwi kuchenne bez pukania. Cmoknął Ruby na powitanie. Pocałował też Sophie i Josie.

– Donovan imprezuje z nami? – zapytał, choć było to pytanie retoryczne. – Fajnie cię znowu zobaczyć – odezwał się do mnie. Podał mi rękę.

– Wybacz to ostatnie zamieszanie – powiedziałem.

– Stary, to wszystko przez moją matkę. Zrobiła niezłe przedstawienie. Nie mówmy o tym.

Wyszliśmy z domu. Josie zaprowadziła nas do domku przy basenie. Postawiono go powyżej głównej posiadłości. Włączyliśmy muzykę i zasiedliśmy na barowych krzesłach. Mark stanął za barem i nabił bongo. Zapalił i puścił je w obieg. Wydychaliśmy dym przez zaimprovizowany pochłaniacz – kartonową rurkę wyścieloną cienkim papierem.

Nie odzywałem się wiele. Sophie i Josie gadały o swoich sprawach. Mark bawił się syfonem do wody mineralnej. Włączyłem telewizor. Stojąc przed ekranem, przełączałem pospiesznie kanały. Było coś przyjemnego w tym, że ludzie z telewizji znikali błyskawicznie na mój rozkaz. Z ekranu gapił się na nas posępny John Walker Lindh – amerykański talib. Telewizja pokazywała w kółko tę samą fotografię od grudnia, kiedy to bojownika ujęto w tunelach masywu Tora Bora. W twarzy umazanej sadzą i pokrytej niechlujnym zarostem oczy jarzyły się mocnym blaskiem. W kąciку ust błąkał się uśmiešek. Każdy znał historię tego faceta. Złapano go, kiedy ranny w udo marnotrawny syn Ameryki przedzierał się podziemnymi korytarzami. Patrzył się na mnie, jakby czekał, kiedy załapię wreszcie jego żart.

– Niezły pojeb – rzucił gdzieś z oddali Mark. Odwróciłem się. – Nie mówiłem o tobie, Donovan – zaśmiał się. – To Lindh jest pojebany.

– Sama nie wiem – zaoponowała Josie. – Jak dla mnie to strasznie smutne.

– Wyłącz to – jęknęła Sophie. – Gość wygląda jak potwór.

– Po prostu się boi – ciągnęła Josie. – Tak mi się zdaje. – O Boże! – Josie wskazała na ekran za moimi plecami. – Ta babka jest naprawdę szurnięta! Jak można się rozwieść z Michaeliem Jordanem?

– Czyli Jordan jest do wzięcia? – weszła jej w słowo Josie. Dziewczyny zachichotały. Miejsce tej wiadomości zajęła na ekranie kolejna. Nie było czasu, żeby którąkolwiek przemyśleć. Pojawiały się i znikaly jedna za drugą.

– Wyłącz to. – Mark uniósł puste bongo. – Trzeba nabić jeszcze raz.

Zgasilem telewizor i dołączyłem do towarzystwa.

– Myślę, że ten Lindh był przekonany, że stanął po właściwej stronie – odezwałem się.

– Powinni jego imieniem nazwać jakieś więzienie – burknął Mark, odpalając fajkę.

– To nie było śmieszne – odcięła się Josie.

– Skończcie już o nim gadać. – Sophie wydeła wargi. – Nie chcę o tym słuchać.

Mark pociągnął solidnego bucha i odepchnął dłoń dziewczyny, która podawała mu tekturową rurkę. Przechylił się ponad kontuarem, zaglądając Sophie w oczy. Zachichotała i też nachyliła się ku niemu. Pocałowali się, a z ich złączonych ust wypłynął dym. Ona oderwała się pierwsza i wydmuchała kłęb przez rurkę.

– Po co go marnować? – powiedział Mark i przybił ze mną piątkę nad głowami dziewczyn. Teraz zaciągała się Sophie, a po niej Josie. Z ust tej ostatniej popłynął przez karton cienki strumyczek dymu.

– Jara cię to? – zapytał Mark. Skinąłem głową, a moje serce galopowało.

Josie spojrzała na mnie.

– Wymieniałeś się kiedyś z kim dymem?

Aż do tego popołudnia nawet nigdy nie zapaliłem trawy, ale nie zamierzałem się przyznawać do braku doświadczenia. Alkohol i pigułki były łatwiej dostępne. Nie widziałem domu, w którym by ich nie było. Zbyt mnie zmuliło, bym był w stanie odpowiedzieć Josie. Ona jednak wzięła

małego bucha i przyciągnęła mnie do siebie. Do moich ust wpłynął dym, a zaraz za nim wsunął się jej język, który zawirował delikatnie i cofnął się z powrotem. Wstrzymałem oddech i próbowałem się uśmiechnąć. Nie przyszło mi to łatwo, bo dym gryzł mocniej niż papierosowy, a mój brzuch był gotów eksplodować. Ile to razy wpatrywałem się w tył głowy Josie i zastanawiałem się, jak to jest zbliżyć się do kogoś tak pięknego? Tymczasem dostałem znacznie więcej. Wpatrywała się we mnie. Oczy zaczęły mnie szczypać. Zamarłem. Mój kark i barki stężały. „Jak ludzie”. Co Josie we mnie dostrzegła? Składałem się z tylu różnych Aidanów, że przypominałem rosyjską matryoszkę. Wiele z tych wcieleń pragnąłem trzymać jak najdalej od Josie. Wydmuchałem dym przez rurkę i zakaszlałem.

– Nieźle. Kiedy kaszlesz, mocniej kopie – ostrzegł mnie Mark. – A Dustin niech idzie w pizdu – dodał, mówiąc do Josie.

– Dustin? – zapytałem, pragnąc odciągnąć uwagę od siebie.

– Umawiałam się z nim przez parę tygodni – powiedziała Josie.

– Z gościem, który kandydował do samorządu? Tym od „Postaw na Dustina”? – zapytałem. Sophie i Mark roześmiali się.

– Narobił sobie obciachu, ale przecież w końcu wygrał, nie? – odezwała się Josie.

Miała rację, choć Dustin zwyciężył w wyborach tylko dzięki temu, że postarała się o to solidarnie cała drużyna bejsbolowa.

– Cóż, nie musi o tym wiedzieć – stwierdziła dziewczyna. – Ani o tym. – Tu uśmiechnęła się do mnie. – Łapiesz?

Przytaknąłem jej.

– Teraz wasza kolej – wskazała na mnie i Marka.

– Ja dziękuję. – Spojrzałem na niego kątem oka. – Lepiej będzie, jeśli odwrócimy kolejkę.

Mark oparł się o półki za kontuarem. Na twarzy błąkał mu się krzywy uśmiešek.

– Nie ma mowy. – Josie uparła się. – Krąg musi się zamknąć.

Sophie była identycznego zdania.

– My, dziewczyny, jakoś nie mamy oporów. Co z wami, panowie?

– Nic – odpowiedziałem.

Sophie i Josie przekomarzały się ze mną, a Mark patrzył na tę scenę ubawiony. Dławił mnie tępy ból. Nie mogłem patrzeć na tego gościa. Moje ciało nabrało mechanicznego posłuszeństwa. Potrafiłbym zrobić wszystko, o co mnie poproszą. Byle tylko nie prosili, żebym zaczął. Gdyby on pocałował mnie, ja oddałbym pocałunek. Zresztą całus to nic wielkiego. Prosta sprawa. Niepokoiły mnie raczej inne związane z nim sprawy. Nie chciałem ruszyć się z miejsca, ale zastanawiałem się, czy nie mógłbym po prostu pocałować Marka, żeby mogło już wrócić to wrażenie, że jesteśmy razem i robimy wspólnie coś zakazanego. Tego tylko chciałem – żeby krąg trwał i żebym pozostał jego częścią.

– Trochę się pospinałeś – odezwał się w końcu Mark.

Dziewczyny zachichotały.

– Wcale nie – odparłem. Wahałem się, widząc, jak na mnie patrzą. – Chyba się upaliłem. Miałem coś zrobić?

– Słuchajcie, trzeba wyluzować – pouczył dziewczyny Mark. – Zmierzacie w złym kierunku.

Podszedł bliżej, wskazując na bongo, które trzymałem.

– Buchaj, stary, zanim zgaśnie.

Wciągnąłem dym do płuc, a Mark sięgnął przez kontuar i chwytając mnie za kołnierzyk,

przyciągnął do siebie. Otworzył mi usta, z których wypłynął dym. Wciągnął to, co wydychałem, odepchnął mnie i z triumfalnym gestem wydmuchał dym w powietrze przez rurkę. Miał suche usta. Nie wiedziałem, czy chciał, żebym się bardziej zaangażował. Nie wiedziałem nawet, czy ja tego chciałem. Przebiegł mnie dreszcz – być może identyczny przeszył też jego ciało. Miał spokojną, kamienną twarz. Ja topiłem się we własnym pocie. Wszyscy się na mnie gapili. Oczy całego miasta unosiły się za oknami jak gigantyczne ptaki, wyczekując tylko na sposobność, by wdrzeć się do środka.

– Jak już mówiłem – Mark uśmiechnął się – po co marnować zioło? Towar jest mocarny, chłopie. Nie co dzień można tak orbitować. – Jego ręka wystrzeliła w powietrze, a ja automatycznym ruchem przybiłem mu piątkę. W głowie wirował mi strach.

Dziewczyny wiwatowały, a pokój nieco się poruszył.

– Orbitować – wymamrotałem. Znów usłyszałem śmiech Marka i dziewczyn. Miałem nadzieję, że nie widzą, jak się trzęsę. Byłem rozdygotany i mokry. Uchwyciłem się krawędzi baru. „Właśnie tego chcę”, powtarzałem sobie. „To coś nowego. Byle tego nie zepsuć”. Gdyby jedna matroszka pękła, w jej ślady poszłyby pozostałe i wkrótce wszyscy zobaczyliby ten paskudny kamyk, jaki siedział w samym środku. Nigdy przedtem tak o sobie nie myślałem, nie dostrzegałem w sobie tej kropli ciemności. Wołałem o niej nie myśleć. Opadłem na stołek, zanosząc się śmiechem z rodzaju „no dalej, wyzywam was wszystkich”. Ten rodzaj śmiechu pożyczyłem sobie od księdza Grega.

– Zjarałeś się na amen? – spytała Sophie.

– Aha.

– To dobrze – orzekł Mark. – Wyluzuj i tak trzymaj. Witamy w klubie.

Kolejny raz przybiliśmy piątkę, tym razem serdecznie.

Josie zabrała mi bongo i przypaliła. Wahałem się, czy mogę się ku niej nachylić. Wiedziała o tym. Wzięła w palce kartonową rurkę. Dmuchnęła dymem prosto na mnie. Papier w środku wyglądał już jak zużyta srajtaśma. Josie przeszła na drugą stronę baru. Stała obok Marka.

– Wiecie co? – zagała. – Tata pilnuje swojego barku jak oka w głowie, ale może uda nam się odlać trochę wódki, a brak w butelce uzupełnić wodą. Nie połapie się.

– Ja nie piję – oświadczył Mark. – Muszę dzisiaj spędzić wieczór z rodzicami. Rodzinny wieczór, cokolwiek to według nich znaczy.

– Właśnie paliłeś zioło – zdziwiła się Sophie.

– To co innego.

– Sam jesteś inny – wypaliła Sophie.

– Ja się napiję – powiedziałem.

– Tak?

– Tak. I tym razem zamierzam nikogo nie opluć.

Josie wybuchnęła śmiechem, a Sophie dołączyła do niej. Wydałem policzki, a Sophie udawała, że znów zrobiłem jej prysznic z wódki. Śmiała się tak, że aż się popłakała.

Po drinku popołudnie stało się jakby mgliste. Przez pokłady zmulenia przebiegał się tylko śmiech dziewczyn. Wystarczyło, że jedna powiedziała kilka słów, żeby druga natychmiast podłapała temat, i tak się nakręcały bez końca. Udzielił mi się ich nastrój. Wciąż byłem nerwowy i zakłopotany – nie wiedziałem, czy nie śmieją się ze mnie, ale czułem się częścią towarzystwa.

Usiłowałem nie patrzeć Markowi w oczy. Kiedy rozmawialiśmy, wciąż był tym spokojnym, obojętnym, podśmiechującym się delikatnie chłopakiem, jakiego znałem ze szkoły. Czułem

jednak, że między nami nie ma dystansu. Tym razem znalazłem się jakby z drugiej strony jego uśmiešku, nie był on już dłużej wymierzony we mnie. Kiedy uznał, że musi już zbierać się do domu, zapytał, czy chcę z nim pójść.

– Umówiłam się z Dustinem, ale chyba dam sobie spokój – powiedziała Josie. – Też mógłbyś odpuścić sobie ten rodzinny wieczór – zaproponowała Markowi. – Mamy tu przecież własną imprezę. Tworzymy idealny czworokąt.

– Nie ma ideałów – odparł Mark. – Tak twierdzi mój tata. Mówienie o doskonałości jest objawem lenistwa. Trzeba się wysilić, by szukać rzeczy lepszych.

– Co to niby ma znaczyć? – zapytała Sophie.

– Chodzi o to, żeby nie stać w miejscu – wyjaśnił Mark. – Dobra, wyluzujcie. Ale ostatnim razem, kiedy powiedziałem przy ojcu – nawet nie do niego, tylko w jego obecności – że coś jest idealne, zrewanżował mi się całym kazaniem.

Josie i Sophie przytuliły go. Pocałowałem Sophie w policzek i nachyliłem się ku Josie. Chwyliła mnie za rękę.

– Przychodzisz na sylwestrową imprezę, prawda? – Sophie zachichotała. To dziwne, ale nagle dokładnie wiedziałem, co robić. Pocałowałem Josie w usta na do widzenia. Oddała pocałunek.

Mark położył mi rękę na ramieniu.

– On idzie ze mną – oznajmił. Poszliśmy do wyjścia. – Będzie ciekawie – wyszeptał. – Dustin tu przyjdzie.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami altany, a potem wzdłuż niskiego kamiennego murku doszliśmy do małego zagajnika. Mark wyciągnął z kieszeni lufkę i przypaliliśmy jeszcze. Po wszystkim poszliśmy dalej i znaleźliśmy się na ulicy biegnącej szczytem wzgórza, na tyłach domu Josie.

– Wiesz co? – przerwał milczenie Mark. – Dobrze, że mamy kogoś nowego w ekipie. Do tej pory byłem tylko ja i dziewczyny.

– Jasne.

Zaśmiał się.

– Chyba źle mnie zrozumiałeś. Mówiłem tylko, że cieszę się, że jest ktoś nowy. Teraz mamy idealny czworokąt. Podoba mi się to.

– Mnie pasuje.

– Pewnie. – Znów usłyszałem jego śmiech. – Jesteś w porządku, Donovan. Jesteś w porządku. – Uśmiechał się, potrząsając głową. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Szliśmy w milczeniu. Nadal byłem zamroczony. Usiłowałem poskładać do kupy wydarzenia tego popołudnia i zrozumieć, jakim cudem znalazłem się w takiej ekipie. Kierowaliśmy się w dół wzgórza, mijając skraj pola golfowego Stonebrook Country Club. Chociaż śnieg w mieście topniał, na piaszczystych łąkach, jakie znajdowały się na polu, wciąż zalegały zasy. Nad naszymi głowami płynęły chmury i słońce od czasu do czasu pobłyskiwało na krawędziach śnieżnych zwałów.

U stóp wzgórza skręciliśmy, dalej idąc wzdłuż terenów klubu. Doszliśmy do małego mostka, który spinał brzegi rzeki. Do portu było stąd daleko. Żeby wrócić do domów, musielibyśmy się teraz rozdzielić, ale Mark nagle przestał się spieszyć.

– A co do tej imprezy... – zagałem.

– Będzie grubo. Picie u Feingolda. Wszyscy się wybierają. Byłoby głupio zostać w domu – stwierdził Mark. – Chociaż sam nie wiem, jak będzie – ciągnął. – Wybieram się, ale zazwyczaj nie chodzę na takie biby. Może to będzie smętna domówka z gatunku tych, na które wszyscy

przychodzą, ale ciężko nawet z kimś pogadać. Wszystko jest udawane. – Pomachał sobie ręką przed oczami. – Sam nie wiem. Wybacz, ale się upaliłem.

– Chyba masz rację – przytaknąłem mu. – Ale może to się bierze stąd, że ludzie się boją.

Mark spojrział na mnie.

– Czego?

– Nie wiem. Wszystkiego. Może wszyscy uciekają w pozory, bo nie pozostało im nic innego.

– I nie potrafią być prawdziwi? To smutne.

– Powiedz im, żeby zdjęli te pieprzone mordy – powiedziałem i natychmiast poczułem się dziwnie, bo przybrałem całkiem zwyczajny ton. – Nie potrafią, wiesz?

Gapiliśmy się obaj w płynącą pod nami rzekę. Bryły lodu i suche liście sunęły pod mostem i spływały zakosami w kierunku portu.

– Ale my potrafimy – oświadczył Mark. – Jesteśmy prawdziwi. – Przytaknąłem, a on milczał. Zamknąłem się w sobie. Musiałem się zamknąć. Bałem się już odzywać, bo mogłem chlapnąć coś, co wcale nie miało opuszczać moich ust. Milczeliśmy obaj. Mark znów położył mi rękę na ramieniu. – Stary, muszę już iść. Jestem porządnie spóźniony. – Pożegnaliśmy się, stukając się w pierś ramionami, jak sportowcy, których widywałem w telewizji.

Mark poszedł w swoją stronę, a ja czekałem w nadziei, że uda mi się trochę przetrzeźwieć przed powrotem do domu. Gapilem się na czarną wstęgę rzeki, która przesuwiała się przede mną, by niedaleko stąd wpaść do morza w porcie. Myślałem o ustach i języku Josie, o tym, jak głos Marka wydobywa się spomiędzy jego silnych szczęk, i o śmiechu Sophie. Ich części ciała mieszały się w moim umyśle niczym na jakimś picassowskim połamanym obrazie. Ostatecznie uformowały się w całkowicie nową mozaikę jak przesuwające się w kalejdoskopie kryształki. Żonglowałem w umyśle językami, wargami, palcami, usiłując znaleźć jakąś zasadę rządzącą układanką. W końcu musiało przecież kryć się za tym coś głębszego niż tylko seks. Musiałem uwierzyć, że zetknięcie naszych ciał formowało jakiś most prowadzący do głębi poznania, że fragmenty zazębiały się ze sobą, aby utworzyć pełniejszą całość, tak jak oddech nie jest tylko wdechem i wydechem, ale też ich wzajemnym dopełnieniem. Tego właśnie pragnąłem: poczucia stałości, dopełnienia. Chciałem być pewien, że każdy lęk można rozwiązać. Pragnąłem potwierdzenia, że samotność jest uleczalną chorobą, która znika, kiedy czyjś wdech towarzyszy mojemu wydechowi, i że trzymając się razem, nie będziemy już sami.

Czułem się coraz gorzej. Potrzebowałem kogoś, kto powiedziałby mi, że wszystko będzie dobrze. Mogłem dawać z siebie jak najwięcej i szukać bezustannie, ale bez szczegółowego planu byłem skazany na bezcelową tułaczkę. Chciałem jasnych wskazówek: „Aidan, idź prosto, skręć w prawo, w lewo i jeszcze raz w lewo, a dojdiesz tam, gdzie chciałeś”. Czy właśnie nie to obiecywał mi ksiądz Greg? „Lepszy dom”, miejsce, gdzie mógłbym odnaleźć spokój. „Tego chce od ciebie Pan, Aidan. Ja tego od ciebie chcę. Cicho, zaraz będzie ci dobrze. Zaraz wszystko będzie dobrze. W miłości. To właśnie miłość, Aidan. To jest miłość”.

Słyszałem jego szept, kiedy wpatrywałem się w nurt rzeki. Jego głos szemrał we mnie. Od czasu do czasu nadpływała lodowa kra, wpadała pod most i znikła w oddali. Nie mogłem się skoncentrować. Pragnąłem wybrać jakiś kierunek, zobaczyć siebie w jasnym świetle i powiedzieć „tak, to właśnie ja”, ale moje myśli kłębiły się chaotycznie i nie mogłem się rozeznąć w tym zamęciu.

ROZDZIAŁ 4

„Najważniejsze sprawy w życiu wymagają wiary” – powiedział mi kiedyś ksiądz Greg. „Jezus nie przemienił kamieni w chleb, kiedy głodował na pustyni, ani nie rzucił się z narożnika świątyni, by udowodnić, że jest synem Boga. Wiedział, że do życia trzeba mu wiary, a nie chleba, i wiedział też, że nie musi jej wystawiać na próbę. Musisz mi wierzyć, Aidan. Musisz uwierzyć, że cię kocham. Wszystko będzie dobrze, jeśli zachowasz wiarę w naszą miłość. Miłość to działanie Boga”.

Więc mu wierzyłem. Wierzyłem, kiedy jako jedyny wręczył mi we wrześnie urodzinową kartkę, i wtedy, kiedy dostałem od niego zdjęcie witraża z moim patronem, które zrobił w Anglii. Wierzyłem, gdy przedał na pół chusteczkę, żeby służyła nam obu, kiedy weźmie nas na kichanie. Śmiałem się, kiedy mnie rozśmieszał. Ufałem, kiedy twierdził, że to uczucie minie, i kiedy mówił „nie płacz” albo „trzymaj się”. Wierzyłem mu, kiedy mówił, że się mną zaopiekuje i że mój płacz jest w porządku, bo daje mu szansę, by dbać o mnie jak najlepiej. Wyglądało jednak na to, że mógł mi zaoferować jedynie dziwny, bolesny magnetyzm.

Byłem przekonany, że kiedy wypraszał mnie z gabinetu, byliśmy umówieni na spotkanie na następny dzień. Nie chciałem go zawieść. Wyszedłem z domu jeszcze wcześniej. Kierowca znów zawiózł mnie do Najdroższej Krwi i kazałem mu nie wracać tutaj przed wieczorem. Po drodze rozmyślałem o tym, co powiem księdzu. Chciałem porozmawiać o Josie, Marku i Sophie, ale jednocześnie coś mnie przed tym powstrzymywało. Zyskałem wreszcie jakiś punkt odniesienia i wnioski, jakie mi się nasuwały po drodze, przerażały mnie coraz bardziej.

Światła na plebanii były przygaszone. Przywitała mnie cisza. Kuchnia była zamknięta i nikt nie kręcił się po holu. Pozostałości po wczorajszej zbiórce pieniędzy piętrzyły się w odległym końcu korytarza. Na sztaludze rozpostarto plakat z budynkiem szkoły. Wypisano na nim rosnące kwoty uzyskane ze zbiórki. Na górze widniał zielony odręczny napis. Rozpoznałem charakter pisma księdza Grega. „Szkoła Świętego Filipa już powstaje”.

Z gabinetu duchownego sączyło się światło widoczne przez szpary w drzwiach, a biuro księdza Dooleya było otwarte. Słyszałem, jak mamrocze coś do telefonu. Nie chciałem, żeby zobaczył mnie na korytarzu. Ksiądz Greg powinien się mnie spodziewać. Jeśli nie zapukałbym do jego drzwi, i tak powinien wiedzieć, gdzie jestem. Zszedłem schodami do piwnicy.

Na dole słaba lampa pod sufitem wydobywała z mroku pęknięcia i liszaje wilgoci na ścianach. Korytarz prowadził do magazynu. Szare metalowe drzwi wyglądały na cięższe, niż w rzeczywistości były. Zdałem sobie sprawę, że nigdy sam ich nie otwierałem. Zawsze robił to za mnie ksiądz Greg. W środku, kiedy pociągnąłem za łańcuch, zaświeciła się luźno zwisająca na kablu żarówka. Rzuciła żółtą poświatę na wejście do magazynu, a jej nikłe światło ledwie sięgało ławeczki do ćwiczeń ustawionej na środku. Pod ławką dojrzałem pomarańczowe zwoje elektrycznego piecyka. Wiedziałem, że ksiądz przyjdzie. Przygotował pomieszczenie tak jak zawsze. Nie miał zamiaru mnie odepchnąć.

W dalekim zakamarku szumiał kocioł grzewczy. Brzęczące i syczące rury krzyżowały się pod

sufitem, wypełniając magazyn dźwiękiem. Ściskając w ręku płaszcz i czapkę, podszedłem do dwóch małych, zakratowanych okienek, które wychodziły na ogród plebanii. Popołudniowe światło wpadało przez nie do zaimprovizowanego warsztatu. Każdy inny chłopak w moim wieku, wyglądając przez te okienka, marzyłby o długim zjeździe w dół oblodzonego trawnika na podłożonej pod tyłek tacy ze stołówki. Ja jednak tylko czekałem, aż moje oczy przyzwyczają się do piwnicznej ciemności. Wołałem pozostać tutaj – w zimnym, wygodnym cieniu. Rury w końcu się uspokoiły i słychać było jedynie monotonne buczenie grzejnika. Teraz wymagano ode mnie jedynie bezczynności. Ksiądz Greg miał zaraz się zjawić, a ja nie miałem dokąd pójść.

Wciąż stałem pod oknami, skryty w cieniu metalowych półek, kiedy usłyszałem, jak otwierają się drzwi. Przycisnąłem się do ściany i schowałem za regałem, na wypadek gdyby wchodzącym okazał się Dooley. Ulżyło mi, kiedy usłyszałem głos księdza Grega, teraz jednak rozmawiał z kimś innym. Obaj podeszli do ławeczki i chociaż nie mogłem ich dostrzec, wiedziałem, że towarzyszem księdza jest młodszy ode mnie ministrant.

– To nic złego, że tu jesteśmy?

Ksiądz Greg zaśmiał się. Usłyszałem głuchy odgłos, kiedy siadali na ławeczce. Stuknęło szkło.

– Musimy tu przychodzić – mówił duchowny. – Pamiętaj, że to zostaje między tobą a mną. Nikt inny nie może nic wiedzieć. Nikt.

– Pamiętam – odpowiedział chłopiec, a ja rozpoznałem ten zahukany głos. To był James, trzynastoletni syn Cindy.

– Pijemy napój mężczyzn – rozległ się głos księdza Grega.

– Dam radę.

– Wiem.

– Ale nie czuję się najlepiej – dodał po chwili chłopak.

– Dalej, nie krępuj się. Chciałem się z tobą podzielić.

– Po prostu nie czuję się za dobrze. To wszystko.

– Nic ci nie jest.

– Może już pójdę?

– Nikogo tu nie ma. Nie ma się czego bać. Wszystko jest w porządku. Ze mną nie musisz się obawiać.

– Nie czuję się dobrze – powtórzył James. – Przykro mi. – Nastąpiła cisza, a potem usłyszałem stuk szklanki odstawianej na ławeczkę. – Nie – opierał się James. – Proszę.

– Jest w porządku – powiedział ksiądz.

Niczego nie widziałem, ale nie musiałem nic widzieć. Wiedziałem, że w szklankach jest szkocka – większa porcja dla księdza i mniejsza dla Jamesa. Nawet z tej odległości wiedziałem, jak trunek pachnie w oddechu księdza Grega – znałem to gorąco. Wiedziałem, że ten oddech zacznie wkrótce owiewać ramię i ciepły podmuch dosięgnie szyi chłopaka, a potem ucha, gdzie wkradnie się tak, że można będzie pomyśleć, iż nigdy nie ucichnie.

– Rozmawialiśmy o tym – powiedział duchowny. Znałem scenariusz rozmowy i kiedy usłyszałem te znajome słowa, zdjął mnie strach, jakiego nie czułem od momentu mojej pierwszej wizyty w piwnicy. – To właśnie dzięki temu nasza relacja jest taka niezwykła. Jesteśmy tylko ty i ja, James. To ważne. Nie chcesz, żeby ktoś nas tego pozbawił, co?

– Nie – odpowiedział ministrant.

– Zależy mi na tobie, James. Nie chcę cię skrzywdzić. Nie chciałbyś chyba, żeby ktoś skrzywdził mnie, prawda?

– Nie.

Z ust księdza Grega wydobył się uciszający syk.

– Pomogę ci. Przekonasz się. Sza – syknął znów.

Przysiadłem przy ścianie, przyciskając kolana do piersi. Zatkaną pięściami uszy i zamknąłem oczy, chociaż i tak niczego nie widziałem. Nie musiałem. Wiedziałem, jak pochłaniający był uścisk księdza Grega, jak te objęcia wysysały powietrze, aż w końcu oddawało się w ofierze swój własny oddech. Duchowny był dwa razy większy od Jamesa. Wiedziałem, w jaki sposób jego bezwstydnym oddechem ogarnia teraz chłopaka. Wiedziałem, jak znosić go w ciszy, i teraz też milczałem, zwinięty ciasno w kłębek. Nie słyszałem niczego poza głosem księdza w mojej głowie: „To też jest miłość. Nasza miłość – przeznaczona tylko dla nas”.

Do oczu napłynęły mi łzy, kiedy zaczęli w końcu odmawiać *Ojcze nasz*. Szeptalem modlitwę razem z nimi. Ksiądz kazał ministrantowi powtarzać, aż słowa rozbrzmiały głośno i wyraźnie, jakby chłopak wymawiał je z własnej woli, a przynajmniej z dostatecznym spokojem. Potem, już w ciszy, ksiądz wyłączył grzejnik i światło. Zabierał Jamesa ze sobą na górę, przyzywając go słowami, które dobrze znałem: „To zostaje tylko między mną a tobą, James. Pamiętaj o tym. Nikt się nie może dowiedzieć”.

Zostałem na swoim miejscu, wciśnięty w ciemny kąt za półkami. Po twarzy płynęły mi łzy. Nienawidziłem Jamesa, choć niczym nie zawinił. Słyszałem jego „nie”. Odbijało się we mnie echem. Nie padło z moich ust, kiedy zeszłego lata zasiadłem na ławeczce z księdzem Gregiem i pociągnąłem pierwszy łyk szkockiej. Po prostu pozwoliłem mu, żeby się do mnie zbliżył. Zamknąłem oczy i pograżyłem się w sobie. Kciuk księdza nacisnął moje jabłko Adama i już zastanawiałem się, jak źle się to wszystko skończy, kiedy dojrzałem na jego twarzy spazm rozkoszy. Poczuliśmy się w jakiś dziwny sposób ważni, bo wiedziałem, że to właśnie mnie ją zawdzięcza. Godziłem się więc na to raz za razem, aż stało się rutyną.

Siedziałem teraz w mroku, słuchając szcęknięcia własnych zębów, aż przez okienka wpadły promienie reflektorów auta. Nie wiedziałem, ile czasu spędziłem w piwnicy. Kiedy usłyszałem klakson, wiedziałem, że ten samochód przyjechał po mnie. Wzdrygałem się na myśl o drodze powrotnej i rozmowie z kierowcą, ale musiałem się stąd wynosić. Klakson znów zatrząbił.

Wciąż ściskając płaszcz i czapkę w rękę, pobiegłem do drzwi. Otworzyłem je gwałtownie. Uderzyły o mur z głuchym hukiem, który poniósł się po klatce schodowej. W korytarzu było ciemno, ale widziałem światło sączące się z kancelarii na górze. Przeskakiwałem po dwa stopnie, lecz zatrzymałem się na końcu schodów.

Ksiądz Greg stał w drzwiach wejściowych i wyglądał na parking. Widziałem światła taksówki jarzące się w ciemności przed kościołem. Słyszałem głos dochodzący z parkingu, ale mówiący stał zbyt daleko, żebym mógł rozróżnić słowa.

– Niestety, bardzo mi przykro – odpowiadał mu ksiądz. – Nie było go tu dziś. – Odwrócił się. Jego sylwetka wypełniała niemal całą framugę. Miał na sobie włóczkową czapkę, flanelową koszulę bez koloratki. Rozpięty płaszcz zwisał luźno. Patrzył przez chwilę na mnie, zawahał się, po czym odwrócił się znów w stronę rozmówcy. – Dzisiaj się nie zjawił. Niestety, nie mogę pomóc. – Pomachał kierowcy. – Jasne! Wszystkiego dobrego, wesółych świąt!

Zamknął drzwi i przekreślił zamek.

– Aidan? – Miał czerwone oczy i ciężko oddychał. – Aleś ty mnie wystraszył! Nie powinno cię tu być.

Milczałem.

– Co ty tu robisz? Byłeś tam na dole?
– Skłamałeś kierowcy, że mnie tu nie ma – powiedziałem. – Widziałeś mnie. Patrzyłeś prosto na mnie.

Skrzyżował ramiona.

– Uspokój się. – Podrapał się po brodzie. – Powinniśmy porozmawiać. Odwiozę cię do domu.

– Nie – odpowiedziałem cicho.

Wyprostował się.

– Musimy porozmawiać w gabinecie – oświadczył.

– Chcę wyjść – podniosłem nieco głos.

Opuścił ramiona. Zdjął czapkę i wcisnął ją do kieszeni płaszcza. Pogładził rozwichrzone włosy.

– Aidan, daj spokój. Przecież mnie znasz.

– Nie jestem pewien.

Wyjrzałem na korytarz. Był całkiem ciemny, nie licząc prostokąta światła, które wylewało się z gabinetu księdza.

– Kierowca powiedział, że cię tu przywiózł. Spędziłeś na dole całe popołudnie? – Otarł twarz i westchnął. – No dobra. Spokojnie. Uspokój się, Aidan. – Jego głos miał w sobie szelest i syk wywołane przez zbyt wiele drinków. Mówiąc, zbliżał się do mnie i zanim zdążyłem się ruszyć, chwycił moje ramię. Próbowałem się wyrwać, ale nie mogłem się wyswobodzić. Zaciągnął mnie do swojego biura i zamknął za nami drzwi.

– Siadaj.

– Nie chcę tu być.

Zdjął płaszcz i wyrwał mi z rąk mój wraz z czapką.

– Posłuchaj – powiedział, odkładając je na biurko. – Uspokój się. Możemy o tym pomówić.

Zaprowadził mnie przed kanapę, ale nie usiadłem. Potarłem kciukiem miedziane ćwieki zdobiące poręcz. Z małego portretu na ścianie spoglądał na mnie święty Augustyn. Biurkowa lampka oświetlała stosik kartek z podziękowaniami, które wypisał ksiądz. Zdałem sobie sprawę, że to ja miałem je składać, stemplować i wysyłać. Duchowny odsunął dłonią butelkę szkockiej i dwie szklanki stojące na zielonym blacie biurka. Oparł się o nie, krzyżując ręce na piersi. Naprężone ramiona naciskały na koszulę.

– Może jednak usiądziesz? – spytał.

– Nie.

– Aidan, tylko bez nerwów. Uspokój się. Po prostu usiądź.

– Nie – powtórzyłem głośniejszym głosem.

– Porozmawiamy o tym. Nie wiedziałem, że tam byłeś.

– Sądziłem, że się umawialiśmy. Miałem przecież przyjść.

Potarł twarz.

– Och, Aidan...

– Ustaliliśmy to wczoraj. Więc jestem.

– Musiałem coś powiedzieć, żebyś wczoraj poszedł.

– Nie rozumiem!

– Uspokój się, Aidan.

– Myślałem, że wszystko jest inaczej! Że ze mną jest inaczej!

– Bo jest. Jest. Pozwól, że wyjaśnię.

Zrobiłem krok w stronę drzwi, ale odepchnął mnie z powrotem. Opadłem na kanapę.

– Dosyć! – krzyknął na mnie. Oparł się o biurko i tarł twarz. – Siedź tu, bo muszę pomyśleć.

Staralem się złapać oddech. Ksiądz gapił się na własne stopy i kiwał głową.

– Nie chcesz przecież iść do domu. Nie chcesz, prawda? Wiesz o tym.

Milczałem.

W końcu spojrzał na mnie.

– Wszystko będzie dobrze.

– Zawsze to słyszę.

– Bo to prawda, Aidan. To prawda.

– Nie. Kłamałeś.

– Mylisz się. Pozwól, że wszystko wyjaśnię.

– Kłamałeś.

– Nie kłamałem. – W jego głosie usłyszałem błagalną nutę. Nagle brzmiał jak ktoś znacznie młodszy. – Musisz mnie zrozumieć. – Podszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach, przybliżając się jeszcze bardziej. Mówił miękko, stojąc nade mną. – Sza! Poczekaj chwilę. Przecież mnie znasz. Nigdy cię nie okłamałem. – Znów zasyczał, uciszając mnie. – Zależy mi na tobie i wiesz o tym. Sza! – Przesunął dłonią po obwisłej skórze twarzy. – No już. Uspokój się. Właśnie tak. Oddychaj. Bardzo dobrze. – Wytarł kciukiem moje łzy. Palec zjechał do kącika moich ust. – Jesteś dla mnie szczególnie – powiedział cicho. – Nie zapominaj, jak się o ciebie troszczę. Pamiętajmy o tym. Potrafimy się zrozumieć, prawda? – Zmierzył mi włosy na potylicy. Delikatnie przyciągnął ku sobie. Rękaw koszuli przesunął się po moim czole. Czulem pot. Przytłumiony, cuchnący whisky oddech. Trząśłem się. Ksiądz mówił dalej: – Nikomu nigdy nie powiedziałaś, prawda? Nikomu nie powiedziałaś ani słowa?

Potrząsnąłem głową.

– Wiesz, co by ze mną zrobili w przeciwnym razie? Nie chcesz mnie skrzywdzić, co?

Odchylił się do tyłu. Na ścianie za nim widziałem fotografie z jego podróży po świecie – z Salwadoru, Kenii, Senegalu, Kambodży... Otaczali go uśmiechnięci ludzie, również dzieci. Stał teraz nade mną, uśmiechając się. Grzbietem dłoni dotknął mojego czoła.

– Jesteś rozpalony, Aidan. Trzęsiesz się. Przyniosę ci wodę. – Miał lodowatą dłoń. Nie chciałem jej już więcej poczuć.

Ksiądz stanął za biurkiem. Śledził mój wzrok, który spoczął na butelce whisky.

– W porządku? – zapytał. Przytaknąłem i wstałem. – To chyba dobrze nam zrobi – powiedział.

– Napijemy się obaj. Rozumiemy się?

Ponownie skinąłem głową i kapłan rozluźnił napięte dotąd ramiona. Nalewał z uśmiechem. Wypiliśmy prędko. Gapilem się na dno szklanki. W oczach miałem łzy.

– Spokojnie. – Znów usłyszałem, jak zmienia się ton jego głosu. Ścisnąłem szklankę obiema dłońmi. – Aidan, proszę.

Kiedy chciał dotknąć mojego ramienia, roztrzaskałem szklankę o krawędź biurka. Szkło rozprysnęło się po gabinecie. Ból poczułem dopiero wtedy, kiedy dostrzegłem krew na mojej dłoni.

Ksiądz złapał mnie, zanim zdążyłem się odsunąć. W panice powtarzał moje imię. Przyciągnął mnie do siebie, jednocześnie otwierając szuflady. Wycierałem dłoń o wyściółkę biurka i kartki z podziękowaniami. Krzyczałem z bólu.

– Proszę – błagał ksiądz Greg. – Pozwól sobie pomóc.

Kaszlałem. Próbowaliśmy się wyrwać, ale jego uchwyt był zbyt silny. Zabrakło mu słów. Wyciągnął z szuflady mały ręcznik, którym osuszał moją dłoń.

– Aidan, Aidan – powtarzał moje imię bez końca, jakby nie był w stanie zrobić nic innego. Stęknąłem. Obejrzał mi dłoń, szukając pozostałych w ranie odłamków szkła, ale szarpałem się w jego uścisku. Krew płynęła szybko. Wytarłem ją w rękaw księdza. Znow przeszył mnie ból. – Aidan, proszę. Zajmę się tobą.

– Greg! – krzyknął ktoś na korytarzu. Drzwi otworzyły się, a do wnętrza wpadło jasne światło lamp z holu. – Co tu się wyprawia? – Ksiądz Dooley wszedł do gabinetu.

– Rozciął sobie dłoń – odpowiedział zapytany.

Dooley zmierzył Grega wzrokiem.

– Aidan się skaleczył. Próbuje mu pomóc. – Owinął moją dłoń ręcznikiem. Nie byłem w stanie mówić.

– Przestań, Greg – powiedział Dooley.

– To wcale nie tak.

– Zamknij się. Zamilcz. Jesteś chory, Greg. Bardzo chory.

Mój prześladowca potrząsnął głową.

– On tylko rozciął sobie dłoń.

– Dosyć, Greg! Aidan, nie bój się – powiedział ksiądz Dooley do mnie. – Nic ci się już nie stanie. – Cekał, aż wyjdę z gabinetu. – Pozwól, że odwiozę cię do domu. Greg, do cholery! – uciszył księdza, który znow próbował coś wykrztusić. – Tego już za wiele. Puszczaj go!

Młodszy duchowny chciał coś dopowiedzieć na swoją obronę, ale zawahał się. Jego uścisk zelżał i rozluźnił się zupełnie.

– Wszystko będzie dobrze. Aidan, proszę, chodź tu – powiedział ksiądz Dooley.

Zrobiłem krok w jego stronę, lecz nagle odepchnąłem go i wybiegłem z plebanii. Przemknąłem przez podjazd i dopadłem do ścieżki. Zaśnieżony trawnik wyglądał jak pustynia. Przystrzyżone krzaki przypominały mi kaktusy rzucające migotliwe cienie na piasek. Gnałem przez miasto z szeroko otwartymi oczyma niczym jakiś stwór z gatunku tych, jakie można zobaczyć tylko przy świetle księżyca.

Krew zastygała w brązowe strużki na moim nadgarstku. Była moja – wiedziałem, że zraniłem się szkłem, ale czułem, jakby należała do niego, jakby przyciągała mnie z powrotem na plebanie. „Aidan”. Wepchnąłem dłoń w zaspę. Zimno zaszczypało mnie, lecz krew przestała lecieć. Wył wiatr, ale mnie się zdawało, że słyszę stłumiony oddech owiewający moje ucho. Krzychałem, żeby zagłuszyć ten dźwięk. Biegłem w świetle nisko wiszącego księżyca, który wypalał w chmurach pomarańczowy krąg. Śledził mnie niczym mrugające oko.

Zdarłem sobie gardło, a moja twarz była pokąsana przez mróz. Stałem, trzęsąc się, w bladym świetle pod reklamą Mobila. Wybiegłem na zewnątrz bez płaszcza, rękawiczek i czapki. W powietrzu unosił się zapach paliwa. Zdałem sobie sprawę, że jestem już poza miastem. Zawędrowałem na stację benzynową przy autostradzie. W pobliżu był McDonald dla podróżnych. Na parkingu przed nim stało kilka samochodów. Nie było bardzo późno, ale w środku dostrzegłem ledwie parę osób. Szczękałem zębami i nie byłem w stanie opanować drżenia rąk. Wszedłem do sklepu na stacji benzynowej. Krążyłem alejkami wśród regałów. Kupiłem burrito i kawę po irlandzku. Podgrzałem posiłek w mikrofalówce. Patrzyłem, jak nadyma się w żółtym świetle żarówki zamontowanej w kuchence.

Dziewczyna z obsługi miała mnie głęboko w dupie. Siedziała za ladą na drugim końcu

sklepu, gadając przez telefon. Trudno nawet było nazwać to rozmową. Trajkotała bez przerwy. Usiadłem przy oknie. Za stół posłużył mi stos skrzynek od piwa. Międzystanową autostradą sunęły auta. Myśli kotłowały się w mojej głowie. Przypominałem sobie detale z gabinetu księdza Grega – portrecik świętego Augustyna na ścianie, słoik z długopisami, miedziane ćwieki zdobiące skórzaną kanapę. Wszystko to znałem na pamięć.

Z autostrady zjechał biały autobus. Zatrzymał się przed McDonalodem i wypluwał pasażerów. Ustawili się w kolejce do lady. Przydałby mi się kolejny kubek kawy albo tabletki NoDoza, która utrzymuje przy życiu kierowców ciężarówek przemierzających nocą kraj.

Autobus podjechał pod dystrybutor paliwa. Kierowca uruchomił pompę i sam ruszył do McDonalda. Podniosłem się z miejsca. Na burcie autobusu wymalowano zielone i czerwone chińskie ideogramy. Otaczały niebieski znak, na którym widniały dwie strzałki i nazwy miast. Nowy Jork – Boston. Ekspres był zajechny nawet bardziej niż bus Greyhounda.

Idąc, oglądałem się przez ramię. Sądziłem, że kierowca zaraz wyjdzie z McDonalda. Jednak kiedy byłem już w środku pojazdu, zauważyłem, że wstąpił po papierosy do sklepu i niczego nie dostrzegł. Z tyłu była ciasna, pozbawiona okien toaleta. Tam się zaszyłem. Śmierdziało, jakby ktoś się właśnie odlał, ale skrupulatnie omijał strumieniem muszlę klozetową. Do ściany przykleiły się pasemka papieru. Nie było zamka. Żeby zamknąć się od środka, trzeba było zamotać elastyczną linkę wokół klamki, a potem zahaczyć o uchwyt na przeciwległej ścianie. Bałem się, że kierowca mnie zauważył, a obawy rozwiązał dopiero dźwięk silnika. Ruszyliśmy. Jeszcze raz się zatrzymaliśmy i do środka wtoczyli się pasażerowie. Siedziałem w kiblku, kiedy wyjeżdżaliśmy na autostradę, odczekałem jakiś czas i wyszedłem. Pojazd był niemal pusty. Pasażerowie drzemali w fotelach. Usiadłem w pobliżu łazienki. Zwinąłem się w kłębek, czekając, aż ogrzewanie zrobi swoje. Jechaliśmy na południe. Silnik huczał, a bus podskakiwał na drodze w stałym rytmie. Siedzenia czuć było samochodowymi środkami czystości. Wyczułem też nutę odświeżacza powietrza, który pachniał jak guma do żucia. Wszystko to jednak nie zacierało wrażenia brudu. Wdychając tę atmosferę, czułem, że oto zostałem wystrzelony w pustkę.

Miasto połknęło autostradę. Po obu stronach drogi ekspresowej wznosiły się betonowe ściany. Przecinaliśmy kolejne dzielnice. W końcu zatrzymaliśmy się na przystanku schowanym pod masywnym stalowym mostem. Wszystkie oznaczenia w autobusie wypisano po chińsku. Pasażerowie wysypywali się na ulicę. Dołączyłem do nich. Przeszedłem parę przecznic cuchnących rybą i benzyną. Schody pożarowe pięły się zygzakami po ścianach budynków. Wszędzie dookoła ludzie się nawzajem przekrzykiwali. Wpadali na mnie, ale nie zostałem obdarzony uwagą. Nos bolał mnie z zimna. Bez przerwy przecierałem go rękawem bluzy, a i tak nie mogłem się pozbyć wiszącego gila.

Błąkałem się po zabarykadowanych ulicach Manhattanu, unikając żołnierzy Gwardii Narodowej strzegących wieżowców finansjery. To był rewir Seniora. Wyobrażałem go sobie siedzącego za biurkiem gdzieś wysoko w drapaczu chmur. Królował nad otoczeniem, wyglądając przez okno. Widział w dole światła miasta, ale niczego nie dostrzegał. Krzyknąłem i słuchałem, jak głos odbija się echem w betonowym kanionie. Nikt jednak mnie nie usłyszał, a ja w końcu zbyt ochryplem, by móc krzyczeć dalej.

Byłem wyczerpany, a hałas ranił mnie tak, jak odłamki szkła w dłoni. Brudne strużki krwi zastygły mi wokół palców. Patrzyłem na swe ręce, jakby należały do kogoś innego. Znalazłem cichą brukowaną uliczkę. Spod ziemi, z tunelu metra wydobywała się para, wypływając przez

kratę. Obok niej dostrzegłem opuszczoną ceglana bramę. Zwinąłem się w kłębek, ale szare opary wystrzelające z sykiem spod ziemi nie dawały mi porządnie zasnąć. Otaczały mnie huk, jęk syren, zgrzyt hamulców i hydrauliczne prychnięcia. Czułem, jakby pompowano we mnie zimne powietrze.

ROZDZIAŁ 5

Obudziłem się z poczuciem, że stało się coś złego. Kiedy wyczołgiwałem się z mojej nory, wspomnienia zaczęły wracać. Przypomniałem sobie łagodny cień rzucany przez biurkową lampkę, zielony blat biurka, rozpryskujące się szkło, księdza Grega przyciskającego ręcznik do mojej rany, krew na jego koszuli. Dooley wołał do mnie, ale miałem wrażenie, że krzyczał do kogoś całkiem obcego, kto akurat był powiernikiem wszystkich moich-nie moich sekretów.

Umyłem się w toalecie baru w centrum. Po śniadaniu ruszyłem na północ miasta. Przyznałem się przed sobą, że to jedyne, co mi pozostało. Potrzebowałem Eleny. Nigdy nie byłem u niej w domu, ale wiedziałem, gdzie mieszka. Późnym popołudniem zmobilizowałem się, żeby zejść na stację metra Union Square i poczekać na czwórkę, która jechała na Bronx. Wszędzie widziałem patrole Gwardii Narodowej. Żołnierze stali na szeroko rozstawionych nogach. Broń na ich ramionach miała lufy wycelowane w ziemię. Ze stoickim spokojem obserwowali tłum, oczekując ataku, a sama ich obecność sprawiała, że zamach wydawał się nieunikniony. Im więcej facetów z bronią mijalem na stacji, tym uważniej rozglądałem się wokół siebie, zastanawiając się, czy dostrzegają coś, czego ja nie potrafiłem zobaczyć.

Ulicę, na której mieszkała Elena, odnalazłem już o zmierzchu. Po drodze kupiłem gigantyczny bukiet kwiatów i ruszyłem w dalszą drogę, nie czekając na resztę. Nie wiedziałem, co robię. Wszyscy gapili się na mnie. Nigdy dotąd nie odczułem tak mocno, że jestem biały. Teraz jednak byłem jedynym białasem czekającym na przejściu dla pieszych, aż zmieni się światło. Nie mogłem się doczekać, aż odnajdę drzwi Eleny i zamkną się one za mną, odcinając mnie od reszty świata.

Undercliff Avenue oddalała się od gwarnych kwartałów przy stacji metra i biegła podnóżem wzgórza. Na stoku tłoczyły się stare, obite sidingiem domy. Większość, w tym ten należący do Eleny, miała garaże. Kamienne strome schody prowadziły na podest przed drzwiami. Dom miał dwa piętra i przypominał mi latarnię morską nad urwiskiem, gdyby tylko latarnia mogła występować w formie sześcianu ze spadzistym dachem. Mimo że był grudzień, trzypoziomowy ogród poniżej schodów mienił się barwami. Bluszcz czepiał się kamieni i wieczniezielonych krzaków. Z wnętrza domu dobiegała jakaś delikatna ballada. Wstrzymałem oddech i nacisnąłem dzwonek. Otworzyła mi Teresa. Rozpoznałem ją natychmiast ze zdjęcia. Chodziła do klasy dwa lata wyżej ode mnie. Jej przedziałek był tak równy, że odślaniał pasemko gołej skóry na głowie. Spuściłem wzrok. Wpatrywałem się w jej jaskrawe tenisówki. Skrzyżowała nogi i opierała się o klamkę.

– Mój Boże! A cóż ty tu robisz? – Obrzuciła sceptycznym spojrzeniem kwiaty, a ja milczałem.
– Wszystko w porządku?

– Widziałem twoje zdjęcie – powiedziałem. – Grałaś ostatnio w szkolnej drużynie siatkówki.

Patrzyła prosto na mnie, uśmiechając się z wyzwaniem w oczach.

– Też widziałam twoją fotę. Zawsze wyglądasz na skrajnie przybitego. – Odwróciła się do wnętrza domu. – *Mami!* Twój drugi synalek się zjawił. – Znow spjrzała na mnie. – Wiesz, że

ona ma dziś wolne?

– Wiem. Przyniosłem tylko to. – Podniosłem w górę bukiet.

Elena zeszła na dół. Miała na sobie włóczkowy sweter i kapcie. Uśmiechała się i przyniosło mi to ulgę, ale widziałem w jej oczach niepokój.

– Tere, pozwól mu wejść.

– *Bienvenido al*⁸ Bronx – sarkastycznie powitała mnie dziewczyna.

Przecisnąłem się obok niej. Elena natychmiast mnie przytuliła. Trwałem w jej uścisku dłuższą chwilę.

– *M'ijo*.

Czułem na plecach spojrzenie Teresy. Chciałem się uwolnić, ale Elena tylko przycisnęła mnie mocniej. Puściła dopiero wtedy, kiedy jej córka wyszła.

Ochając i echając z lekką dezaprobatą, zaprowadziła mnie do salonu. W powietrzu unosił się zapach smażonej cebuli. Piosenka, którą słyszałem, wchodząc, skończyła się. Teraz zagrała żywsza taneczna muzyka. Przyglądałem się salonowym sprzętom – kanapie, fotelowi i sporej klatce dla ptaków stojącej przy wieży stereo. Frontowe okno, które wychodziło na ulicę, okalał gąszcz kwiatów doniczkowych. Nad fotelem powieszono wielkie malowidło Maryi. Jej złota aureola pobłyskiwała. Choć głowa Matki Bożej była skromnie pochylona, można było odnieść wrażenie, że z ukosa popatruje, co dzieje się w domu. Jej jasne duże oczy śledziły mnie.

– Co za niespodzianka! – wykrzyknęła Elena. Była zdenerwowana. – Przyjechałeś sam?

– Sam.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

– Może zapytaj, skąd się tu wziął? – to powiedziała już Teresa, stojąca w drzwiach do kuchni.

Wręczyłem Elenie mój zbyt duży bukiet.

– *Wesołych świąt* – odezwał się. – *Feliz Navidad*⁹. Nigdy nie dałem ci żadnego prezentu.

Elena miętosiła brzeg swetra.

– Cóż za niespodzianka... *Gracias. Gracias*¹⁰. – Rozpuszczone włosy sprawiały, że wyglądała młodziej. – Wcale tego od ciebie nie oczekiwałam.

– Ani tego, że przyjdiesz do nas – dodała Teresa.

Kiwnąłem głową. Żałowałem, że nie wymyśliłem wcześniej, co powiedzieć i jak poradzić sobie z ich pytaniami. Miałem ochotę mówić wyłącznie o faktach, o tym, co mnie otaczało. „Tu stoi klatka. Siedzą w niej dwa ptaki: niebieski i żółty”.

– Tere – zwróciła się do córki Elena, biorąc ode mnie kwiaty – postaw je gdzieś.

– Wykupiłeś całą kwaciarnię? – zapytała dziewczyna, ale wzięła bukiet i zabrała go do kuchni.

Kiedy gmerała tam w szafkach, Elena usadziła mnie na kanapie.

– *M'ijo* – uśmiechnęła się smutno. – Cieszę się, że cię widzę. – Przytuliła mnie jeszcze raz i usiadła koło mnie. – Dlaczego nie dałeś mi znać, że przyjedziesz? Twoja mama... – zaczęła i urwała. Spojrzała w stronę frontowego okna, będącego teraz już tylko ciemną taflą. Rozświetlały ją pojedyncze punkciki światła, które dochodziło z okien innych domów na wzgórzu. Dostrzegałem też słabą pomarańczową poświatę latarni. – Nie wiem, co o tym myśleć.

– Ja też. – Chciałem przytulić się do niej, ale zdałem sobie sprawę, że w jej domu byłoby to nie na miejscu. Milczeliśmy wspólnie, jak wtedy, kiedy razem oglądaliśmy telewizję w moim pokoju, jedząc przy tym obiad. Poklepała mnie po dłoni. Czułem w tym domu wszechogarniające ciepło. Atmosfera tak mi się udzieliła, że kiedy Teresa wróciła do pokoju,

oczekiwałem, że przyniesie raczej dwa parujące kubki czekolady niż wazon wypełniony po brzegi kwiatami ode mnie.

Dziewczyna postawiła bukiet na stoliku do kawy i spojrzała na matkę.

– Do mnie jakoś faceci nie fatygują się z kwiatami. – Położyła rękę na biodrze. Jej mama uśmiechnęła się do niej. – Cóż nie wiedziałby, gdzie kupić bukiet, nawet gdyby mieszkał obok kwiaciarni.

– Aidan to nie Cóż – odparła Elena.

– Widzę przecież. Słyszałam, jaki to jesteś cudowny – rzuciła Teresa w moją stronę.

Elena opowiadała mi też o sukcesach swojej córki w szkole. Patrząc, jak biodra dziewczyny kręcą się podczas rozmowy, miałem ochotę do niej zagadać, ale nie wiedziałem jak. Niezależnie od tego, jak bardzo chciałem nauczyć się rozmawiać z dziewczynami, nie potrafiłem. A przecież zależało mi na nich. Chociaż... w takim razie skąd wynikła ta sytuacja z księdzem Gregiem? Czy zadawał się z nim jakiś inny ja? Kręciło mi się w głowie, więc oparłem się o kanapę.

– No dobrze – powiedziała Elena. Wstała i oparła ręce o biodra. – Tere, szykuj dodatkowe nakrycie.

– Zostajesz na obiad? – zapytała Teresa.

– Tak – odpowiedziała za mnie Elena. Pstryknęła palcami i jej córka zniknęła w kuchni. – *M'ijo* – usłyszałem – coś tu nie gra. Jak się tutaj znalazłeś?

– Dziękuję, że pozwoliłaś mi zostać.

– Co powie na to twoja mama?

– Nie wyrzucaj mnie.

– Nie wyrzucam – przytuliła mnie. – Cieszę się, że przyszedłeś. – Wtuliłem głowę w objęcia. Brzeg jej swetra laskotał mnie w oko.

– Przepraszam – wyjąkałem. Strzepnąłem lzy i wziąłem się w garść na tyle, na ile było to możliwe.

Z werandy dobiegały stłumione głosy. Wkrótce drzwi wejściowe otworzyły się na oścież. Wyrwałem się z objęć Eleny tak gwałtownie, że ją przestraszyłem. Wciąż trzymała moją rękę na podolku, kiedy jej mąż Candido wpuścił do środka młodszego brata Teresy. Mateo wbiegł do pokoju, odbijając po drodze piłkę do kosza.

– Ej! – krzyknął za nim ojciec.

Obaj stanęli jak wryci i spojrzeli na mnie. Mateo cofnął się, aż poczuł za plecami nogi taty.

– Mamy gości? – Candido popatrywał to na żonę, to na mnie.

Elena podeszła do niego i go pocałowała.

– Znajdzie się u nas miejsce dla chłopaka – powiedziała po angielsku.

Candido skinął głową.

– Skąd się tu wziął? – zapytał po hiszpańsku. – Coś się stało?

– On rozumie, co mówisz.

– Zapomniałem – zreflektował się Candido. Uśmiechnął się. – *Lo siento*¹¹.

Nie spiesząc się, powiesił swoją skórzaną kurtkę na wieszaku.

– Nie masz dzisiaj wolnego? – zapytał mamę Mateo.

Elena uciszyła go i przyciągnęła do siebie.

– To chłopiec, dla którego rodziny pracuję.

– Wiem – powiedział mały.

Do pokoju wrócił Candido, a ja wstałem z kanapy, żeby podać mu rękę.

– Sporo o tobie slyszalem – zaczął na powitanie. Jego brzuch przelewał się przez pasek, ale był wyższy, niż go sobie wyobrażałem. Od kiedy wszedł do salonu, pokój wydawał się jakby mniejszy. Małżonkowie wymienili spojrzenia. – Witaj w naszym domu – dorzucił Candido. Wyszedł, zabierając Matea na górę, żeby ten umył ręce przed obiadem. Elena klepnęła mnie w ramię i poszła za nimi.

Znów opadłem na kanapę, wpatrując się w sufit. Woląłem nie opuszczać wzroku, by nie musieć patrzeć w oczy Maryi. Zamknąłem oczy i wsłuchiwałem się w rozmowę, która toczyła się na górze. Trudno było usłyszeć, o czym Elena rozmawia z mężem, zwłaszcza że tuż obok mnie grało radio. Jednak wystarczyła mi melodia ich głosów, żeby wiedzieć, że tych dwoje potrafi jednocześnie mówić i słuchać. Usłyszałem, jak wypowiadają moje imię, ale nie zmartwiło mnie to. W końcu to był dom Eleny. Z dała od własnej matki i Seniora czułem się znacznie lepiej.

– Ej! – Usłyszałem głos Teresy. Pochylała się nade mną, stojąc za kanapą. – Nie zaśnij tu. Dopiero co przyszedłeś.

Potrząsnęła mnie za ramię.

– Co jest na obiad? – zapytałem.

– Na pewno nie to, co mama gotuje u ciebie.

Usiadła obok mnie.

– Czasem robi kurczaka z fasolą i ryżem, jeśli jemy tylko we dwoje – powiedziałem. – To pyszne.

– Dominikańska kuchnia?

– Chyba tak.

– Tego nie znam. – Teresa bawiła się małym złotym krzyżykiem, który nosiła na szyi.

– Nauczyła cię coś gotować?

– Gulasz irlandzki. Lasagne. Różne zupy i chili. Rzeczy, które można jeść na co dzień.

– Jasne.

– Ale raz pokazała mi, jak zrobić *lengua picante* i *lambi guisado*¹².

– Brzmi nieźle. – Podtrzymałem rozmowę, pragnąc ze wszystkich sił być teraz gdzie indziej. – U mnie tego nie robi.

– Żartowałam. W domu też nie.

Zmusiłem się do śmiechu.

– Ale moi znajomi lubią u nas jeść. Uczymy się razem, a potem odgrzewam to, co zostało z obiadu. Każdy wie, że mama ma talent.

– Mogłaby pracować w restauracji.

– Mogłaby.

W spojrzeniu Teresy było coś wyzywającego.

Przytaknąłem. Wiele razy wyobrażałem sobie nocami, że to Elena jest moją prawdziwą mamą. Zazdrościłem Teresie i Mateowi. Według mnie byli niezłymi szczęściarzami. Teresa jednak zanurzyła nos w bukietach i zastanawiałem się, co ona myśli o Elenie. Widywała swoją matkę rzadziej niż ja.

– Musiałeś wydać mnóstwo kasy – powiedziała posępnie.

Dałem nieodpowiedni prezent niewłaściwej osobie. Zdałem sobie nagle sprawę z tego, jak dużo wiem o matce Teresy, ale nie mogę o tym z nią porozmawiać. Zmroziło mnie to. Łatwiej było udawać, że nie łączą mnie z Eleną żadne wspomnienia. Teresa obróciła wazon z kwiatami.

– Powinienem być przynieść więcej – tłumaczyłem się. – I powinienem przynieść je też dla

ciebie.

– Nie wierzę, że to powiedziałaś – zaśmiała się, potrząsając głową. – A podobno miałaś być nieśmiała. – Jej uśmiech sprawiał wrażenie, jakby wiedziała o czymś, z czego nie zdawałem sobie sprawy, i czekała, aż zrozumie żart. Może to kwestia sposobu, w jaki się śmiała, ale czułem, jakby chciała mi powiedzieć „Hej, stary, wyluzuj już. *Tranquilo*¹³”. Klepnęła mnie w udo. – Może pomożesz mi rozlać picie przed obiadem?

– Jasne.

Zerwałem się szybko. Byłem zdziwiony nie mniej niż ona tym, co przed chwilą powiedziałem. Na razie wszystko było w porządku, ale wolałem zająć się czymś, zanim naprawdę palną jakąś głupotę. W kuchni dała mi szklanki, a sama opowiadała o swojej szkole imienia Świętej Katarzyny. Cieszyła się, że jest już w ostatniej klasie. Całe jej życie miało się zmienić za kilka miesięcy. Podobał jej się taki skok na głęboką wodę. Zazdrościłem jej tej pewności siebie. Podziwiałem ją.

Zanim cała rodzina Gonsalvesów zasiadła do jedzenia, stanęliśmy wokół stołu i złapaliśmy się za ręce. Ciepłe potrawy kusily. Jedną rękę dałem Elenie, drugą Teresie. Odmówiliśmy błogosławieństwo, a ja byłem wdzięczny Bogu, że mogłem tu być. Zaryzykowałem otwarcie oczu na chwilę podczas modlitwy. Para unosiła się chwiejnie z talerzy, jakby w rytm zaśpiewu pana domu, który dziękował właśnie Panu za jego przewodnictwo i siłę. Nie mogłem włączyć się w jego modły, bo miałem swoją własną modlitwę w głowie. I nie były to tym razem puste słowa wypowiedane dla stłumienia bólu. Teraz chciałem wykrzyczeć moją prośbę: „Chryste, daj mi zostać z tą rodziną!”. Zamknąłem oczy ponownie, kiedy Candido kończył: *En el nombre del Padre, del Hijo, y del Espíritu Santo, amen*¹⁴.

Elena siadła pomiędzy swoimi synami – Mateo zajmował miejsce po jej prawej stronie, a ja po lewej. Niespiesznie kroila mięso na talerzu. Candido gawędził przy posiłku z dziećmi. Od czasu do czasu Elena odzywała się, by coś poradzić, ale głównie obserwowała. Uśmiechała się, widząc, jak Candido i Mateo przybijają sobie piątkę podczas rozmowy o bejsbolu. Jej mąż mrugnął porozumiewawczo, kiedy próbowała go uciszyć.

– Powinniście wygrać mecz z drużyną od Saint Mike’a. Carney trenuje was jak idiota.

– Candi! – zbesztła go Elena.

– O ile pamiętam, tato, twierdziłeś, że sporty zespołowe pomagają radzić sobie z emocjami – wtrąciła Teresa.

Candido wsadził sobie do ust porcję jedzenia i przeżuwał powoli.

– *Mira, la pequeña maestra*¹⁵. Będziesz mogła się odzywać, kiedy pójdziesz wreszcie na mecz swojego brata.

Teresa teatralnie westchnęła.

– Chryste Panie, *Papi*. Mam się czuć winna?

– Wyrażaj się! – napomniął ją po hiszpańsku Candido. – W tym domu mamy pewne zasady.

Elena sięgnęła przez stół i złapała córkę za ramię.

– Proszę cię, słuchaj, co mówi ojciec – powiedziała po hiszpańsku.

Teresa wstała, żeby przynieść więcej wody do stołu. Candido odchylił się z westchnieniem na krześle.

– No proszę! Ktoś tu się wreszcie ruszył z miejsca!

Teresa przechodząc koło niego, umyślnie zahaczyła biodrem. Roześmiał się.

Kiedy skończyliśmy jeść, Elena zabrała mój talerz i postawiła go na swoim. Candido zdjął

serwetkę z kolan, rzucił ją na stół i rozluźniony dłubał w zębach językiem. Wstałem od stołu i zapytałem, czy mogę pozmywać, jeszcze zanim Elena zdążyła zebrać resztę naczyń. Nie mogłem znieść myśli, że za chwilę znów będzie musiała wciągać te gumowe rękawice, które nosiła w pracy. Zresztą i tak wszystko stało na głowie. Dlaczego więc nie miałbym raz dla odmiany stanąć przy zlewie? Elena jednak zaprotestowała.

– Proszę – nalegałem. – Też chcę coś zrobić.

Candido wysiąkał nos.

– Nie musisz... – zaczęła Elena, ale jej nie słuchałem. Zebrałem resztę talerzy i zaniósłem do zlewu.

Zadzwoił telefon.

– Nie odbieramy – zarządził Candido. – Wciąż jemy obiad. Czekamy na deser.

Elena zwiesiła z westchnieniem głowę. Automatyczna sekretarka odebrała połączenie po czterech sygnałach. Wkładałem właśnie rękawice, kiedy odezwał się głos z drugiej strony linii.

– Elena? Mówi ksiądz Dooley. Dzwonię jeszcze raz, bo się martwię. Nie było go u ciebie? Wciąż się nie znalazł. Zadzwoń jak najszybciej. Gwen jest u mnie. Zamierza dzwonić na policję. Proszę, zadzwoń.

Stałem teraz plecami do rodziny i nie mogłem zebrać się na odwagę, aby się do nich odwrócić. Po prostu wczepiłem się w krawędź zlewu.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – spytała Teresa. Podeszła do stołu.

– O tym właśnie mówiłem – odezwał się Candido. – Coś tu jest bardzo nie w porządku. – Skrzypnęło odsuwane krzesło. Mąż Eleny wstał. – I co to znaczy: „dzwonię jeszcze raz”? – Mówił coraz głośniej. – O wszystkim wiedziałaś?

Elena potrząsnęła głową.

– Przepraszam. Kiedy ksiądz dzwonił poprzednim razem, Aidana nie było tutaj. Zjawił się potem. – Otarła twarz. – Przyszedł tu do mnie.

– *Mami?* – odezwała się Teresa. – Nic nam nie powiedziałaś? Dlaczego?

Popchnęła mnie.

– Myślisz, że moją *mami* można kupić, bogaty chłopczyku? Że wystarczy przyjść z kwiatami i smutną minką? Znajdź sobie własną matkę.

Uderzyła po raz drugi.

– Tere! – zawołała Elena, ale Candido już przy nas był i złapał Teresę za rękę.

– Starczy tego – zareagował stanowczo. Rozdzielił nas i wskazał na mnie. – Przyszedłeś narobić nam kłopotów?

– Proszę! – wstawiła się za mną Elena. – Nic złego nie zrobił – powiedziała po hiszpańsku. – On nie jest taki.

– A skąd wiesz? – wypalił Candido.

– Wiem! – krzyknęła w odpowiedzi. – Właśnie, że wiem. – Stała teraz między mną a mężem. Kiedy się odwróciłem, Candido sięgnął po telefon bezprzewodowy, który wisiał na ścianie. – On nic złego nie zrobił – powiedziała Elena błagalnym tonem. – To przez jego rodziców. Mówiłam ci już. Spójrz na niego. Co on mógłby zrobić? – Wyciągnęła dłoń po telefon. – Daj mi zadzwonić do pani Donovan.

– Ależ zadzwoń – odparł jej mąż. – Do niej i do księdza.

Podał jej telefon, w który wpatrywała się przez chwilę nieobecny wzrokiem. Odwróciła się do mnie i położyła mi rękę na policzku.

– *M'ijo*. Już dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Osunąłem się od zlewu, pozwalając jej, by mnie objęła. Teresa i Mateo gapili się na mnie. „Nie martwcie się”, chciałem im powiedzieć, „starczy jej dla nas wszystkich”. Nie miałem przecież na myśli nic złego.

Elena chodziła wzdłuż zlewu, rozmawiając przez telefon. Wszyscy słyszeliśmy strumień piskliwych obelg wykrzykiwanych w jej stronę przez moją mamę.

– Nie, proszę pani – udało się w końcu wtrącić mojej gospodyni.

Podawała mi słuchawkę, ale nie chciałem rozmawiać. Trzymałem tylko telefon w ręce.

– Kochanie? – Kolejny pisk mamy dobiegł moich uszu. – Kochanie? – Przyłożyłem słuchawkę do ucha. – Jesteś bezpieczny?

– Jestem z Eleną.

– Wiem, kochanie, ale czy jesteś bezpieczny? – Jej głos miał przykre brzmienie. – Nic ci nie jest?

– Oczywiście, że nie – odparłem. – Jestem z Eleną.

– Wiem, że jesteś. Ale wcześniej gdzieś się błąkałeś.

– Wyjechałem.

– Potrafisz sobie wyobrazić, co przeżywałam? Ojciec Dooley zaofiarował się, że po ciebie przyjedzie. Nie sądzę, żebym w tym stanie dała radę prowadzić.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Słyszałem, jak matka pociąga nosem.

– Ojciec Dooley?

– Jestem mu taka wdzięczna. To miłe z jego strony. Zanim się zjawił, nawet nie przypuszczałam, jak bardzo potrzebuję pomocy. – Słyszałem, jak głęboko oddycha. – Ulżyło mi już – powiedziała spokojniejszym głosem. – Cieszę się, że wracasz do domu.

Oddałem telefon Elenie. Kiedy odłożyła słuchawkę, podeszła do męża. Candido ją przytulił.

– Popeliłam błąd – przyznała. – Wybacz, powinnam była od razu o wszystkim powiedzieć.

– Nie trzeba było się w to pakować – odpowiedział Candido.

– Nie rozumiem – wydusiłem z siebie. – Przecież zwykle ledwo zauważa, że nie ma mnie w domu. Ma mnie gdzieś.

Elena wyzwoliła się z objęć Candida.

– Tęskni za tobą – powiedziała.

– Akurat teraz? – zapytałem. – Czy kiedykolwiek jej na mnie zależało?

– Brakowało jej ciebie. Brakowało, *m'ijo*. Wiem o tym. Ksiądz Dooley zaraz tu będzie. Już jedzie.

Candido potrząsnął głową.

– Bóg nad tobą czuwa. Zawsze.

Pewnie chciał mnie jakoś pocieszyć, ale ja zamiast obrazu opiekuńczego Boga Ojca widziałem teraz w myślach przekrwione od picia oczy księdza Grega, przyćmione bólem i złością.

– Pojadę sam. Pociągiem – oświadczyłem. – Albo zadzwonię po taksówkę. Nie chcę wracać z księdzem. Proszę.

– Zrobię to, o co prosiła mnie twoja mama – powiedziała Elena. – Pojedziesz z księdzem. Potrzebujesz pomocy.

– Nie mogę! Nie chcę!

– Dosyć tego – przerwał Candido. – Skończ z tymi krzykami. I nie mów mojej żonie, co ma

robić. – Chwycił mnie za ramię. – Jesteś w moim domu i będziesz przestrzegał moich zasad.

Potrząsnął mną, ale szybko się uspokoił. Puścił mnie.

– Postąpimy tak, jak mówił ojciec. Pojedziesz z nim do domu.

Poczułem, jak zimna pustka wdziera się do mojego brzucha i obejmuje całe ciało. Zachwiałem się i zdawało mi się, że słyszę, jak ktoś wypowiada moje imię. Brzmiało to znajomo, jakby gdzieś w tym pomieszczeniu czał się ksiądz Greg i wołał mnie do siebie.

Elena wysłała męża z synem na górę, a sama zabrała się do zmywania. Pozwoliła, żebym jej pomógł. Teresa stała w drzwiach, opierając się o framugę.

– Nie możesz być złym chłopakiem – powiedziała. – Straszne z ciebie chuchro. Wyglądasz jak duch. Jak mógłbyś zrobić coś złego?

– Na górę, Tere! Natychmiast. Zostaw nas samych.

Teresa wyczuła strach w głosie mamy i nie protestowała. Pognała w górę po schodach. Trzasnęły zamknięte drzwi.

– Przepraszam – wydusiłem wreszcie z siebie. – Nie wiedziałem, gdzie mam iść, a musiałem uciec.

Elena gapiała się w talerz, który myła nad zlewem.

– Twoja mama jest bardzo zdenerwowana. – Pokręciła głową. Zakręciła kran i podała mi talerz. – I to nie z twojego powodu, *m'ijo*.

– Również z mojego. Przepraszam. Myślałem, że nie narobię kłopotów.

– Nie narobiłeś.

Elena uśmiechnęła się, ale niezbyt szczerze. Widywałem już ten grymas na twarzy któregoś nauczyciela w szkole, a może przypominał mi skrzywienie warg, które widywałem u gości przyjęć mamy. Posyłali mi taki uśmiech tuż przed zniknięciem w wirującym tłumie.

– Proszę – powiedziałem. – Może mógłbym nie wracać do domu?

– Nie. Musisz iść.

Usadziła mnie na sofie w salonie. Sama stanęła u podnóża schodów, popatrując w górę, na piętro, gdzie wcześniej odesłała całą rodzinę. Wyglądało to, jakby stała na straży, ale nie byłem pewien, kogo przed kim tutaj chroniła. Położyłem głowę na oparciu kanapy. Gapilem się w sufit, studiowałem wyrzuszenia i pęknięcia farby, efekt nieubłaganego upływu czasu. Za oknem zamigotała i zgasła latarnia. Czułem, że patrzą na mnie dwie pary oczu: Eleny i Matki Bożej z obrazu. Na górze Mateo jęczał, że nie chce iść spać, ale Candido błyskawicznie go uciszył. Nie krzyczał na syna. Jego stanowczy głos naturalnie wzbudzał posłuszeństwo. Nie sądziłem, żeby Candido mnie nienawidził. Zabolalo go raczej to, że tak łatwo zdołałem zburzyć spokój jego domu. Pragnąłem mu powiedzieć, że zrobiłem to niechcący. Gdybym tylko miał jakiegokolwiek inne schronienie, nie kryłbym się u niego jak przestępca. Może w ogóle nie przyjechałbym do Nowego Jorku. Ale co innego miałem zrobić? Nie ma to jak rozpamiętywać minione zdarzenia i rozmyślać, jakich wyborów trzeba było dokonać. W ten sposób można cofnąć się aż na sam początek życia i stwierdzić: „Pieprzę to, po co w ogóle pakować się w ten syf?”.

Usłyszałem, jak ksiądz Dooley zajechał przed dom. Zawracał na trzy razy. Elena sprowadziła mnie po schodach na ulicę.

– Idziemy, proszę ojca! – zawołała. Dooley stał bez ruchu z tyłu auta – zgarbiona sylwetka podparta laską. Latarnia na chwilę wróciła do życia, lecz zaraz zgasła z powrotem. Nie widziałbym duchownego, gdyby nie łopoczący na wietrze płaszcz. Chciałem zbiec ze schodów i pędzić co tchu do stacji metra. Wnętrze samochodu było ciemne. Nie wiedziałem, czy

przyjechał też ksiądz Greg, a jeśli tak – czego mogę się po nim spodziewać. Spłynęło na mnie dobrze znane przecucie nieuchronnego. Elena sprowadzała mnie po schodach w ciemność, w której nie miałem władzy nad sobą. – Bóg cię wspomże – powiedziała na ostatnich stopniach. Szedłem przed nią. – Zatoszczy się o ciebie. Ojciec Dooley ci pomoże. Potrzebujesz tego, *m'ijo*.

Ksiądz podszedł do nas i przypatrywał się podejrzliwie.

– Dziękuję – powiedział do Eleny. Wyciągnął dłoń. Wyraźnie rozluźnił się, kiedy ją uścisnęła i odezwała się do niego ciepło. W jej głosie był wyczuwalny szacunek. Podobało mu się to.

– Niech ojciec się na niego nie gniewa – mówiła o mnie.

– Napędził swojej matce strachu – odpowiedział duchowny. – Jestem pewien, że pani to rozumie.

– Oczywiście, proszę ojca.

Ponaglił mnie, żebym usiadł na miejscu pasażera. Zanim zamknął drzwi, usłyszałem Elenę.

– Ale ojciec też chyba rozumie tę sytuację? Nie można tu nikogo winić.

Dooley dobrze wiedział, że Elena sama zachęcała mnie do wolontariatu w parafii Najdroższej Krwi. Potrafił na pierwszy rzut oka rozpoznać gorliwą katoliczkę.

– Każdy jest czegoś winien, czyż nie, Eleno? Teraz i zawsze. Bóg o tym wie i nam wybacza. Módlmy się o Jego przewodnictwo w tej sprawie. – Odwrócił się do mnie i dodał z przekonaniem: – Ty też się pomódl.

Elena kiwnęła głową. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ksiądz odezwał się znów.

– Proszę pamiętać o tym, co mówiła pani Donovan, i skontaktować się z nią przed powrotem do pracy.

– Tak, proszę ojca.

– Ta kobieta potrzebuje teraz czasu dla swojej rodziny.

– Rozumiem, ojcze.

Ksiądz kiwnął głową. Nie podobała mi się jego protekcyjność.

– Daj jej spokój! Nic nie zrobiła! – odezwałem się.

Ksiądz Dooley się uśmiechnął.

– Aidan, nie krzyczmy tu na siebie. Elena, zrozumiałaś wszystko, prawda? – rzucił przez ramię.

– Tak, proszę ojca. – Już miała wrócić do domu, lecz zawahała się, nim stanęła na pierwszym stopniu schodów. – *M'ijo*, cieszę się, że nic ci nie jest. Wszystko będzie dobrze – powiedziała.

Stała przez chwilę w miejscu, aż ksiądz Dooley pożegnał ją i ponaglił, by już poszła. Jej płaszcz zwisał do samych pięt i zdawało się teraz, że unosi się w powietrzu, pokonując kolejne stopnie. Nie oglądała się za siebie. Duchowny zapuścił motor. Latarnia rozbłysła ponownie. Nie widziałem już Eleny, która wyszła poza krąg światła.

Ruszyliśmy przez ulice południowo-zachodniego Bronksu. Dooley szybko odnalazł drogę do autostrady 95. Kiedy już wjechaliśmy na nią, wyraźnie się uspokoił. Jego pewność siebie przerażała mnie. Nie patrzył w moją stronę. Oczy w jego bladej, pomarszczonej twarzy śledziły nieustannie drogę. Chwyciły mnie mdłości, więc otworzyłem okno. Do wnętrza auta wdarł się przyjemny powiew. Kiedy opierałem głowę o szybę, mogłem poczuć tętno pulsujące w skroni. Przynajmniej przyjechał po mnie sam.

– Spodziewaliśmy się, że tam się znajdziesz – odezwał się po jakimś czasie. – Była pierwszą osobą, do której dzwoniliśmy. Dziwię się, że nie dała nam znać od razu o twoim przybyciu.

Powinna była. – Spojrzał na mnie. – Cieszę się jednak, że możemy naprostować pewne kwestie.

– Jedziemy do Najdroższej Krwi?

– Ależ skąd! – zaprotestował. – Zabieram cię do twojej matki. Masz pojęcie, jak ona się poczuła?

– Dzwoniła na plebanię?

Wziął głęboki wdech.

– Nie. Ja zadzwoniłem. Okazało się, że zniknąłeś.

– Ach tak. – Pociągnąłem nosem. – Okazało się?

Sapnął i milczał przez chwilę.

– Jak chyba pamiętasz, nie zjawileś się dziś na wolontariacie. Oczekiwaliśmy cię, więc zadzwoniłem, by spytać, co się dzieje. Twoja matka była przerażona. Zaproponowałem więc pomoc. Po cóż dzwonić na policję? Po co komu plotki? – Obrzucił mnie spojrzeniem i mówił dalej, wyraźnie ożywiony: – Zwłaszcza w tej sytuacji, kiedy ojciec was opuścił. Twoja matka dość już wycierpiała. Mogę ci pomóc, ale warunkiem jest zachowanie dyskrecji.

Minęliśmy już obrzeża miasta i przy szosie pojawiło się więcej zieleni. Wsluchiwałem się w rytmiczny szum opon.

– Chciałbym, żebyśmy zawarli pewne porozumienie – powiedział ksiądz.

Wymioty podeszły mi do gardła. Byłem mokry od potu.

– Rozwiązałem wszystkie kwestie w parafii. Posłuchaj mnie, Aidan. – Dooley nagle zwolnił. Wyglądałem przez okno, bo akurat mijaliśmy stację Mobila przy autostradzie, ale i tak wiedziałem, że duchowny spojrzał na mnie w tym momencie. – Musiałeś wykrzesać z siebie sporo odwagi, żeby uciec. Zdaję sobie sprawę, z jakimi napięciami teraz się zmagasz. To za wiele jak dla młodego człowieka. Za wiele. Chciałbym ulżyć ci w tych trudach. Nie przejmuj się już tym całym wolontariatem. I tak dużo zrobiłeś.

– Słucham?

– Nie ma potrzeby, byś dalej u nas pracował, Aidan. Może nawet nie pojawiaj się przez pewien czas na mszy? Zrób sobie przerwę. Proszę.

Jego wzrok był skupiony na przejeżdżających z rzadka samochodach. Czekał na moją odpowiedź. Między nami pęczniała cisza.

– Aidan, rozmawiaj ze mną, proszę. Chcę, żebyśmy mieli te sprawy za sobą. Możesz mi zaufać. – Robił się coraz bardziej pobudzony. – A zresztą wyjaśnijmy sobie jedno. Słyszysz mnie? To wszystko już za tobą. Chcę cię o tym zapewnić i mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Nie warto oglądać się wstecz.

– Rozmawiałeś z nim?

– Aidan – syknął. – Nie pokazuj się więcej w parafii. Rozumiesz? – Ściszył głos. – Jesteś mądrym młodzieńcem i masz przed sobą przyszłość. Nie chcę, żeby ktokolwiek ją zniszczył.

Zjechaliśmy z autostrady międzystanowej. Teraz droga nie biegła już tak daleko od zabudowań. Widziałem ciemne bryły domów i sklepów. Wkrótce byliśmy w mojej okolicy.

– Twoja matka jest teraz bardzo rozchwiana – powiedział Dooley. – Rozpacza. Usiłuje odbudować wasze życie. Jak rozumiem, twój ojciec wyprowadził się do Europy na stałe. – Zamilkł i wpatrywał się we mnie. – Aidan, wiem, że chcesz zrobić to, co wydaje ci się słuszne. Posłuchaj mnie. Przemyśl sobie w głębi serca, czy naprawdę warto kogoś teraz krzywdzić. Można temu jeszcze zapobiec. Porozmawiamy o tym.

– Ale mam siedzieć cicho.

– Chcę, żebyś zrozumiał złożoność sytuacji. Wszystko niesie ze sobą konsekwencje.
– Racja. Rozumiem – odezwałem się głośniej, niż zamierzałem. – Zdamę sobie sprawę z konsekwencji.

Ksiądz obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem.

– Nie sądzę, Aidan. Te konsekwencje mogą dotknąć też ciebie.

Latarnie były rzadko rozstawione przy krętej drodze. Co jakiś czas wewnątrz auta pograżało się w ciemnościach. Nie byłem tego pewien, ale zdawało mi się, że ksiądz się uśmiecha. Skręcił na moją ulicę. Otworzyła się zielona brama i zajechaliśmy na podjazd.

– Chciałbym wiedzieć, że mogę ci ufać, Aidan. – Zatrzymał samochód. – Rozumiemy się? Powiedz, czy mogę ci zaufać.

– Nie możesz – odpowiedziałem. – Sam sobie nie ufam.

Otworzyłem drzwi. Matka wyszła na werandę. Obejmowała się rękoma i nie miała przy sobie swojego nieodłącznego drinka. Zaskoczyła mnie tym. Poszedłem w jej stronę, zostawiając za plecami mamroczącego księdza. Źle mnie zrozumiał. Bynajmniej nie miałem zamiaru rozpamiętywać przeszłości. Gdybym mógł już więcej nie rozmawiać o księdzu Gregu, może zniknąłby z mojego umysłu, a wraz z nim te cechy mojej osobowości, których nie pojmowałem.

Matka wyszła mi na spotkanie i objęła mocnym uściskiem. Nie mówiła nic, po prostu zacisnęła ręce wokół mnie. Nie miała makijażu i chociaż wyczuwałem zapach fajek, zniknęła nuta alkoholu. Poczulem tylko woń dietetycznego napoju, kiedy mnie ucałowała. Podziękowała Dooleyowi, który stał za moimi plecami, i obiecała, że jutro zadzwoni. Kiedy weszliśmy do środka, ujęła moją twarz w dłonie. Miała wilgotne i zmęczone oczy.

– Na miłość boską! Masz pojęcie, przez co ja tu przechodziłam?

Oddaliła się ode mnie o krok i otarła oczy. Poszliśmy do salonu.

– Nawet nie wiesz, co już sobie zaczynałam wyobrażać! – powiedziała. – Myślałam, że nie żyjesz. – Nie patrzyła na mnie, ale na podłogę za moimi plecami. – Myślałam, że jedziesz pracować, ale ksiądz Dooley zadzwonił, że nie dotarłeś na miejsce. Pomyślałam więc, że pewnie leżysz w łóżku. Wyobrażasz to sobie? – Chwyciła za pasek szlafroka. Jej drobne kostki odcinały się żółcią w tym uścisku od reszty dłoni. – Poprosił cię do telefonu. Był zdenerwowany. Zostawiłeś otwarte drzwi, więc zajrzałam do środka i zdałam sobie sprawę, że zniknąłeś. Wiesz, jak się przeraziłam? Zastanawiałam się, gdzie możesz być. Nie miałam najmniejszego pojęcia. Do kogo miałam dzwonić? Ksiądz czekał przy telefonie. Nie zjawileś się w parafii, minęła już ponad doba. Albo dwie? Skąd miałam wiedzieć, gdzie poszedłeś? Nie wiedziałam, co robić, a ksiądz przyjechał tu natychmiast.

– Ksiądz tu był? Co powiedział?

– Od razu zadzwonił sam wiesz do kogo. Do Eleny. Od razu. Wiesz, ile wstydu się najadłam? Coś ty tam robił? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – Jej oddech zdradzał wzburzenie. Przygryzła wargę, wpatrując się w podłogę pod moimi nogami. – Nawet nie wiedziałam, że zniknąłeś – dodała miękko. – Naprawdę. Wyobrażasz sobie, jak się poczułam?

Obaj księża rozpowiadali, że nie zjawilem się w parafii. Bezcelnie okłamali moją matkę. Greg bał się równie mocno jak ja.

Mama znów mnie objęła. Kołysaliśmy się w miejscu.

– Nie zostawiaj mnie już tak więcej – wymamrotała mi prosto w ramię. – Chociaż ty nie odchodź.

– Już wróciłem.

Tylko to ją teraz obchodziło i tylko to byłem jej w stanie teraz powiedzieć. Wszystkim dookoła zależało na jednym – poczuciu niewzruszonej pewności. Było mi miło, że tym razem to ja mogłem je zapewnić.

ROZDZIAŁ 6

Przez następnych kilka dni matka i ja siedzieliśmy na jej łóżku, oglądając *To wspaniałe życie*, *Pan Smith jedzie do Waszyngtonu* i *Arystokrację podziemi*. Nie ma chyba lepszych psychotropów na uspokojenie niż przewidywalne, ckliwe zakończenia tych filmów. Jeśli obejrzyś kilka pod rząd, zaczyna ci się zdawać, że wszystko, czego pragniesz w życiu, zrobiło się nagle łatwiejsze do osiągnięcia. To jak wyprzedaż, której jedynym wyzwaniem jest dotarcie do sklepu, zanim inni wykupią twoje marzenia. Moje nowe życie nie miało jednak rozpocząć się radosnym płasem na głównej ulicy miasteczka. Nie byłem filmowym bohaterem, którego radość i miłość własna nie umknęłyby nawet oczom kawiarnianych gości i ludzi w kolejce na pocztę. Wciąż nie mogłem pozbyć się blizny na ręce, a w mojej głowie brzmiał głos księdza Grega.

W niedzielny poranek zostałem chwilę dłużej w łóżku, by posłuchać wiadomości. Ameryka wygrywała swoją wojnę z terroryzmem, w Kabulu rządził teraz Hamid Karzaj – nasz człowiek. Frank Capra – reżyser filmowych uspokajaczy – byłby dumny. Obiecywano rychły pokój. Kiedy zszedłem do kuchni, było niemal południe. Na dole okazało się, że kuchenny blat jest cały w mące. Stała na nim okazała misa, a obok znalazłem butelkę aromatu waniliowego. Przy krawędzi spoczywała opaska, nieużywana dotąd książka kucharska. Była otwarta. Mama stała nad patelnią, mieszając drewnianą łyżką w rytm elektronicznej muzyki z lat osiemdziesiątych. Energiczny podryg bioder dochodził aż do jej stóp.

– Mam dziś trochę spraw do załatwienia, ale nie chciałam wychodzić, zanim się obudzisz – powiedziała.

– Co robisz?

– Czekam, aż pokażą się bąble. Wtedy można przewracać na drugą stronę.

– Chodziło mi raczej o to, że w ogóle robisz naleśniki.

– Lubię szykować śniadania.

– Zazwyczaj wrzucasz wszystko do miksera.

– Dosyć! – Pogroziła mi łyżką. – Wstałeś późno, więc teraz się nie naśmiewaj. Zdażyłam już dziś poćwiczyć i wypić mój koktajl. Mógłbyś podziękować – naleśniki są dla ciebie.

Mama zjadła co prawda jednego, ale bez masła ani syropu. Siadła po drugiej stronie blatu, sącząc ze szklanki mętną porcję zdrowia. Opowiadała mi o swoich planach biznesowych. Cindy poddała jej tę myśl na przyjęciu, a mama zapaliła się do pomysłu.

– Ciało wprawione w ruch pozostaje w ruchu – powiedziała. – Zwykle prawo fizyki. Trzeba iść naprzód i nie oglądać się za siebie. – Przyjaciółka zasugerowała, że mama mogłaby zawodowo planować przyjęcia. Posłuchawszy tej rady, nie miała zamiaru oglądać się wstecz. Minął dopiero tydzień, a już zdażyła rzucić się w wir papierkowej roboty.

– Nikt nie robi lepszych imprez – przyznałem.

– To niezła frajda, wiesz?

W oczach tlił się jej co prawda maniacki ogień, ale miała przynajmniej jakiś plan i podziwiałem jej upór w układaniu sobie życia na nowo. Cindy sama wystartowała ze swoją

galerią lata temu. Teraz jej interes kwitł, a w dodatku miała znajomych, którzy mogli pomóc mojej mamie na początku drogi. Zgromadziła już listę potencjalnych klientów, możliwych okazji i miejsc, które nadawały się na biuro.

– Raczej nie mogłabym pracować z domu. Praca nie polega na chowaniu się przed ludźmi. Będę planować teraz imprezy, na które przyjdzie całe miasto.

– Działasz bardzo szybko – pochwaliłem ją.

– Działam, Aidan. Teraz to ja jestem głową rodziny.

„Może”, pomyślałem, ale byłoby nam łatwiej, gdyby Elena już wróciła. Pomogłaby mamie umocnić się w jej zamierzeniach albo przynajmniej natchnąć mnie podobnym nastrojem. Też chciałbym otrzymać porcję odwagi i zapału mojej matki, ale nie radziłem sobie z ich podtrzymywaniem w samotności.

Mama dzwoniła w wiele miejsc i zajmowała się swoimi sprawami aż do późnego popołudnia. Przyszła do mnie, kiedy czytałem w sypialni.

– Muszę się wreszcie ruszyć, bo inaczej utknę tu na amen – narzekała. – Pojedziesz ze mną?

– Powiniennem dokończyć zadanie. Też mam swoją pracę. Powodzenia. Dasz radę – zapewniłem ją.

Wyszczrzyła się w uśmiechu. Podeszła do mojego fotela.

– Dzięki – rzuciła, przytulając mnie.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Mama zeszła do holu otworzyć, a ja powlokłem się za nią. Zmierzchało już, ale przez małe okienko obok drzwi wyraźnie widziałem znajomego jasnoniebieskiego lincolna. Przeszył mnie dreszcz. Znów poczułem rozbite szkło w swojej dłoni. Owionął mnie gorący, smrodliwy oddech. Przytrzymałem się poręczy schodów, próbując ustać prosto. Miałem wrażenie, że wszystko rozgrywa się przede mną niczym na ekranie telewizora – że nie biorę udziału w scenie, którą obserwuję we własnym domu. Mama otworzyła drzwi i usłyszałem szablonowe powitanie z gatunku tych weselszych. Głos gościa wdarł się do domu przed nim samym i złapał mnie w ciasny uścisk. Matka wołała mnie, abym zszedł i też się przywitał.

Nie byłem w stanie podejść bliżej. To on podszedł do mnie i formalnym gestem wyciągnął dłoń. Szybko uściśnął moją i cofnął rękę. Staliśmy we trójkę przy stole w holu. Pomyślałem o przyjęciu. Teraz wydawało się, że minęły od niego całe wieki.

– Nie było cię dziś na mszy. – Głos księdza Grega wwiercał się powoli w moje ciało.

– Przykro mi – odparłem bezmyślnie.

– Nie, nie. – Zaśmiał się. – Mówiłem do twojej mamy, Aidan. Pomyślałem, że może ona przyjdzie. To były wyczerpujące święta, prawda, Gwen? Zresztą rozmawiałaś już z Dooleyem.

Mama przytaknęła.

– Dziękuję za troskę.

– Nie ma sprawy.

Kręcił się niespokojnie w miejscu, a jego śmiech był nerwowy.

– Jesteście moimi ulubieńcami, a tymczasem to Frank przyszedł wam z pomocą. Nie chciałem, żebyście poczuli się zaniedbani. Wiedźcie, że też się o was troszczę. Postanowiłem wam pomóc.

– Ależ nie trzeba było, ojcze – krygowała się mama.

– Trzeba. To moja powinność. Zawsze będę was wspierał. Oboje. Wiecie o tym. Nie mówię tego, by was urazić, ale czasem, gdy niczego nam nie brakuje pod względem materialnym,

zapominamy o pielęgnowaniu naszego duchowego i uczuciowego ogrodu. Czasem potrzebna jest czyjaś troska, nawet jeśli jest dla nas niezrozumiała. Ale nie mam zamiaru cię pouczać, Gwen – dodał szybko. Położył mamie rękę na ramieniu. – Jesteśmy częścią wspólnoty. Pozwól sobie pomóc. – Zaśmiał się teraz szczerze i pewnie. – W końcu paramy się tym już jakieś dwa tysiące lat. Mamy trochę doświadczenia.

– Jeszcze raz dziękuję, ale potrzebujemy z Aidanem trochę czasu dla siebie – odparła. – Prawda? – Objęła mnie ramieniem.

– Miło mi to słyszeć. – Skinął głową i chwilę się zastanawiał. Pragnąłem, żeby mama przejęła ster tej rozmowy, żeby skierowała ją w stronę naglających obowiązków. Chciałem, żeby jej słowa wypchnęły księdza za drzwi, daleko od naszego domu. Przerażenie nie pozwalało mi się odezwać. Moja dłoń wciąż była lepka od tamtego krótkiego uścisku. Jednak to ksiądz Greg przemówił.

– Gwen, Aidan już świetnie zdaje sobie sprawę, że w parafii Najdroższej Krwi wszyscy jesteście jedną rodziną. Zawsze byłeś hojną osobą. Pozwól teraz, by ktoś inny cię obdarował. Nie masz pojęcia, jak wyzwalające może być to doświadczenie. – Położył mi rękę na ramieniu. Zamknął dłoń w ciasnym uścisku. Mój żołądek się skurczył. – Pragniesz wspierać swoją mamę, prawda? I będziesz jej wsparciem. Wiem o tym. Ale ty sam potrzebujesz oparcia, Aidan. U nas możesz je znaleźć.

Moje wnętrze skręciło się w supeł. Ledwo trzymałem się na nogach. Oparłem się o marmurowy blat stołu. Mama stała, zachowując zupełny spokój. Mrugała tylko, słuchając przemowy duchownego. Uniosła stopę i postawiła ją stanowczym ruchem przed sobą.

– Cóż, o tym właśnie rozmawialiśmy dziś cały dzień. Tutaj. W domu.

Greg cofnął się.

– To była tylko dobra rada – powiedział. – Cieszę się, że oboje tak dobrze się macie.

– Owszem – odparła mama. – Dziękuję za troskę. Mam dzisiaj jeszcze sporo do zrobienia. Nie chciałabym księdza wyganiać, ale...

– Oczywiście, rozumiem. – Spojrzał na mnie. – Aidan nie zjawił się na wolontariacie od dłuższego czasu. Chciałbym omówić z nim kilka spraw. Co powiesz, Aidan? Może wpadniesz na plebanie?

Oboje wpatrywali się we mnie, ale ja wbiłem wzrok w matkę. Mówiłem do księdza, nie patrząc na niego.

– Rozmawiałem z moimi znajomymi – cedziłem. – Jest kilka przedsięwzięć w szkole, w których chciałbym wziąć udział. – Po plecach płynął mi pot. Wytarłem ręce o spodnie. – Nie sądzę, żebym wrócił do pracy w parafii. Poza tym moja mama potrzebuje pomocy przy rozkręcaniu firmy. Chcę być pod ręką.

Na twarzy Grega pojawił się wątpy uśmiešek.

– Skoro tak, chciałbym, żebyś dokończył u nas pewne sprawy. Czy możemy pomówić o tym w moim gabinecie?

– Mam sporo nauki. Muszę odrobić zadania, zanim ferie się skończą. Wracam do szkoły w środę.

– Ma rację – poparła mnie mama. – Cieszę się, że o tym myśli.

– Rozumiem. Jednak w takim razie chciałbym omówić z tobą pewną rzecz – zwrócił się do niej ksiądz. – Zwłaszcza jeśli Aidan ma już nie wracać do pracy. Skoro Jacka już z wami nie ma, chyba powinienem rozmawiać z tobą. Chodzi o tegoroczną darowiznę.

Mama wciągnęła powietrze i zeszywniała. Ksiądz wyciągnął ręce w obronnym geście.

– Nie mówię, że to ma być natychmiast, Gwen. Napomykam o tym tylko dlatego, że Jack zawsze wolał księgować takie sprawy przed końcem roku. Kwestia podatków, sama rozumiesz. Może i tobie przydałby się odpis, skoro myślisz o własnym biznesie?

Mama przygwoździła go wzrokiem.

– Zrozumiałam przekaz. Wkrótce podejmę decyzję. Teraz muszę ojca przeprosić. Robi się późno.

– Cieszę się, że wykazujesz taką determinację na swojej nowej drodze, Gwen. – Ksiądz się uśmiechnął. – Możesz służyć za wzór.

Pożegnaliśmy się wylewnie, a ja nawet zdobyłem się na grymas, który mógłby uchodzić za uśmiech, kiedy kolejny raz przyszło mi uściskać rękę księdza Grega. Robiłem to tak często, że omal nie pozwoliłem mu się przytulić. Ile to razy mnie obejmował? Zrobiło mi się niedobrze. Poszedłem do łazienki, zanim jeszcze za księdzem zamknęły się drzwi.

Moja ledwo tłąca się pewność siebie zgasła, kiedy tylko mama wyszła z domu. Było już ciemno, kiedy jej samochód zniknął w oddali. Poszedłem do swojego pokoju, ale w myślach wciąż znajdowałem się w gabinecie księdza Grega. Słyszałem, jak cytuje Ewangelię wg św. Mateusza: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata”¹⁶. Widziałem, jak wstaje, okrąża biurko i zbliża się do mnie ze swoim cuchnącym oddechem. Opowiadał, że działa przez niego Bóg, że nigdy mnie nie opuści i że ta miłość jest niczym wiara i polega na upewnieniu się w swojej nadziei. Wierzyłem, że jestem kochany.

Wciąż marzyłem skrycie, żeby dalej było po staremu, żeby nadal trwało świąteczne przyjęcie. Chciałem znów stać z księdzem na podjeździe i rozmawiać sam na sam. Rozweseliłby mnie i wyperswadował wszelką nienawiść do Seniora i matki. Radziłby mi, jak postępować z nowymi przyjaciółmi. Pragnąłem, bym nigdy nie zobaczył go z Jamesem i bym nigdy nie wytarł zakrwawionej ręki w jego koszulę. Dlaczego miałbym przyznawać przed sobą, w czym naprawdę uczestniczyłem? Kiedy teraz myślałem o księdzu, czułem, jak przyciągały mnie jego ramiona, jak tłamsiły mnie w uścisku. A wspomnienia dopiero zaczynały wypływać. Nie zawsze chyba prawda musi objawiać się w tak brutalny sposób, czyż nie?

Gapilem się w ściany pokoju ze szczerą nadzieją, że coś wreszcie się stanie. Stos wydruków na moim biurku mógłby unieść się w powietrze i zawirować, a ze środka wiru powinien odezwać się głos i objawić mi, co mam robić. Niechby tak wszystkie książki spadły z półek i otworzyły się, prezentując użyteczne w mojej sytuacji fragmenty. Była to modlitwa albo raczej błaganie, żeby spłynęły na mnie słowa, które mam powiedzieć matce. Nic się nie stało. Zastanawiałem się tylko, za jakiego potwora uzna mnie Gwen, kiedy wszystko jej wyjawię. Chciałem znaleźć w sobie dość siły, by nam tego oszczędzić.

Siedziałem w fotelu, płacząc. Wyobrażałem sobie mamę na scenie jako Odettę z *Jeziora łabędziego*. Myślałem o tym, jak w błyszczącym białym kostiumie, ze splecionymi nogami przygotowuje się, by wziąć scenę szturmem, przemierzając ją na czubkach palców. O ileż silniejsza była ode mnie. Wyobrażałem sobie tę dzikość w jej oczach. „To również moje oczy”, pomyślałem i już wiedziałem, że – tak samo jak matka – muszę przeć naprzód.

ROZDZIAŁ 7

Do sylwestra przygotowaliśmy się osobno. Mama już wczesnym popołudniem zaczęła przymierzać rozmaite stroje i pytać mnie o opinię. Przyjaciółka wyciągała ją na imprezę do miasta. Miały zarezerwowane dwa miejsca w koktajlbarze. Matce udało się też załatwić stolik w jakiejś małej włoskiej knajpce, o której nigdy nie słyszałem. Przyjęła wreszcie podwójne zaproszenie na domówkę od dawnej koleżanki ze sceny. Koleżanka miała mieszkanie z widokiem na park przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. Tak bogate plany osłabiły jednak zdolność mamy do podejmowania decyzji. Prezentowała mi eleganckie sukienki, w których nigdy dotąd jej nie widziałem. Przeparadowała przede mną całą obuwniczą armia: szpilki, pantofelki i buty na tak wysokim obcasie, że chodzenie w nich wydawało się niemożliwością. A jednak matka kroczyła w nich tam i z powrotem po balkoniku górującym nad holem. „Pieprz! Się!” – wybijały rytm obcasy, wystukując wiadomość do Seniora za oceanem.

– To naprawdę ja? – zagadnęła, przechodząc obok mnie.

– A chciałabyś być kimś innym?

– Kobieta, którą jestem w tej chwili. – Zaśmiała się. – Trzeba wybierać, prawda?

Zamówiła taksówkę i odjechała z przyjaciółką na krótko przed zmierzchem. Ja nie poświęciłem uwagi mojej prezencji. Zamiast tego spędziłem czas, kombinując, ile małych butelek dam radę podebrać z barku ojca i jakie cygara mogę mu podprowadzić, a także jak dam radę upchnąć to wszystko w kieszeniach płaszcza. Musiało się w nich znaleźć również miejsce dla adderallu i innych tabletek, jakie wygrzebałem w szafce mamy, a nie chciałem wyglądać jak karykatura kleptomana. Obładowany zasiadłem na werandzie z papierosem mamy w dłoni, czekając na Marka.

Myślałem, że już się nie pokaże, ale w końcu zobaczyłem jego audi mknące w górę podjazd. Wziął wiraż i zajechał przed dom. W aucie głośno grała muzyka. Mark otworzył mi drzwi.

– Mógłbyś to zgasić. – Wskazał na papierosa. – To kiedyś będzie mój wóz, ale na razie nie jest. Rozumiesz, o co chodzi. – Wyrzuciłem peta i wsiałem do środka. Niewiele mówił, jadąc przez miasto. Zapytał tylko, czy możemy na chwilę się zatrzymać przed imprezą. Nie wyłączył muzyki. Przejechaliśmy obok pola golfowego i zaparkowaliśmy przy bocznej drodze tuż za mostem. Była to gruntowa dróżka prowadząca wzdłuż rzeki, na tyle szerokiej w tym miejscu, by pomieścić pojedynczą łódź. Mark zgasił silnik. Wyszliśmy na zewnątrz i oparliśmy się o maskę. Wpatrywaliśmy się w wodę spływającą w dół, do portu. Mark przypalił cienkiego dżointa.

– Wybacz mój nastrój, stary – powiedział. – Wkurwiłem się dzisiaj. Bóg Ojciec trochę dziś przesadził. Nawet będąc sam w aucie, czuję na sobie jego wzrok. Wszędzie mnie obserwuje i, rzecz jasna, ma kurewskie pretensje.

– Bóg?

– Mój stary. Pomyliły mu się role. Wydaje mu się, że jest naszym panem i władcą.

– Skąd ja to znam... – odparłem. Zaciągnąłem się i wstrzymałem na chwilę oddech, naśladując Marka. – Tyle że mój stary przepadł już na amen.

– Szczęściarz z ciebie.

– Może.

Kiedy dopaliliśmy dzointa nad rzeką, wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy na przyjęcie. Rezydencja Feingoldów leżała parę miasteczek dalej, kawałek w górę wybrzeża. Ledwie kilka przecznic dzieliło go od oceanu. Pobliskie domy były niemal tak duże jak mój, ale bardziej ścięśnione. W większości pogaszono już światła, ale od Feingoldów bił blask, który rozświetlał całą okolicę. Dom znajdował się na wzgórzu. Auta imprezowiczów stały po obu stronach ulicy, a także tłoczyły się na podjeździe. Mark zaparkował dopiero za rogiem, z dala od innych samochodów. Nie byłem świadom, że moja noga bez przerwy podskakuje, dopóki Mark nie obrzucił jej spojrzeniem. Zapanowałem nad kończyną. Czuję narastającą potrzebę. Wziąłem głęboki oddech. Zanim wysiedliśmy z auta, pokazałem Markowi, co przywiozłem.

– Mam ze sobą całą cholerną aptekę – powiedziałem. – Weźmiesz coś?

– Dzięki, stary – odpowiedział Mark. – Ja tylko palę zioło. Jakoś mnie to wycisza. – Przytaknąłem, ale zanim zdążyłem schować torebkę, dodał: – Ale jeśli w tym gustujesz, nie krępuj się.

– Mam vicodin.

Skinął głową.

– Może potem.

– A to dla mnie. – Wytrząsnąłem pastylkę adderallu. – Przygotuję się do imprezy.

– Jasne.

Nie odzywał się, kiedy pokruszyłem pigułkę na kartce położonej na desce rozdzielczej, uformowałem papierową rurkę i wciągnąłem wszystko na raz. Kiwnął głową, jakby do rytmu niesłyszalnej już teraz muzyki. Zmiałem papier i wcisnąłem go do kieszeni.

– W porządku – odezwał się Mark, kiedy wysiedliśmy z auta. – Miejmy się dziś na oku. Różnie bywa na imprezach. – Podaliśmy sobie ręce w taki sposób, że wyglądaliśmy, jakbyśmy mieli się zacząć siłować. Czuję ulgę, że nie musiałem iść na imprezę sam i miałem przy sobie Marka.

W miarę jak szliśmy w górę podjazdu, coraz wyraźniej słyszeliśmy muzykę i gwar. Na werandzie stało towarzystwo. Palili. Mark przedstawił mi paru starszym uczniom z naszej szkoły, których nie znałem. Byli to jego koledzy z drużyny pływackiej. On pociągnął bucha z dzointa, który krążył z rąk do rąk, a ja wysepłem od kogoś papierosa. Przez szybę widziałem, że na parterze jest parkiet taneczny. Jednak więcej imprezowiczów zgromadziło się przy oknach na piętrze. Mark oparł się uśmiechnięty o mur i pozwolił rozmowie toczyć się swoim tempem. Od czasu do czasu zdobywał się na kiwnięcie głową, jakby wiedział o czymś, o czym nikt inny nie miał pojęcia. Próbowałem włączyć się do rozmowy, ale za szybko wypluwałem słowa. Po kolejnym papierosie zapytałem Marka, czy nie chciałby poszukać Josie i Sophie. Zaczęliśmy przeciskać się przez tłum.

Przyćmione światło w pokojach sączyło się z lamp o zielonych, czerwonych i żółtych żarówkach. Dom przypominał przez to szklarnię. W półmroku ludzie przekrzykiwali się przez głośny hip-hop, który pulsował w salonie. Niektórzy tańczyli. Pary splecione nogami wiły się w ciasnych uściskach. Plastikowe kubki chwiejnie pokonywały drogę do ust. W kuchni było nieco jaśniej. Trzech gości osuszało tam kegę piwa i rapowało słowa piosenki. Jeden wywrzaskiwał je do trzymanej przy ustach rury. Sophie siedziała na kuchennym blacie. Rozmawiała z dwójką chłopaków. Trzepoczące rzęsy skrywały duże, rozglądające się czujnie oczy. Miała krótsze włosy niż ostatnio. Wyglądała przez to na starszą albo raczej mniej

niewinną. Jeden z chłopaków położył jej rękę na dzinsach.

– Naprawdę miłe w dotyku – mówił, kiedy się zbliżaliśmy.

Sophie zaśmiała się lekceważąco. Ze sztucznym uśmiechem opierała się o szafki. Rozpogodziła się na nasz widok.

– To goście z mojej szkoły – powiedziała, wskazując na nas. Z rozmachem zeskoczyła z blatu i uściskała nas obu. – Zabierzcie mnie od nich – wyszeptała.

Mark chwycił ją pod jedną nogą, ja pod drugą i na zaimprovizowanym krześle z naszych rąk ponieśliśmy ją przez kuchnię w stronę towarzystwa z piwem. Uniosła swój kubek do góry niczym królowa. Znalazła też coś czystego dla mnie. Polaliśmy sobie i zaszyliśmy się w dużym pokoju, gdzie migotał telewizor. Przez ekran przewijały się relacje z uroczystości noworocznych z różnych stron świata. W Rio de Janeiro minęła już północ i ulice zaludniał barwny tłum. Sophie referowała nam, co ominęło nas na imprezie, a ja zacząłem się zastanawiać, czy właśnie w ten sposób wszyscy poza mną spędzają weekendy. Większość imprezowiczów wywrzaskiwała do siebie nawzajem jakieś głupoty, ale jakie to miało znaczenie? Ważne było to, że bawili się wspólnie. Na maskaradzie nikt nie czuje się samotny, nawet jeśli nie zna nikogo z towarzyszy. Przyszedłem na przyjęcie. Ktoś chciał, żebym bawił się razem z nim. To się liczyło. Czułem się, jakbym, wzorem mojej matki, nabierał właśnie rozpędu, by wirować pośród innych tancerzy.

Kiedy opróżniliśmy nasze kubki, zaproponowałem, że poszukamy Josie. Sophie przewróciła oczami. Mark zaśmiał się szczerze pierwszy raz, od kiedy zjawiliśmy się na imprezie. Dziewczyna obrzuciła go spojrzeniem.

– Pewnie potrzebuje towarzystwa, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy – powiedziała.

Szedłem za nimi, kiedy nawigowali po pokojach na parterze. Zastaliśmy ją na oszklonej werandzie, gdzie paliła fajkę w towarzystwie dziewczyn ze szkoły. W jej oczach, lśniących niczym lód, odbijały się światła domu.

– Feingold pozwolił wam tu palić? – zapytał Mark.

– Sama nie wiem. W zasadzie jesteśmy na zewnątrz.

– A Feingold gdzie się podziewa? Facet urządził imprezę, a ja nawet się z nim nie przywitałem. – Mark rozejrzał się po werandzie. – Wiem, że jestem upierdliwy, ale może wypadaloby go spytać, czy wolno tu palić? To w końcu jego dom.

– Masz rację – stwierdziła Josie. Zgniotła fajkę na podstawce doniczki, otworzyła drzwi werandy i wyrzuciła peta na zewnątrz. – Właściwie przyszedłam tu tylko złapać oddech. Chłodne powietrze jest przyjemne.

– Jasne. – Sophie wyszczerzyła się w uśmiechu. – A gdzie Dustin?

– Polazł gdzieś. Pewnie będzie mnie później szukał. – Dziewczyny przytuliły się na powitanie. – Zwłaszcza wtedy, kiedy się spije.

Josie zaproponowała, żebyśmy poszli gdzieś, gdzie będzie ciszej. Przecisnęliśmy się znów przez tłum i zeszliśmy do słabo oświetlonej piwnicy. Dustina tu nie było, ale za to znaleźliśmy kolejny bar, przy którym towarzystwo mieszało zabójcze koktajle ze wszystkim, co przychodziło akurat imprezowiczom do głowy. Ścieśniliśmy się przy kontuarze. Zająłem się drinkami i przyszykowałem coś dla wszystkich oprócz Marka. Nagle poczułem na plecach czyjąś rękę i usłyszałem za sobą niski głos Craiga Riggsa.

– Stary – zagaił cicho. – Miło cię tu widzieć. Masz na coś ochotę?

Odruchowo chciałem poszukać ustronnego miejsca, jak zwykle robiliśmy to w szkole. Mógł to być samochód Riggsa na parkingu dla uczniów lub opustoszała w trakcie zajęć szatnia. Jednak

tym razem Craig po prostu przybliżył się do nas, wciskając sobie opadający kosmyk brązowych włosów za ucho. – Nikomu nic nie trzeba? – zapytał.

Kupiłem od niego kolejną porcję adderallu, a ponieważ w tajemniczy sposób włączył mi się tryb dowodzenia, zaprowadziłem całą naszą czwórkę do łazienki. Kiedy zamknęły się za nami drzwi, pokruszyłem to, co zostało z moich zapasów leku, i dorzuciłem do tego parę pastylek od Riggsa. Uformowałem kreski na odwrocie pudełka chusteczek. Zwinąłem banknot w rurkę i wciągnąłem pierwszą z nich. Dziewczyny poszły w moje ślady, lecz nie Mark. Za nic nie chciał tknąć adderallu, ale zamiast tego pociągnął bucha zioła ze swojej lufki. Obskoczyliśmy przed wyjściem jeszcze jedną kolejkę, a ja poczułem, że tym razem mocno mnie pozamiatało.

Wróciliśmy do salonu, gdzie dowiedzieliśmy się, że Nowy Rok zbliża się już do wybrzeży Kanady. Tańczyliśmy jak nakręceni. Szczęrzyliśmy do siebie zęby i wypluwaliśmy z siebie słowa szybciej, niż pozwalały na to usta. Mark i ja tańczyliśmy na zmianę z dziewczynami, a nawet przez chwilę ze sobą. Naszą niezręczną, kumpelską choreografię przypieczętował uścisk dłoni, który przywodził na myśl triumfujących gladiatorów. Cała nasza czwórka była zgłodniała i spragniona. Niosąc świeże drinki, znów zawędrowaliśmy na werandę. Okazało się, że teraz dochodzi już północ.

– Lepiej poszukam mojego chłopaka – powiedziała Josie. Wzięła pół paczki papierosów od dziewczyny, która akurat rzygała w ogrodzie za krzakiem. Stanęliśmy razem na stopniu tuż poniżej otwartych drzwi. Josie poczęstowała mnie fajką.

– Powinien sam cię poszukać – odezwałem się.

– Chryste Panie! – zaśmiała się Sophie. – Aidan ma rację.

– Wiecie co? – zwrócił się do nas Mark. – Chuj z Dustinem, co wy na to?

Josie westchnęła.

– Nie mów tak.

– Nie, mówię poważnie. – Mark chwycił ją za rękę. – Chuj z nim.

Josie uśmiechnęła się i skłoniła głowę na bok. Zobaczyłem to, czego nigdy nie widywałem na lekcjach angielskiego – całą jej szyję pomiędzy podbródkiem a zbiegiem obojczyków. „Dlaczego to, co najbardziej wrażliwe, kręci nas najbardziej?”, zastanawiałem się. Spojrzałem w niebo. Chciałem poczuć się tak mały, żeby moje wspomnienia stały się pyłkiem wobec otaczającego mnie ogromu. Wypatrywałem gwiazd, które mogły przebić się przez światła miasta. Mark ciągnął dalej.

– Pomyśl, jesteśmy tutaj razem. Świetnie się bawimy bez niego. Ty też.

Z wnętrza domu dobiegły nas krzyki. Była już prawie północ. Ktoś pogłośnił telewizor, ktoś ściszył muzykę. Imprezowicze tłoczyli się w salonie. Położyłem rękę na ramieniu Josie.

– W tym roku zaczynam od nowa – powiedziałem. – Moja matka ciągle o tym gada i chyba zrozumiałem, o co jej chodzi.

Dziewczyna drżała. Pozwoliła się objąć.

– Chodźmy wszyscy do środka – zarządziłem. – Zamarzniemy tutaj. – Pokój, do którego weszliśmy, był zatłoczony ludźmi. Wszyscy wiwatowali przed telewizorem i przekrzykiwali się z tłumami z ekranu, kłębiącymi się na Times Square. Adderallowy kop trwał i pewnie trzymałem Josie za rękę. Puściła mnie, kiedy wchodziliśmy do środka, a Mark objął mnie wtedy za szyję. Sophie wcisnęła się pomiędzy nas. Unieśliśmy ją w górę, tak że górowała ponad wszystkimi. Zagrzewała imprezowiczów do dalszych wiwatów, a ja zastanawiałem się, czy inni często doświadczają takich uczuć jak teraz i dlaczego we mnie wciąż ziele pustka, mimo że

bawię się razem ze wszystkimi.

– Trzy minuty! – wykrzyknąłem z tłumem, choć czułem, jakby coś wyjadało mnie od środka i wydrążyło sobie już korytarz. Wyobrażałem sobie tego insekta, przegryzającego się z brzucha w kierunku serca.

Nie chciałem myśleć o księdzu Gregu. Nie chciałem, żeby się do mnie kiedykolwiek zbliżał. Chciałem tylko tkwić w tłumie i wiwatować, spleciony w uścisku naszej czwórki, ale wciąż słyszałem szept duchownego. „Znam cię, jestem tu dla ciebie, Aidan. Jestem tutaj”. Doznałem rozdwojenia. Jeden Aidan wciąż był na imprezie, tańczył, krzyczał i wołał: „Szczęśliwego Nowego Roku!” razem z innymi. Ten drugi stał, milcząc, w ciemnościach i słuchał księdza Grega, który wyjaśniał, jak ważne jest dotrzymywanie sekretów.

Po pokoju krążyły flaszki piwa, wina i szampana. Alkohol chlupał w kubkach, które zderzały się w przedwczesnych toastach. Było zbyt głośno i dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, że Mark coś do mnie krzyczy.

– Gdzie jest ten pieprzony Feingold? – powtarzał i lustrował tłum wzrokiem, ale Sophie chwiała się wciąż na naszych barkach. Złapaliśmy równowagę i trzymaliśmy ją w powietrzu, w czasie gdy trwało odliczanie. Kiedy wielka kula jechała w dół na ekranie telewizora, pomyślałem o mamie, która balowała gdzieś w mieście, o tym, że przepelnia nas dwoje ta sama energia. Wyobrażałem sobie, jak niezmordowanie wiruje pośród gości na swoim przyjęciu, napędzana tą samą nadzieją i zdecydowaniem, które wprawiały w ruch mnie: „Uwaga, bawimy się wszyscy! I nic innego teraz się nie liczy...”.

Gdy kula na Times Square zjechała na sam dół, pokój dosłownie eksplodował. Sophie zeskoczyła z naszych barków i oblała gości zawartością swojego kubka. Pocałowała Marka i mnie otwartymi ustami. Zazdrościłem jej wolności, tego, jak potrafiła się cieszyć. Sprawiała wrażenie odpornej na zarazę smutku. Josie obserwowała nas. Przysunąłem się do niej, ale obróciła się policzkiem w moją stronę. Odsunęła się na moment, odgarnęła włosy, rozejrzała się wokoło, a potem odwróciła się do mnie z powrotem i pocałowała mnie w usta. Zaśmiała się nerwowo i popatrzyła na Marka. Zbliżył się, a ona pozwoliła się pocałować również jemu. Puszczając ją, obrzucił mnie spojrzeniem. Uściskał mnie serdecznie za szyję.

– Donovan, jesteś w porządku – powiedział.

– Kowolski – odpowiedziałem, naśladując jego głos – ty też. Serio. – Tym razem to ja go uścisnąłem. Złapałem go za kark, przyciągając do siebie. Poczulem, że jest mokry od potu. Przez moment trwaliśmy w niezręcznej pozie, potem wyzwolił się z uścisku.

– Co za życie, co za świat! – krzyknął do mnie. – Zdrowo popierdolone! Przy władzy są same pojeby. Witamy w dwa tysiące drugim! Przejebane pokolenie, dymane przez wszystkich wokoło.

– Zwłaszcza tych, którzy mówią, że ich celem jest nasze dobro – dodałem.

– Otóż to. – Ironiczny wyraz radości na jego twarzy nieco się rozmył. – Otóż to, zwłaszcza przez nich.

– Cóż, przynajmniej i my coś mamy.

– Niby co? – zapytał Mark.

Włączyłem Josie do naszej rozmowy, obejmując ją obiema rękami.

– To. Mamy siebie. To już coś.

Josie uniosła kubek i stuknęła nim o mój.

– Za nas wszystkich. Gdzie jest Sophie? – Napiliśmy się i rozejrzeliśmy po pokoju, szukając jej wzrokiem. Przeciskała się przez tłum. Wokół nadgarstków miała owinięte dwie fosforyzujące

opaski.

– To jest impreza życia! – krzyknęła, wynurzając się z gąszczu cudzych kończyn. Straciła swój kubek, ale za to wytrzasnęła skądś butelkę wina. Zadrżała jej ręka, kiedy ktoś włączył z powrotem wieżę. Nalała mi za dużo. Z głośników poleciał funkowy kawałek, do którego wszyscy zaczęli tańczyć.

Podaliśmy kubek Markowi, ale nie chciał pić.

– Widziałeś gdzieś Feingolda? – zapytał.

Tańczyłem właśnie z dziewczynami, ale dostrzegłem wyraz jego twarzy i znieruchomiałem.

– Poszukajmy go – odparłem.

Przeciskaliśmy się w stronę frontu domu, ciągle napotykając na naszej drodze imprezowiczów. Pytaliśmy kogo popadło, ale nikt nie widział gospodarza. Zauważyłem zresztą, że mało kto wiedział, o kogo pytamy. Ja też dostrzegałem coraz mniej znajomych twarzy. Zaglądnąłem na werandę, ale i tam Feingolda nie było. Mark poszedł na górę, a my podążaliśmy za nim. Jakaś para całowała się na piętrecie. Nie zwracała na nas uwagi. W korytarzu stał Riggs, opierając się o zamknięte drzwi do łazienki. Jego oczy były otwarte, lecz spojrzenie nieobecne. Nie zauważył nas. Miał otwarte usta, a głowa chwiała mu się, jakby poruszał nią wiatr. Na końcu korytarza dostrzegłem otwarte na oścież drzwi i serce podeszło mi do gardła, kiedy Mark ruszył ku nim.

Dustin i dwóch innych gości ze szkolnej drużyny bejsbolowej zgromadziło się wokół łóżka. Daszki ich czapek wskazywały obiekt zainteresowania – nagiego Feingolda rozciągniętego na beżowej kołdrze. Był pomalowany markerem. „Cioty odpadają pierwsze” – oznajmiały napisy na jego rękach i nogach, a brzuch zdobiło narysowane gównem i równie prymitywne wyobrażenie szczyń. Włosy miał poplamione pastą. Łóżko było wilgotne na wysokości jego pasa i poniżej. Krocze pomalowano mu szminką, która teraz sterczała z pępka. Dustin, zanosząc się śmiechem, wycelował aparat w stronę swoich kumpli – Nicka i Andre, którzy pochylali się nad Feingoldem. Nick trzymał w dłoni jednorazową maszynkę i przymierzał się do ogolenia gospodarzowi brwi. Andre prezentował uniesiony w górę kciuk, a w drugiej ręce trzymał flamaster. Uśmiechali się do zdjęcia. Dustin akurat nacisnął spust migawki, kiedy wchodziliśmy do pokoju. Odwrócił się do nas, a widząc Josie, zdjął czapkę i odgarnął do tyłu swoje cienkie blond włosy. Szczeniacki wyraz twarzy zniknął momentalnie. Na obliczu sportowca malowało się teraz poczucie winy. Spojrzał w stronę swoich kolegów. Nick już gotował się do pierwszego pociągnięcia maszynką.

– Ej, czekaj! – krzyknął Dustin.

Dalej sprawy potoczyły się szybko. Mark rzucił się w stronę Nicka. Odepchnął go od łóżka, tak że chłopak wpadł na komodę. Jednak kiedy Mark przyglądał się zamkniętym oczom nieprzytomnego Feingolda, zaskoczył go Andre. Napastnik odciągnął Marka do tyłu i wykręcił mu rękę za plecy. Sophie i Josie krzyczały. Nick doskoczył do Marka od frontu.

– Uspokój się – powiedział. – To tylko takie wyglupy. Zresztą gość sam jest sobie winien. Urwał mu się film. Pierwszy zaliczył zgon.

Po drugiej stronie łóżka Dustin usiłował udobruchać Josie, jednak ta tylko potrząsnęła głową i uciekła od niego.

– Co to ma, kurwa, być? – Usłyszałem Sophie.

Mark usiłował się uwolnić, jednak na próżno. Złapany mocno przez Andre miotał przekleństwa w stronę całej trójki kumpli. Nick wrzeszczał na niego. Wreszcie i ja się ruszyłem,

Dustin złapał mnie za ramię i odciągnął do tyłu.

– Uspokójcie się – odezwał się do nas wszystkich. – Przecież nic się nie dzieje.

– Po co robić komukolwiek coś takiego? – zapytała Josie.

– Dupki z was – dorzucił Mark.

Nick wzmocnił uścisk.

– Zamknij ryj! – krzyknął.

– Spokój! – wrzasnął Dustin. – Po prostu trochę się zabawiliśmy.

– Zabawiliście się? – powtórzyła Josie. – Nie waż się mnie tknąć – dodała, kiedy chłopak zrobił krok w jej stronę.

– Przestań – westchnął. – Pojebało cię?

– Chyba was. – Mark wskazał głową na bezwładne ciało. – Kręcą was takie rzeczy?

– Jebnę ci w ryj, jak się nie uciszysz – zagroził Nick. – O co wam chodzi? Przyszliście tu z Aidanem obciążać Feingoldowi czy co? Po to tu przybleźliście? Pewno tak. Wiem, co was podnieca.

– Co ty w ogóle wiesz? – odparł Mark. – Co ty wiesz?

– Morda, pedale! – Nick uderzył Marka w brzuch.

– Starczy tego! – krzyknął Dustin. Rozluźnił przy tym uścisk i zdołałem się wyswobodzić. – Spokój. – Chłopak Josie usiłował komenderować towarzystwem, ale mało mnie to obchodziło. Pewnie nie pokonałbym nikogo na pięści. Nigdy w życiu nawet nie wdałem się w bójkę. Aż do dziś. Ale to nie miało znaczenia. Wciąż mogłem cokolwiek zrobić.

Ruszyłem w kierunku Nicka, lecz ten odepchnął mnie na bok i poleciałem na łóżko. Znow uderzył Marka w żołądek. Szybko odzyskałem równowagę i natarłem jeszcze raz. Nick zdołał się obrócić i wyprowadził mocny cios w bok mojej głowy. Złapał mnie, kiedy upadałem, i uderzył kolejny raz. Zatoczyłem się w stronę Marka, lecz ten miał ręce skrepowane za plecami i nie mógł mi pomóc. Otarłem się więc o niego i upadłem na podłogę. Dziewczyny krzyczały, a ja przez moment straciłem orientację, gdzie jestem i co się dzieje.

Kiedy się ocknąłem, leżałem na plecach. Dustin przyciskał Nicka do ściany. W głowie pulsował mi ból. Josie i Sophie wrzeszczały na Andre. Mark znow był wolny. Pochylił się nade mną, by przyciągnąć mnie do łóżka. Oparł mnie o nie plecami. Kątem oka widziałem zwisające po prawej palce Feingolda. Z lewej strony mało co mogłem zobaczyć. Oka nie dało się otworzyć szerzej. Coraz więcej ludzi kłębiło się w pokoju i chociaż pomieszczenie huczało od gwaru, było spokojniej niż przedtem. Spojrzałem na Nicka i uśmiechnąłem się. Uśmiech bolał, ale dałem radę. Krew kapła mi z podbródka.

Josie i Sophie przykucnęły przede mną, pytając, czy wszystko w porządku. Uśmiechnąłem się ponownie.

– Przykryjcie Feingolda – powiedziałem. Mark zajął się nieprzytomnym, a Sophie mu pomogła.

Josie dotknęła mojej twarzy i potrząsnęła głową. Wstała.

– Normalny ty jesteś? – odezwała się do Dustina. Puścił Nicka i obrócił się do niej. Oswobodzony chłopak najwyraźniej dalej miał coś do Marka.

– Oberwiesz jeszcze – zagroził, wskazując na niego.

– Nikt już tu nie oberwie – przerwał mu Dustin.

– Pieprz się – zaklął Nick. – Wystarczy, żeby twoja dziewczyna się pojawiła, i od razu mięknie ci rura. O tym właśnie mówiłem.

– Posłuchaj... – zaczął Dustin.

– Zamknij się. – Andre chwycił Nicka za ramię i zaciągnął do drzwi. Przeciskali się przez tłum w stronę holu.

– Pogadajmy gdzieś – poprosił Dustin Josie, kiedy tamci zniknęli.

– Nie odzywam się do ciebie – odparła.

Chciał ją złapać, ale odepchnęła jego rękę.

– Posłuchaj – przekonywał ją. – To nie tak, jak się wydaje. Musisz mnie zrozumieć.

Próbowałem się podnieść, żeby stanąć pomiędzy nimi, ale byłem słaby i wciąż oszołomiony. Dustin zdążył mnie minąć. Dopędził Josie w połowie pokoju i błagał, żeby się uspokoiła. Kiedy w końcu udało mi się wstać, ujrzałem w lustrze moje spuchnięte oko i zakrwawione usta. Wiedziałem, że to nie zagoi się szybko. Zastanawiałem się, czy było warto. Dwóch chłopaków i jakaś dziewczyna zajęli się Feingoldem. Zakaszlałem. Jeszcze inna dziewczyna przyniosła z łazienki mokry kompres i przyłożyła go delikatnie do mojej twarzy. Była niższa ode mnie, a jej fryzura przypominała gąbkę. Najchętniej położyłbym na tej gąbce głowę i zasnął, ale wciąż jeszcze byłem napompowany adderalem i adrenaliną. Mój puls niemal dotrzymywał kroku galopującym myślom.

Pojawiła się skądś Josie. Chwyciła mnie za rękę.

– Idziemy stąd? – zapytała.

– Nikt nie musi nigdzie iść – odezwał się w tle Dustin.

– Ty akurat powinienes – zgasiła go dziewczyna gąbka.

– Nigdzie się nie ruszam. Wszyscy żyją, nic się nie stało. Zabawmy się na dole.

– Rozejrzyj się wokół siebie – odpowiedziałem. – Sporo się stało.

Dustin ruszył do mnie, ale Mark chwycił go za rękę. Dwóch innych gości pomogło przytrzymać go w miejscu.

Sophie podeszła do niego i niemal dziabnęła go palcem w twarz w oskarżycielskim geście.

– Jesteś tyle wart, co i twoi kumple – powiedziała.

Podeszła teraz do mnie. Wisząc dziewczynom na ramionach, jakoś doczłapałem do drzwi. Zawołały Marka i wspólnie przeciskaliśmy się przez zatłoczony teraz korytarz w stronę schodów. Mark pogadał z kilkoma chłopakami z drużyny pływackiej i wysłał ich, żeby doglądali nieprzytomnego gospodarza. Potem wygrzebaliśmy nasze płaszcze i znaleźliśmy torbę mrożonego groszku, którą przyłożyłem sobie do twarzy. Wyszliśmy na werandę. Tam zrobiłem użytek z moich ran odniesionych w boju i wysepiłem od ludzi kilka papierosów na drogę. Każdy chętnie się dzielił.

Już w samochodzie Josie i Sophie namawiały mnie, żebym wracał do domu, ale ja nie chciałem. Kiedy w końcu je przekonałem, Mark powiedział, że mógłby zabrać nas na plażę, gdzie zeszłego lata robił kurs ratownika wodnego. Przypomniałem towarzystwu, że impreza się nie zakończyła. Wciąż byłem zdrowo nagrany wódką i lekami.

– Może poczekamy na wschód słońca – zaproponowałem. – W życiu nie widziałem wschodu, a przecież mieszkamy nad pieprzonym oceanem. Trzeba wejść w ten Nowy Rok z kopa. – Zarzuciłem vicodin, rozłożyłem się na przednim siedzeniu i pozwoliłem, by reszta omówiła plan.

Wkrótce dotarliśmy na wybrzeże. Mark zgasił światła i zajechaliśmy na spowity mrokiem przydrożny parking. Szybko przemierzaliśmy ścieżkę wiodącą wzdłuż kilku cichych i ciemnych teraz domów. Wyszliśmy na plażę. Ryczały fale przyboju, a na brzegu hulał lodowaty wiatr.

Księżyc był zeszłej nocy w pełni i chociaż wisiał wysoko na nocnym niebie, jego blada poświata oświetlała plażę. Mętne fale przetaczały się po piasku. Poszliśmy niemal do samej linii przypływu, żeby nie było nas widać z drogi. Wszelka rozmowa utonęłaby w hałasie oceanu – zresztą było zbyt zimno na gadanie. Josie wzięła mnie za rękę i przysunęła się do mnie. Jej szczupłe ramię obejmowało moje. Prowadziła mnie po twardym, mokrym piasku. Byłem na wpół ślepy i zawieszony pomiędzy bólem a delirium. Josie nie tyle była moim przewodnikiem, co sprawiała, że w ogóle trzymałem się na nogach.

Szliśmy w stronę budki ratowników. Kiedy tam dotarliśmy, Mark wszedł pod podest prowadzący na taras. Ja zajrzałem do środka przez okno. Wewnątrz było dość miejsca, by postawić parę krzeseł, wąski stół i trochę pomocy do pływania. Mark wkrótce wyłonił się z powrotem i wpuścił nas do środka. Przyjemnie było schronić się przed chłodem. Przynajmniej wewnątrz budki nie wiało. Potupaliśmy trochę w miejscu, żeby przywrócić krążenie. Wyciągnąłem z zanadru małą flaszkę midori i puściłem ją w obieg. Lepka słodkość była ohydna, ale ciepło alkoholu wynagradzało cierpienia.

Wiatr z gwizdem zaczął przedzierać się do wnętrza przez szczeliny lichej ściany.

– Cała chałupa skrzypi – odezwała się Sophie. – Czuję się, jakbym była na łodzi.

Mark zapalił dżointa i podał go jej. Zaciągnęła się i przywołała gestem Josie. Pocałunkiem przekazały sobie dym. Teraz Josie pociągnęła bucha i nachyliła się ku mnie. Jej język poruszał się delikatnie w moich ustach. Chociaż szczęka pękała mi z bólu, nie dałem nic po sobie poznać. Dym zdążył ulecieć, ale pocałunek trwał. Zdałem sobie sprawę, jak długi był, dopiero wtedy, kiedy skończyliśmy. Zęby Sophie błyszczały w uśmiechu, a w oczach Josie widziałem iskry. Zawstydzilem się. Pociągnąłem sporego bucha, który wypełnił całe płuca. Nachyliwszy się w stronę Marka, pocałowałem go i wydmuchałem z siebie kłęby tak szybko, jak potrafiłem. Przyjął wszystko, a policzki pracowały mu jak miechy. Jego usta w zasadzie nie różniły się bardzo od warg Josie. Były nieco cieńsze i bardziej sprężyste, ale poddały się moim tak samo jak te dziewczęce. Oderwał się ode mnie i wydmuchał mój dym wąskim strumieniem, wypuszczając go kącikiem ust. Uśmiechnął się i odwrócił wzrok. Sophie i Josie chichotały.

– Brawo! – powiedziała Sophie.

– Niech nikt nie czuje się pominięty – odparłem.

– Pominięty? – Mark się zaśmiał. – Dzięki za troskę. – Nasze dłonie klasnęły, zderzając się ze sobą. Roześmiał się głośniejsze i objął mnie jedną ręką. – Dzięki, stary, ale obawiam się, że ja też skończę tę imprezę z podbitym okiem. – Uśmiechał się dalej i przeszło mi przez myśl, że tym razem on mnie pocałuje. Ściany wirowały wokół mnie. Przytrzymałem się Marka, by zachować równowagę.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

– Tak. Napiłbym się tylko, bo gardło mnie pali – odpowiedziałem. Pociągnąłem łyka midori, ale to nie pomogło. Chwiejnie poczłapałem do stołu pod ścianą i wdrapałem się na niego, tak aby móc wyglądać przez okno, leżąc. Księżyc był na tyle wysoko, że mogłem dostrzec też kilka gwiazd. – Nic mi nie jest – powiedziałem. – Nie martwcie się.

Josie podeszła do mnie.

– Gadasz do siebie? – drażniła się ze mną.

– Nie. Nie wiem. Może. To chyba u mnie rodzinne.

Wskoczyła na blat, sadowiąc się obok mnie. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami, uniosła swoją głowę i przysunęła się bliżej. Położyłem głowę na jej udzie i uśmiechnąłem się do niej. Wzięła

ode mnie butelkę i pociągnęła łyka. Milcząc, wpatrywaliśmy się w krajobraz za oknem. Jej ręka znalazła drogę do mojej piersi przez rozpięte poły płaszczka. Głaskała mnie delikatnie.

– Bardzo cię boli? – zapytała w końcu.

– Nie bardzo – skłamałem.

– Łykniesz coś?

– Nie wiem. Nie pamiętam już, ile czego sobie dzisiaj zapodałem. Chyba niezbyt dużo.

– Może ja też się skuszę, a co? Czuję się, jakbym płynęła. Chcę, żeby to trwało.

– Nie bierz za dużo, skoro piłaś.

– Łał! – Zaśmiała się. – Zabrzmiało, jakby ci zależało czy coś w tym guście.

– Bo zależy. Wiesz, z pigułkami jest jak z jazdą po lodzie. Jest fajnie, a potem tafla się łamie i wpadasz do wody.

– I możesz umrzeć.

– Nie umrzyj mi. Dopiero co się poznaliśmy – powiedziałem.

Nachyliła się ku mnie i łagodnie pocałowała mnie w usta.

– Będziesz jutro potwornie wyglądał, wiesz? Naprawdę potwornie.

– Wiem – odpowiedziałem. – Ale jeśli mnie pocałujesz jeszcze raz, nie obejdzie mnie to nic a nic.

– Boże – jęknęła Sophie. Stała po przeciwnej stronie budki przy drugim oknie. – Słysząc was tutaj. Przestańcie.

– Bez ściemy, stary – odezwał się Mark. Rozkaszał się, a Sophie klepnęła go w plecy. – Bez ściemy – wysapał znowu. Sophie roześmiała się i wzięła kolejnego bucha.

Na twarzy Josie zobaczyłem uśmiech.

– Nie przejmuj się nimi – powiedziała.

– Wcale się nie przejmuję – odparłem. – Jest cudownie.

– Prawda. – Spojrzała na ciemniejące fale daleko na morzu. – Moglibyśmy tu zostać na zawsze, ale wtedy zamarzniemy.

– Wcale nie, jeśli dalej będziemy tak blisko.

Spodobało mi się, że to powiedziałem, i to, jak nasze głosy współbrzmiły ze sobą. Ogarniało mnie jednak wrażenie, że to ktoś inny mówi za mnie, a ja tylko siedzę schowany pod stołem, słuchając rozmowy marionetek. Ten ukryty ja przeczuwał, co będzie dalej – że za horyzontem zdarzeń czeka już na mnie coś lub ktoś, kto nieuchronnie wszystko mi odbierze.

Wyciągnąłem papierosa. Paliliśmy go na spółkę. Wsłuchiwałem się w huk i syczenie fal dobijających do brzegu. Zastanawiałem się, czy można by w jakiś sposób zmazać wszystkie dotychczasowe wypadki z mojego życia, czy mógłbym wywołać potop i zacząć wszystko od nowa. Wyobrażałem sobie, jak ocean wdziera się na plażę, otacza nasz mały domek, zatapia okolice, a nas wynosi na powierzchnię. Uratowałbym po parze z tego, co miało jakąś wartość: dwa dżointy, dwa drinki, dwie dziewczyny, dwóch facetów. Wyglądalibyśmy dalej przez okno, obserwując, jak ciemna woda burzy się pod nami i bulgocze. Nasza budka, skrzypiąc i jęcząc, kręciłaby się po wodzie, wędrowała na grzbietach fal. Wyrzucilibyśmy za burtę wszelki balast – zbędne świecidełka zalegające półki w domu, komputery, nuty do ćwiczeń na pianinie, ciuchy i szkolne mundurki, łacinę – wszystkie najgorsze wspomnienia. Niczego nie potrzebowaliśmy. Wystarczył blask ciała Marka, melodia nucona przez Josie i zmrużenie oczu Sophie, kiedy się śmiała. Wszystko inne należało zmyć z powierzchni ziemi. Wtedy dopiero moglibyśmy zakwitnąć w bloku pozostałym po potopie. Wyrosłoby z nas coś nowego.

Ale żaden potop nie przyszedł, a my nawet nie wytrwaliśmy do wschodu słońca. Po prostu w którymś momencie Josie rozprostowała nogi, pozbawiając moją głowę oparcia, i zeskoczyła ze stołu. Pocałowała mnie w czoło i dołączyła do reszty. Uśpił mnie gwar ich rozmowy. Wkrótce poczułem, że wywlekają mnie na mroźne powietrze. W podmuchach wiatru maszerowaliśmy plażą z powrotem do drogi. Mark zataczał się tak jak my wszyscy. Myślałem, że po prostu ciężko mu się idzie po piasku, ale na chodniku jego problemy z równowagą nie ustały. Zapaliłem fajkę, żeby się dobudzić. Skończyłem, zanim doszliśmy do auta. Kiedy jechaliśmy z powrotem, dziewczyny spały, a my z Markiem zamieniliśmy parę słów o Feingoldzie. Mark był pewien, że nikt już nie pastwił się nad nim przez resztę nocy, ale miał obawy co do stanu domu. – Nikt nad tym nie panował – narzekał. – Kompletny, pierdolony chaos.

Brał zakręty ze zbyt dużym rozmachem i nerwy nie pozwalały mi zasnąć. Dwa razy opuszczałem okno, żeby wystawić twarz na podmuchy zimnego powietrza. On robił tak samo. Odstawił dziewczyny do domu Josie. Ledwo wymamrotały „dobranoc” i rozpoczęły chwiejną wędrowkę w górę podjazdu. Mark i ja nie rozmawialiśmy wiele, jadąc w nasze rejony miasta. Kiedy wziął zakręt u stóp wzgórza, okazało się, że jesteśmy na przeciwnym pasie. Oślepiły nas czyjeś światła. Krzyknąłem i Mark szarpnął kierownicą w ostatniej chwili. Wyniosło nas na pobocze i dalej, na chodnik. Przelecieliśmy przez niego, lądując na porośniętym drzewami skrawku zieleni.

Mark wciąż kurczowo trzymał kółko.

– Ożeż w mordę – powtarzał bez końca. Wysiedliśmy na zewnątrz. Oględziny auta wykazały, że mieliśmy sporo szczęścia. Nie jechaliśmy zbyt szybko, więc jedyne zniszczenia, jakie dostrzegaliśmy, to ledwie parę zadrapań i wgnieceń, które dało się łatwo wyjaśnić. Mark oparł się o audi i ukrył twarz w dłoniach.

– Ktoregoś dnia nie będę miał farta. Już to, kurwa, widzę. Będą stać nade mną rozczarowani, z tymi ponurymi minami. „Wiedzieliśmy, że to tak się musiało skończyć. Chłopak był niepoprawny”.

– Kto?

– Moi rodzice.

– Stary, przynajmniej nie wyglądasz tak jak ja – powiedziałem, wskazując na swoją twarz. Zaśmiał się, pociągając nosem. – Naprawdę tak im przeszkadza, że chcesz się trochę zabawić? Ja będę musiał jakoś wytłumaczyć się z obitego ryła, ale powiem matce, że świetnie bawiłem się z przyjaciółmi, i wiem, że jej od razu ulży.

– U mnie to nie przejdzie – odparł. – Ani słowa o zabawie. Zabawa to coś, na co trzeba sobie zasłużyć, jak na jebany raj po śmierci. Ja najwyraźniej jeszcze nie zasługuję. Najpierw muszę zostać senatorem czy kimś tam.

– Twoi starzy chyba potrafią się bawić.

Mark zaśmiał się sucho.

– Mam pchnąć rodzinę na nowe tory. Ojciec uważa, że musimy się zająć polityką, a siedzimy wyłącznie w biznesach.

– Dlaczego sam się tym nie zajmiesz? Dlaczego zwalił to na ciebie? Chcesz być politykiem?

– Sam nie wiem, czego chcę. Na razie wołałbym po prostu nikogo nie rozczarować.

– Wiem, co czujesz. – Kiedy usłyszałem, co mówię, moje myśli oderwały się od zmartwień Marka. Myślałem o tym, jak często słyszałem już podobne słowa i co one dla mnie znaczyły. To jedno z tych powiedzonek, które mają być szczerze, ale w rzeczywistości okazują się kłamstwem.

Ja chciałem dać z siebie coś więcej.

Mark jedną ręką ujął się pod brodę, a drugą – jak mogło się zdawać – próbował sam się objąć. Gapił się w ziemię. Nie znajdowałem dla niego żadnego innego pocieszenia. Lepiej wychodziło mi obrywanie w twarz niż budzenie u kogoś nadziei. „Do kurwy nędzy! – chciałem mu powiedzieć – weźże się w garść i naucz się żyć”. Jednak zamiast tego powiedziałem:

– Zabierajmy się stąd. Ale nie odwoż mnie do domu – dodałem. – Najważniejsze, żebyś ty dotarł do swojego.

Był mi wdzięczny, zwłaszcza kiedy na drodze okazało się, że zbieżność kół się rozjechała. Wciąż dało się prowadzić, a Mark uznał, że da radę naprawić samochód bez wiedzy rodziców, ale komplikacje narastały i obawiał się, czy wszystkim podda. Wyjechaliśmy na podjazd długą aleją prowadzącą w górę zbocza i stanęliśmy z boku domu. Auto wtoczyło się na trawnik, lecz Mark nawet tego nie spostrzegł. Zgasił silnik.

– Co ja im powiem? Gdzie niby byłem? – zapytał.

– U mnie w domu. – Z kieszeni płaszcza wyłowiłem torebkę z proszkami. – Chcesz coś na sen? Mam coś, co cię uspokoi, żebyś dał radę zmrużyć oczy przed świtem.

– Sporo tego łykasz – zauważył, biorąc dwie pastylki z mojej dłoni.

Jedną zażył od razu, drugą schował w kieszeni. Siedział, czekając, aż lek zacznie działać, zupełnie jakby zaciągnął się trawą z bongi. Uśmiechając się, wyciągnąłem się na siedzeniu. Przydałby mi się worek z lodem, lecz miałem do dyspozycji tylko vicodin. Połknąłem pigułkę. Pomyślałem o tym, czy już się nie pożegnać, ale nie chciało mi się wracać do domu, więc siedziałem w aucie, milcząc solidarnie z Markiem.

– Powinieneś już iść – powiedziałem w końcu, ale nawet się nie poruszył.

– Słuchaj, podoba ci się Josie? – zapytał, unosząc głowę. – Chyba cię lubi.

– Jezu, nie wiem, stary. I jeszcze ten jej chłopak...

– Racja. – Mark roześmiał się, ale w jakiś podejrzanie senny sposób.

Zaniepokoiłem się, ale też nie byłem w stanie się ruszyć. Moje ciało zbyt szybko popadało w odprężenie.

– Ale on już nie stanowi problemu – wymamrotał. – Zobaczysz.

– Sam nie wiem.

– Pomyślałem sobie, że może jesteś gejem.

Intonacja wskazywała na to, że zadał mi pytanie, ale nie odpowiedziałem od razu, bo nie znałem odpowiedzi. Wiedziałem, że pragnąłem Josie, ale nie mogłem ufać swoim pragnieniom. Tego, co zachodziło pomiędzy mną a księdzem Gregiem, w ogóle nie traktowałem jako seks. Moje ciało spełniało rozkazy. Z Josie było inaczej.

Mark przekręcił się na fotelu i oparł o zagłówek. Uśmiechnął się, odpływając. Jego ręka musnęła dźwignię biegów i zsunęła na moje siedzenie. Powieki opadały mu, to znów się podnosiły. Walczył ze snem.

– A jesteś?

Wyglądał na młodszego, mniej doświadczonego i zblazowanego niż zazwyczaj. Może to prochy obnażyły jego osobowość, a może jego zachowanie wynikało z tego, że był na krawędzi snu. Może przez całą noc próbował zdobyć się na odwagę, a może ja wcześniej tego nie zauważałem? W każdym razie patrzył teraz na mnie, a w jego oczach tliło się coś, jakby nadzieja.

– Nie widziałeś nas razem? – zapytałem go w końcu. – Mnie i Josie?

Nie odpowiedział. Wypuścił głośno powietrze. Jego policzek opadł na zagłówek, ramiona się rozluźniły. Usta wciąż miał wpółotwarte, a jego oddech pokrywał wilgotną mgiełką skórę siedzenia. Nigdy nie widziałem, jak ktoś zasypia, i nie miałem pojęcia, jak bezbrinnie wygląda taki człowiek.

Też miałem ochotę odpłynąć i spokojnie dałbym radę zasnąć nawet w tym chłodzie, ale uniosłem się z trudem i wygramoliłem z auta. Łatwo byłoby teraz odejść, ale nie mogłem tak postąpić. Co prawda rodzice Marka mieli wrócić do domu dopiero nazajutrz, ale lepiej, żeby nie znaleźli go wciąż śpiącego w aucie. Wyjąłem kluczyki ze stacyjki, wywlokłem młodego Kowolskiego na zewnątrz i usiłowałem go obudzić. Mamrotał coś z zamkniętymi oczami. Zrzuciłem sobie jego ręce na ramiona i dociągnąłem do bocznych drzwi. Nogi wlekły się po ziemi.

Ocknął się i poprosił, żeby go posadzić. Opuściłem go na werandę. Zgiął się i narzygał w krzaki. Odwróciłem wzrok, żeby nie pójść w jego ślady. Kiedy nie patrzyłem, przewrócił się, wpadając twarzą w kałużę wymiotów na ziemi. Obróciłem go szybko.

– O cholera – wymamrotał. Bluzę i spodnie ufajdał na amen, ale rozpięta kurtka wydawała się w miarę czysta. Zdjąłem ją z niego. Nie odpowiedział na pytanie, czy czuje się lepiej. Uśmiechnął się tylko z zamkniętymi oczami.

Jeden z jego kluczy pasował do bocznych drzwi. Udało mi się ułożyć Marka na ławie w ciemnym korytarzu. Tak jak w moim domu, prowadził on prosto do kuchni. Znalazłem papierowe ręczniki i wytarłem wymioty, ale jego ciuchy wciąż cuchnęły.

– Mark – powiedziałem. Spał głęboko. Z pewnym wysiłkiem udało mi się z niego zdjąć buty, spodnie i koszulę. Powyjmowałem torebki z trawą z kieszeni i wrzuciłem ubrania do worka na śmieci.

Kiedy Mark leżał wyciągnięty na ławie, łatwo mogłem przekonać się, że jest tak atrakcyjny, jak większość z nas starała się być. Mięśnie barków i klatki piersiowej rysowały się wyraźnie pod koszulką, a wybrzuszenie w majtkach też nie uchodziło uwadze. Mógłbym przejechać teraz ręką wzdłuż mięśni nóg i dotykać ciała, gdziekolwiek bym chciał. W tym stanie było ono niczym glina, podatne na wszystkie moje ruchy. I nawet przez sen Mark uśmiechał się do mnie nieśmiało, jakby zachęcał mnie do działania – Miedziany Chłopak jaśniejący przede mną w atmosferze gęstej od oczekiwań i chęci, które narosły między nami.

Zrobiłem to. Przejechałem rękami po jego skórze i objąłem krocze. Zatrzymałem się tam na chwilę, a potem puściłem, bo nic się wewnątrz mnie nie poruszyło. Pragnąłem Josie. Mógłbym pocałować Marka jeszcze raz, gdyby to miała być gra w obecności dziewczyn, ale nie miałem na to ochoty. Nie chciałem jego ciała, ale przyjaźni. Dopiero zaczynaliśmy poznawać świat. Chciałem znać jego zdanie, chciałem wspólnych doświadczeń. Czy nie był to właśnie jakiś rodzaj miłości, która nie miała nic wspólnego z seksem? Chodziło w niej o wszystkie inne ważne sprawy, jakie mogą łączyć dwie osoby.

Dźwignąłem go znów i niemal nagiego przeciągnąłem przez kuchnię na korytarz, aż do pokoju z wielkim, płaskim telewizorem. Zrzuciłem Marka na kanapę i przykryłem kocem. Sam opadłem na podłogę. Patrzyłem na jego spokojną twarz. Nie odwzajemniałem uczuć, jakie mu przypisywałem, ale był moim kumplem. Podziwiałem go, ale nie wiedziałem, jak mu to wszystko powiedzieć.

Zauważyłem pilota w zasięgu ręki i włączyłem telewizor. Przez ekran przewijały się fajerwerki, koncerty i tłumy ludzi potrząsających głowami do rytmu. Imprezy w Nowym Jorku

już dogorywały, lecz trwały gdzie indziej. Ameryka nadal świętowała, a ja nie chciałem odpuszczać. Pomyślałem, że mama też nie śpi. Nie zasypia dlatego, by nie musieć się budzić. Wciąż trzyma się dzisiejszego dnia, żeby nie dopuścić do siebie nieuniknionej samotności jutra. Trzyma się swoimi chudymi, ptasimi ramionami owiniętymi wokół czyjegoś ciała. Nie przeszkadzało mi to. Miałem nadzieję, że oboje wkrótce znów będziemy mogli wczepić się w kogoś i choć na krótko przypomnieć sobie, że żyjemy.

ROZDZIAŁ 8

Obudziłem się w środku snu. Głowa opadła mi w tył na kanapę i spoczywała na goleni Marka. Telewizor wciąż migotał, lecz głosy, które słyszałem, dochodziły z kuchni. Usłyszałem, jak wołają Marka. Jego rodzice weszli do pokoju, zanim zdążyłem ruszyć się z miejsca albo chociaż zacząć na dobre kontaktować.

Mike Kowolski pojawił się w moim polu widzenia w postaci fioletowej koszulki polo zasłaniającej telewizor.

– Co tu się, do cholery, dzieje?

Barbara przekroczyła próg zaraz po nim i wydała okrzyk zdziwienia. Mark dał radę szybko usiąść i mrugał, próbując się dobudzić. Przez okna wpadały jasne promienie słońca. Wciąż miałem na sobie płaszcz. Na moim ciele zastygł pot. Barbara wyciągnęła flaszkę midori, która sterczała mi z kieszeni. Nie miałem pojęcia, że wciąż tam tkwi, i nie przypominałem sobie, żebyśmy ją zerowali, ale w ustach został mi słodkawy posmak syropu. Pani Kowolski uniosła butelkę, by pokazać ją mężowi.

– Żalotne – skomentował.

– Tato – zaczął Mark.

– Nie chcę słyszeć od ciebie wymówek. Nie chcę wiedzieć, co się stało. Spójrzcie tylko na siebie. Chryste Panie, synu, gdzie ty masz spodnie? Co ty wyprawiasz?

Mark zarumienił się i przykrył gołe nogi kocem.

– Ale tato...

– Cisza. Oszczędź mi tych twoich bzdur. Auto stoi poharatane na trawniku. Masz szczęście, że żyjesz. Wyglądasz jak śmieć. Tego właśnie chcesz? Skończyć na śmietniku?

– Michael – przerwała mu Barbara, lecz zamilkła zgromiona spojrzeniem.

Nic się nie zgadzało. Do tej pory byłem przekonany, że trzymaliśmy się elegancko. Chciałem się obrócić i spojrzeć na Marka, by wiedzieć, jak powinniśmy zareagować, ale ból w karku był zbyt silny.

– Tato... – Usłyszałem kolejną próbę nawiązania dialogu.

– Nie chcę tego słuchać! Nie chcę wiedzieć, jak wielkiego narobiłeś sobie wstydu i jak zhańbiłeś nasze nazwisko. Na to właśnie harowałem całe życie? Żebyś mógł przyprowadzać do domu swojego skacowanego kumpla i paradować w samej bieliźnie? Tak sądzisz? Że możesz wszystko trwonić i srać na moje wysiłki?

– Michael!

– Tato!

– Starczy tego! – rozkazał, stukając go palcem wskazującym w pierś.

Barbara przekroczyła mnie i usiadła na oparciu kanapy obok syna. Objęła go ręką i wyszeptwała:

– Mnie możesz powiedzieć, co się stało, kochanie. Postaram się nie zdenerwować.

Mike krążył po pokoju i pomrukiwał.

– Kompletny brak szacunku. Kompletny. – Zwinął grubą dłoń w pięść i potrząsał nią gniewnie. Barbara łagodnie kołysała syna.

Mark gapił się szeroko otwartymi oczami w podłogę. Ręce miał złożone na podolku. Kciuki lekko mu drgały, a usta zacisnęły się w poziomą kreskę, nadającą twarzy wyraz apatii. Mike wrzeszczał na mnie i kazał mi się zabierać, a Barbara sekundowała mu. Najbardziej przerażał mnie jednak spokój Marka. Zdawało się, że opuścił swoje ciało, porzucił je na pastwę natarczywych krzyków, które wypełniały pokój, a sam zaszył się w jakimś cichym miejscu. Dobrze znałem ten sposób ucieczki i najchętniej zrobiłbym to samo. Z wysiłkiem podniosłem się z podłogi.

– Może powinienem zadzwonić do matki – powiedziałem.

– Owszem. Chętnie z nią porozmawiam – odparł Mike. – To pewnie od niej masz alkohol. Chcesz wciągnąć mojego syna w twoje problemy rodzinne? O to ci chodzi?

– Problemy rodzinne?

– Tak. – Zbliżył się do mnie. – Chcesz zabrać kogoś ze sobą na dno, prawda? – ciągnął dalej.

– Ciekawe, czy by to pan powiedział, gdyby mój tata był w pobliżu? – palnąłem.

– Jak śmiesz się tak do mnie odzywać?

– Proszę na mnie spojrzeć. – Wskazałem na spuchnięte oko. – Wyglądam, jakby obchodziło mnie, jak mam się odzywać?

Mike rzucił się do telefonu i usiłował połączyć się z moją mamą. Barbara w międzyczasie przekazywała mi, co o mnie myśli, ale nie słuchałem jej.

– Przepraszam – odezwałem się do Marka. – Przepraszam, stary.

Kiedy czekaliśmy na mamę, Mike wygłosił mi kazanie w holu. Przeprosiłem, ale nawet ton mojego głosu świadczył o tym, że niezbyt szczerze. Pan Kowolski wykladał mi, dlaczego należy się obawiać rzeczy, których on i jemu podobni każą się obawiać, oraz że powinno się słuchać ludzi, których obowiązkiem jest o nas dbać. W tej połańce pobrzmiwało echo słów księdza Grega, które teraz jawiły mi się jako kompletnie puste.

Sądziłem, że mama przyśle po mnie kierowcę, lecz ku mojemu zdziwieniu przyjechała osobiście. Co więcej, zostawiła samochód z włączonym silnikiem przed domem i pofatygowała się do nas.

– Aidan! – zawołała. Kiedy była już przy mnie, w skupieniu badała moją spuchniętą twarz. Ujęła mnie za rękę i przytuliła. Widziałem, jak z Mike'a schodzi powietrze.

– Gwen? – odezwał się słabym głosem.

– Kochanie moje. – Mama mówiła do mnie, ignorując tatę Marka. – Co się stało? Wszystko w porządku? Powinieneś pojechać do szpitala. Nie mówiłeś, że tak wygląda – rzuciła w stronę Mike'a. – Jesteś nienormalny? Miał się wykrwawić na twoim dywanie? – Obróciła się i podeszła do niego bliżej. – Jak miałeś czelność odzywać się tak do mnie przez telefon? Gdzie jest twój syn? Może jego też trzeba zabrać do szpitala?

– Poczekaj, Gwen. Spokojnie. Nie ma potrzeby.

– Nie jesteś przecież lekarzem.

– Proszę, Gwen. Powinniśmy chyba teraz pomówić o pewnych zasadach.

– Jak śmiesz mnie pouczać? Dzięki wielkie, sama zajmę się swoim synem. – Pociągnęła mnie za sobą. Mike wołał coś za nami, ale matka już wepchnęła mnie do samochodu. Biegając, przeproszał ją. Pozwoliła dopędzić się przy drzwiach kierowcy, ale tata Marka tylko jąkał się bezsilnie. – Mike – przerwała mu – dzięki, że zadzwoniłeś. – Dobierała starannie słowa

nasączone sztuczną uprzejmością. – Dobrze wiedzieć, że mam przyjaciół, na których mogę polegać. Powiedz Barbarze, żeby się nie martwiła. Wciąż chcę jej doradzać w sprawie przyjęcia. Zaproszę ją do swojego biura, kiedy już je urządzę. – Nie było po niej znać bólu ani frustracji, a jej twarz była niemożliwą do skruszenia radosną maską. Nie mogłem nie podziwiać jej talentu. Uciszyła pana Kowolskiego, a każdy jej uśmiech popychał go z powrotem w kierunku domu. Zamknęła drzwi, wrzuciła biec i odjechała bez słowa pożegnania.

Opowiedziałem jej, w jaki sposób oberwałem po twarzy. Położyłem nacisk na to, że stanąłem w obronie przyjaciół. Kiwnęła głową z niechętnym uznaniem, ale i dumą. Martwiła się o mnie, choć powtarzałem, że czuję się o wiele lepiej, niż wyglądam. Wybłagałem, żeby nie zabierała mnie do szpitala.

Ona opowiedziała mi, co usłyszała od Mike'a. Nazwał ją w rozmowie „samotną matką”.

– Faceci sądzą, że wszystko wiedzą lepiej – powiedziała. – Zachowywał się, jakbym potrzebowała jego rad, skoro twój ojciec odszedł. Jakby kiedykolwiek naprawdę przy nas był!

Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle i raz jeszcze zapytała, czy nie zawieźć mnie do szpitala.

– Proszę, ulży mi, jeśli tam pojedziemy.

– Nie trzeba – odmówiłem. – Elena wraca jutro i zajmie się mną.

– Elena?

– Tak. Ona będzie wiedzieć, co robić. Jedźmy do domu.

– Elena? Myślisz o niej w takiej chwili? Dlaczego niby ja nie mogę się tobą zająć?

– Weź przestań – zająknąłem się. – Przecież wiesz. Ona to ona, a ty to ty...

– Co to, do cholery, ma znaczyć? – krzyknęła na mnie. Zamilkła, oddychając ciężko. – Staram się, Aidan. Staram się. Może byś mi tak trochę pomógł. Składam tę rodzinę z powrotem do kupy, nawet jeśli zostaliśmy już tylko my dwoje. Przydałoby mi się trochę wsparcia od syna. A przy okazji – zwolniłam Elenę. Przywykniesz.

– Nie możesz jej zwolnić. Należy do rodziny.

– Już to robiłam. Ustalimy jakiś dzień, kiedy będzie mogła przyjechać po swoje rzeczy. Ona nie jest dla nas nikim bliskim, Aidan. Właśnie o to mi chodzi.

Chciałem na nią nawrzeszczyć, ale nie wiedziałem, jak ująć myśli w słowa. Od Seniora dostałem nazwisko, od Eleny wychowanie. A od mamy?

– Równie dobrze mogłaby być członkiem rodziny. Nie można tak postępować z ludźmi.

– Dorośnij, Aidan.

– Lubilem ją.

– Wzięłam to pod uwagę.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Potrząsnęła głową, uśmiechając się. – Posłuchaj, kiedyś miałam nauczycielkę tańca. Była moją mentorką. Myślałam, że w życiu bez niej nie zatańczę. Byłam młoda i sądziłam, że bez jej wskazówek sobie nie poradzę. Potem przeprowadziła się do Wiednia. Sprawy rodzinne. Najpierw chciałam rzucić taniec, ale postanowiłam trenować sama aż do przesłuchań w Juilliard School. Takie jest życie, Aidan. Dostałam się. Potrafimy sobie radzić. Nie zawsze potrzebujemy ludzi, którzy zdają nam się niezbędni. Miałam sporo szczęścia, że dowiedziałam się tego za młodu. Pomyśleć tylko, że prawie zdołałam zapomnieć o tej lekcji. Twój ojciec odszedł. To fakt. Ale jest coś jeszcze: nie potrzebuję go.

Mowa motywacyjna mojej matki nie działała cudów. Unikaliśmy się wzajemnie w domu

i widywaliśmy się tylko wtedy, kiedy schodziłem do kuchni po świeży lód. W końcu postanowiłem, że muszę się przejść. Miałem kaca, byłem odwodniony, a podbite oko pulsowało bólem, ale napędzał mnie jakiś głębszy niepokój. Chciałem natychmiast zobaczyć się z Josie, Sophie i Markiem, ale powrót do szkoły napawał mnie obawą. Wszyscy, którzy będą się gapić na mnie na korytarzach, przejrzą mnie teraz na wylot. Odczytają moje myśli i dostrzegą, że opuchnięta twarz jest tylko bezużyteczną maską, pod którą kryje się poraniony pojeb. Będą pokazywać mnie palcami, mówiąc: „A widzisz? Wiedzieliśmy, że kawał zjeba z ciebie, księżowski pupilku. Coś ty za jeden, Aidan?”

Nie miałem na to żadnej odpowiedzi. Dla Josie byłem teraz już kimś i wciąż czułem smak jej ust. Kiedy nachylała się nade mną w domku na plaży, czułem jej waniliowy szampon i masło kokosowe, którym się nacierała. Nie wziąłem dotąd prysznic i chciałem zatrzymać te zapachy na sobie – zanurzyć się we wspomnienie chwili, kiedy moja głowa spoczywała na jej podolku. Ale kim tak naprawdę dla niej byłem? Tak mało o mnie wiedziała. Co będzie, jeśli dowie się więcej? Dlaczego miałyby tracić na mnie czas? Zatęskniłem za nią w sposób, który był dla mnie całkowicie nowy, nadzieja na więcej doprowadzała mnie do szaleństwa. Z drugiej strony bolało mnie wspomnienie Marka leżącego bezwładnie na ławie i moich zimnych rąk, którym udowaadniałem, że to ciało nie potrafi ich rozgrzać. Ile mógł z tego pamiętać? A co jeśli mnie zapyta? Jaką mogę dać mu odpowiedź, żeby go sobą nie przerazić?

Wałęsałem się po mieście, trzymając się utartego szlaku. Obracałem w myślach bez końca te same pytania, aż spostrzegłem, że stoję przed kościołem Najdroższej Krwi. Tak jak palce pianisty pamiętają utwory, nawet kiedy zapomni je głowa, tak samo ja nie zdawałem sobie sprawy, dokąd idę, aż stanąłem na początku długiej alei prowadzącej na podjazd. Myślałem o tym, co począć z pytaniami, na które samemu nie znajdowałem odpowiedzi. On był niedaleko. Zwilżał usta, cyzelując zdarte powiedzenia na użytek kolejnych chłopców. Chciałem krzyczeć i wrzeszczeć, rozwalić to miejsce kamień po kamieniu z nim w środku. Wciąż toczył mnie tępy ból, wspomnienie chwil, kiedy jego głos uspokajał mnie, jego słowa dawały mi oparcie, a ja wierzyłem mu bezwarunkowo. To już minęło.

Nie wiem, jak długo tam stałem, ale kiedy słońce zaczęło zachodzić za horyzont, pomyślałem o tamtym popołudniu, w czasie którego obserwowałem ostatnie promienie przez piwniczne okienko, a potem na dół zszedł James. Nie mogłem uwierzyć, że mnie wcześniej spotkało to samo co jego. Przez moją głowę przemykały kolejne przebliski wspomnień. Nie mogłem przestać myśleć o chwilach spędzonych z księdzem. Wyciągnąłem adderall z wewnętrznej kieszeni kurtki. Usiłowałem skruszyć pastylkę w ręce i wciągnąłem nierówne grudy. Paliło, jakbym wsadził sobie do nosa zapalniczkę. W gardle czułem smak proszku do pieczenia. Pozwoliłem, żeby z oczu płynęły mi łzy. Wmawiałem sobie, że to tylko skutek pastylki.

Moja głowa chwiała się, ale usiłowałem zapanować nad sobą. Wtedy dojrzałem tylne światła parafialnego lincolna, który wyjeżdżał z parkingu. Odszedłem w dół ulicy, mając nadzieję, że kierowca – ktokolwiek to był – nie zauważył mnie jeszcze. Schodziłem prędko w stronę centrum miasta. Skręcając w North Street, zauważyłem, że auto jedzie za mną. Kierowca zmienił pas, włókł się chwilę za moimi plecami, po czym mnie wyprzedził. Nie mogłem dojrzeć, kto siedzi w środku, a teraz zapuściłem się już w odległy rejon miasta. Żeby dojść do domu, musiałbym okrążyć szkołę, przejść przez most Stonebrook i wrócić ulicami biegnącymi wzdłuż zatoki. Puściłem się pędem, choć już nie widziałem auta.

Dojrzałem je dopiero, idąc przez most, w pobliżu domu Marka. Lincoln wyjechał mi

naprzeciw, zjeżdżając w dół wzniesienia. Miał włączone światła, a kiedy tylko znalazłem się w ich zasięgu, wóz przyspieszył. Kilka kroków dalej zdałem sobie sprawę, że jedzie prosto na mnie. Zawróciłem, by pobic z powrotem na most. Słyszałem, jak auto się zbliża. Przy tym odcinku ulicy nie było żadnych domów. Po jednej stronie drogi drzewa porastały zbocze opadające w stronę portu, po drugiej znajdowały się włości klubu golfowego. Usłyszałem klakson. Zeskoczyłem z pobocza pomiędzy drzewa okalające skraj pola.

– Aidan! – wołał za mną. Jego głos ukłuł mnie boleśnie. – Aidan!

Wiedziałem, że wysiadł z samochodu. Powtarzał moje imię kilkakrotnie. Przedarłem się przez gałęzie i wpakowałem się na piaszczystą łachę usypaną na potrzeby golfistów. Sądziłem, że po niej będę poruszał się szybciej w górę stoku, ale tylko mnie spowolniła. Kiedy wygrzebywałem się z piachu, znów usłyszałem głos. Ksiądz szedł za mną. Wybrał okreśną drogę i skutecznie odciął mnie teraz od trawiastego toru do gry. Jak zwykle był ubrany w czarne spodnie i koszulę zapiętą wysoko. Pod szyją błyskała koloratka. Posuwał się w moją stronę niepewnym, lecz zaskakująco szybkim krokiem. Zanim zdołałem wydostać się z piaszczystej pułapki, znacznie się przybliżył. Był zarumieniony i ciężko oddychał. Znów mnie zawołał.

– Proszę! Musimy porozmawiać. Zatrzymaj się, proszę.

Darłem z całych sił pod górę w stronę małego zagajnika. Kiedy znów szedłem po trawie, dystans między nami się zwiększył, ale ksiądz nie odstawał bardzo ode mnie. Tuż przed szczytem wzgórza skryłem się między drzewami. Wśród nich wartko płynęła rzeka, opadająca w dół stoku i dalej tocząca swoje wody w stronę portu. Na stromym odcinku koryto było węższe, poszerzało się dopiero przed mostem Stonebrook. Rzuciłem się w szaleńczym pędzie w dół, na brzeg, z nadzieją, że rachityczne gałęzie drzew złagodzą mój pęd i nie pozwolą upaść w wodę. Kiedy zbiegłem na dno koryta, spojrzałem w górę. Ksiądz Greg stał w miejscu, gdzie parę chwil temu ja się znajdowałem. Opadł na kolana i próbował złapać oddech.

– Aidan – wycharczał. Nie był w stanie powiedzieć wiele więcej. Próbował zejść za mną.

Szedłem z trudem wzdłuż nurtu, aż do wielkiego pniaka, który upadł w poprzek strumienia. Powykręcane korzenie drzewa zawisły teraz w powietrzu. Wzruszona ziemia u podstawy była ciemniejsza niż gdzie indziej. Złapałem za korzeń i wdrapałem się na pień. Ksiądz Greg przedzierał się przez gęstwinę powyżej mnie. Po cichu skradałem się na drugi brzeg rzeki. Usłyszałem, jak mój prześladowca upada. Jęknął i potoczył się po ziemi. Uderzył w końcu plecami o drzewo, dzięki czemu nie wpadł do wody. Czekałem na pniaku na rozwój wydarzeń. W powietrzu czuć było zaduch wilgotnej ziemi, poniżej mnie huczała rzeka. Greg usiadł. Przetarł poranioną twarz i otrzepał ubranie. Próbował wstać, lecz tylko z krzykiem złapał się za bok. Został na miejscu. Patrzył na mnie oparty o drzewo. Kaszlał i charczał, a ja czekałem.

– Proszę, Aidan – powiedział. – Wysłuchaj mnie.

Ledwo mógł się ruszać, ale z każdą chwilą panował nad sobą coraz lepiej. Wkrótce mógł już spojrzeć na mnie prosto i jego głowa przestała się chwiać. Zeszłego lata odkryłem, że porobił mi siniaki na ramionach. Ścisnął mnie mocno, kiedy wykonywałem jego polecenia i łapałem go tak, jak tego zażądał. Wyobraziłem sobie, że chwytam grubą gałąź i tłukę go, gdzie popadnie. Mógłbym go też ukamienować. W innym zakątku wyobraźni dostrzegałem, jak wyciągamy do siebie ręce i obejmujemy się – ten obraz napelnił mnie ciepłem. Myśli pojawiały się i przepadały, a ja pragnąłem tylko mniej się bać – nie być tak samotnym i pozbawionym znaczenia. Jednak nawet jeśli ten człowiek tchnął we mnie w jakiś sposób nowe życie, co niby teraz mu zawdzięczałem?

– Muszę z tobą pomówić. – Potarł twarz.
– Nie – odparłem.
– Czy słyszysz się teraz? Między nami może być inaczej.
– To twoja wina, że jest jak jest!
– Spodziewałem się po tobie więcej, Aidan. – Pokręcił głową.
– Nie zbliżaj się do mnie, proszę – powiedziałem.
Wsparł się na łokciu i usiadł prosto. Chciałem coś dodać, ale uniósł dłoń w górę.
– Posłuchaj. Źle mnie zrozumiałeś.
– Nieprawda. Nie dotykaj mnie. Nie zbliżaj się do mnie. Trzymaj się z daleka.
Zakaszłał.
– Nic się już między nami nie wydarzy. Nie chcę tego. To już koniec, Aidan. Koniec.
– Nie chcę mieć z tobą nic do czynienia.
– To już nieistotne sprawy.
– Co?
– Nieistotne, prawda? Zupełne błahostki. Coś, co się wydarza i mija. Skończyło się. To już za nami. Umówmy się, że nigdy się nie zdarzyło, Aidan. To nieistotne. – Odchrząknął i podniósł się na rękach, by usiąść wygodniej.
Usiłowałem wydobyć z siebie głos.
– Właśnie, że się zdarzyło. Zdarzyło się.
– Nie. To nic nie znaczy.
– Owszem, znaczy. – Gardło ścisnęło mi się mimowolnie. – Znaczą. I zdarzyło się.
– Już po wszystkim. Musisz to zrozumieć, Aidan. Już po wszystkim i musisz żyć dalej. Bądźże mężczyzną. Zapomnij. To bez znaczenia.
Przykucnąłem na pniaku. Ręce mi drżały.
– Po co tyle gadasz? Zamknij się!
– Próbuję cię chronić, Aidan. Pamiętasz nasze rozmowy, kiedy pomogłem ci przemyśleć rodzinne sprawy? Pomyśl o tym, czego razem dokonaliśmy. Pomyśl o dzieciakach, które dzięki nam będą miały szkoły. Tak wiele udało się zrobić.
– Przestań – błagałem go. – Proszę, przestań.
Wszystko, co mówił, było prawdą. Byłem dumny z naszych osiągnięć i miałem nadzieję, że będą dla mnie trampoliną, od której odbiję się w stronę lepszego życia.
– Martwię się – ciągnął dalej ksiądz. – Jeśli zaczniesz rozpowiadać różne rzeczy o mnie, ludzie dowiedzą się też o tobie. Co sobie pomyślą? Będzie tak, jak zawsze powtarzałem: nie rozumieją. – Uśmiechnął się. – Widzisz? Nie kłamałem. Musimy być ostrożni. Ja mam już swoje lata. Ale co będzie z tobą, jeśli komukolwiek coś zdradzisz? Co będzie z twoją matką? Co powiedzą ludzie, kiedy poznają prawdę? Powiedziałeś już coś komuś?
– Nie.
Uśmiechnął się. Przeniósł ciężar ciała, ale jeszcze nie wstał.
– A co z twoimi przyjaciółmi? Tymi z przyjęcia? Nie mówiłeś im, co między nami zaszło, prawda? Nie zdradziłeś się z niczym przy Elenie ani przy znajomych, prawda? Uważaj na siebie. Milcz. – Pochylił się naprzód. – Nic nie powiedziałeś, prawda? Ani Markowi, ani tym dziewczynom?
– Nic. Nikomu.
– Ani słowa?

– Ani słowa.

– To dobrze. W takim razie nic ci nie grozi. – Ksiądz z powrotem oparł się o drzewo. Wziął głęboki oddech. – Dopóki oczywiście wszystko będzie tak jak teraz. Zależy mi na twoim bezpieczeństwie, rozumiesz to? Zawsze mi zależało, Aidan. Pomyśl o tym, co razem zbudowaliśmy. To się liczy. To, co uczyniliśmy dla innych. – Jego głos brzmiał sztucznie, jak nagrana wiadomość, a nie słowa człowieka, którego kiedyś znałem.

– Nie potrafię – odparłem. – To też jest bez znaczenia. Teraz to już nieważne.

– Wcale tak nie myślisz – zaprotestował ksiądz. – Na pewno nie.

Spojrzał na ciemniejące niebo. Wciągnął powietrze nosem, chrząknął i splunął na ziemię. Wytarł krew z rozcięcia na karku i zmasażował ją z palców za pomocą kciuka. Ile to razy pragnąłem usłyszeć jego głos. Słuchałem ochoczo, z nadzieją i pożądaniem, które nazywałem miłością. Nawet teraz ta siła, która przyciągała mnie do niego, musiała być czymś na kształt więdnącego uczucia.

Nie ruszyłem się jednak z pniaka. Wsłuchiwałem się w huk wody pode mną. W końcu ksiądz Greg wstał, opierając się o drzewo. Pokuśtykał do mnie. Tracił równowagę, lecz przed upadkiem ratowały go gałęzie, których mógł się przytrzymać. Miał rozczochrane włosy, a koszulę rozdartą i pobrudzoną w trakcie upadku. Utykał na jedną nogę. Nagle doszło do mnie, że to też był człowiek, który pewnego dnia umrze. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z naturą, śmierć dopadnie go na długo przede mną. Poobijany, niemłody facet doczłapał do korzeni przewróconego drzewa. Przytrzymał się jednego z nich. Spojrzał na mnie i napał na korzeń, by sprawdzić, czy poruszy pniakiem. Nic się nie stało, drewno ugięło się tylko lekko pod naciskiem.

– Chciałem... – powiedział cicho i umilkł. Szukał słów, lecz żadnych nie znajdował. – To wszystko odejdzie w niepamięć, prawda?

Znów napał na korzeń, a ja nabrałem dziwnej pewności, że wcale nie wdrapie się na drzewo, a nawet jeśli – teraz byłem szybszy i z łatwością uciekłbym na drugi brzeg i dopadł do drogi. Odwrócił się i zaczął się przedzierać z powrotem przez gąszcz, by dotrzeć do granic pola golfowego. Jego ramiona drżały. Ksiądz Greg był załamany, a jednak – pomyślałem – nigdy dotąd nie miał tyle racji.

Moja poobijana twarz nie miała prawa zagoić się w ciągu jednego dnia. Żółty półksiężyc okalał niebieskie i purpurowe sińce pod okiem. W każdym razie mama pozwoliła mi nie iść w środę do szkoły. Wiedziałem, że nie zdołam wiecznie siedzieć w domu. Im dłużej byłem sam, tym gorzej się czułem. Niezależnie od tego, ile tabletek połknąłem, mogły co najwyżej zagłuszyć fizyczny ból. Nie potrafiłem kryć się przed światem. Kiedy obudziłem się w czwartkowy poranek, wiedziałem, że pora wracać do szkoły. Usiadłem na brzegu łóżka, wsłuchując się przez chwilę w wiadomości. Zdewastowano kolejny meczet, tym razem w mieście Columbus w Ohio. Wybierano przysięgłych na proces w Cambridge w Massachusetts. Jeden facet pobił tam innego na śmierć podczas treningu hokejowego ich dzieci. Co najlepszego robimy ze swoim życiem?

Zadzwoiłem po samochód, zanim zdążyłem się rozmyślić. Po rozmowie cisnąłem telefonem przez cały pokój. Potrzebowałem zrobić krok naprzód, a nadzieję na bezpieczeństwo dawało mi tylko zachowanie milczenia. Czy jednak ta sprawa miała mieć właśnie taki finał? Nic się nie wydarzyło i koniec historii?

Nie zdążyłem do szkoły na czas. Kierowca uparcie trzymał się przepisów. Kiedy skręciliśmy w Mulberry, niebieski lincoln właśnie odbił od krawężnika naprzeciw mojej szkoły. Nie widziałem, kto siedział za kółkiem, ale sądziłem, że był to samochód z parafii. Pomknął ulicą przed nami, a kiedy skręciliśmy, podjeżdżając pod szkołę, zniknął mi z oczu.

Kręciłem się nerwowo na siedzeniu z plecakiem w rękach, aż w końcu kierowca chrząknął i poprosił mnie łamaną angielszczyzną ze słowiańskim akcentem, żebym wysiadał. Spieszył się do kolejnego pasażera. Wsiadł z auta i przytrzymał mi drzwi, ale nie byłem w stanie się ruszyć. W myślach już widziałem księdza Grega stojącego w holu. Opierał się o biurko pani Perrich i zabawiał zebrany wokół niego tłumek. Oczekiwał z szerokim uśmiechem, by pochwycić mnie w objęcia i wciągnąć do swojej wersji wydarzeń.

Właśnie miałem powiedzieć kierowcy, byśmy natychmiast wracali do domu, gdy pani Perrich wyszła na ganek, by sprawdzić, co się dzieje i na kogo tak długo czeka szofer. Przytrzymała swój szal z paszminy, żeby nie porwał go wiatr, ale potem uniosła jedną dłoń i pomachała mi. Gest sprawiał wrażenie, jakbyśmy byli przyjaciółmi, ale kiedy wygramoliłem się w końcu z auta, odsunęła się, jakby siniaki były zaraźliwe. Szybko otrząsnęła się z szoku. Objęła mnie i poprowadziła w górę schodów, obdarzając wyrazami współczucia.

– Spadłem z łóżka – powiedziałem, kiedy wchodziliśmy do holu. Nikogo tam nie było. Przyjęła moją wymówkę za dobrą monetę i nie dopytywała się o nic więcej.

– Mam nadzieję, że to nie popsulo ci ferii? – zagadnęła.

– Och nie. To drobnostka. Naprawdę nie ma o czym mówić – odpowiedziałem. Przywdziewałem maskę, by sprawiać odpowiednie wrażenie i nie musieć rozmawiać o niczym innym.

Podpisałem kartę spóźnień i pani Perrich wypchnęła mnie na lekcję angielskiego.

– Kiedy będziesz miał chwilę, wpadnij opowiedzieć o swoich ferii – rzuciła na odchodne. –

Na pewno były cudowne. Wyjeżdżałeś gdzieś?

Obejrzałem się, nim odszedłem. Pomyślałem, jak radosnym miejscem musi być dla niej świat. Podobnie jak mama, pani Perrich była w stanie wykreować uśmiechami alternatywną rzeczywistość, w którą była skłonna uwierzyć. Ja też uśmiechnąłem się do niej na próbę. Odpowiedziała tym samym.

Kiedy otworzyłem drzwi do klasy, wszyscy wgapili się we mnie. Przeszedłem przez całe pomieszczenie, żeby zająć miejsce. Czekala mnie seria pytań, na które znałem odpowiedź, podobnie jak Josie, Sophie i Mark. Pan Weinstein przysiadł na brzegu biurka, czekając, aż usadowię się za plecami Josie. Potem wrócił do przerwanej wykładu.

– Czego stwór pożądał najbardziej? – zapytał klasę.

– Towarzysza – odpowiedziałem, nie podnosząc ręki. Ramię Josie podskoczyło przede mną i wiedziałem, że się uśmiecha.

– Panie Donovan, zapomniał pan przez ferie, jak się zachowywać? Na tych zajęciach podnosimy rękę, zanim coś powiemy. – Pan Weinstein potarł swój zapadnięty policzek. – Poza tym spóźnił się pan. Jeszcze jeden wybryk i pożegnamy się na dziś. – Przerwał i spojrzał na moją twarz. – Wszystko w porządku?

Uśmiechnąłem się.

Okazało się, że poprzedniego dnia był sprawdzian z *Frankensteina*. Nie zgłaszałem się już do odpowiedzi, a nauczyciel mnie do niej nie wywoływał. Niczego nie notowałem. Kreśliłem piórem bazgroły, dziurawiąc kartkę na wylot. Zeszyt upstrzyły czarne kraterki.

Promienie słoneczne wpadające przez okna rozświetlały kasztanowe pasemka we włosach Josie. Obserwowałem grę cieni na jej głowie, kiedy się poruszała. Gdy zaczęła się przerwa, zamiast wybiec jak zawsze na korytarz, dziewczyna odwróciła się do mnie.

– Cześć – zagaiła. – Wyglądasz lepiej, niż się spodziewałam. Rozmawialiśmy wczoraj o tobie. Chcieliśmy wiedzieć, jak się masz. Zobaczyć się z tobą.

– W takim stanie?

– Poważnie, wcale nie jest najgorzej. Nawet do twarzy ci z tym.

Uśmiechnęła się szeroko i wstała.

– Sporo wczoraj straciłeś.

– Tak? Na przykład co?

– Mnie.

– Racja – roześmiałem się.

– A w każdym razie spotkanie z moim nowym wcieleniem singielki. Dustin to przeszłość, jeśli chcesz wiedzieć. – Trąciła mnie barkiem. – I co teraz? Moja przyszłość jest pełna możliwości – drażniła się ze mną.

– Jesteś wolna – zdołałem odpowiedzieć.

– Na razie.

Zapięła torbę na zamek i powiesiła ją sobie na ramieniu.

– W każdym razie chciałam, żebyś wiedział. Do zobaczenia.

Odeszła prędko. Przy drzwiach klasy czekała na nią Sophie. Chwyciły się za ręce i wyszły razem na korytarz. To było coś. Czuję się, jakby właśnie powoli rozpięła przede mną koszulę i pokazała koronkową krawędź stanika. Po co było marzyć godzinami, siedząc tuż za nią, jeśli nie robiłem nic, by urzeczywistnić te marzenia?

Spakowałem się (mimo wszystko) powoli i również wyszedłem na korytarz. Chociaż

pragnąłem cieszyć się z powodu Josie, wciąż myślałem o kilku innych spotkaniach, jakie czekały mnie w szkole. Jakoś przeżyłem chemię; głównie dzięki temu, że mieliśmy niezapowiedziany sprawdzian i mogłem skupić się wyłącznie na niezbędnym wzorach. Jednak po czwartej lekcji w końcu odnalazł mnie Nick. Nie zauważyłem, jak szedł po schodach. Spotkaliśmy się koło sali gimnastycznej. Chwycił mnie gwałtownie za ramię i zmusił, żebym stanął z nim w rogu półpiętra, tuż przy oknie wychodzącym na boiska do lacrosse i futbolu.

– Mówiłeś komuś, że to ja cię tak urządziłem?

Ta myśl była kusząca. Bójka, niezależnie czy w szkole, czy poza nią, była podstawą do wyciągnięcia natychmiastowych konsekwencji.

– Nie – odparłem. – Ale mogłem.

Nick rozejrzał się szybko wokoło. Przyszpilił mnie przedramieniem do ściany.

– Nie rób nic głupiego. Jeżeli powiesz komukolwiek – nauczycielowi, pieprzonemu Berne'owi, po prostu komukolwiek, wszyscy dowiedzą się, jak ze swoim ciotowatym kolegą Kowolskim złożyliście dupsko Feingoldowi i że nie oszczędziliście też kutasa.

– Wyście to zrobili.

– Nie. Wy. Widzieliśmy was. Łapiesz? Waliliście sobie konia nad nieprzytomnym chłopakiem. Powiem to wszystkim. Dustin, Andre i inni świadkowie, jakich znajdziemy, też to potwierdzą.

Chciałem wyrwać się z uścisku, ale był zbyt silny.

– Co ty pieprzysz? Ludzie widzieli nas na parterze. Tańczyłem z Josie. Mamy świadków.

Nick wyszczerzył zęby.

– Słowo przeciwko słowu. Mojemu, Dustina i kogo tylko Dustin zechce. Doszło do ciebie? To my tu ustalamy zasady, nie ty. – Przycisnął mnie mocniej. – Powiem wszystkim, co się stało.

Nogi pode mną drżały. Upadłbym, gdyby Nick wciąż nie przyciskał mnie do ściany. Powiedział coś jeszcze, ale ja już byłem w innym miejscu – w zagajniku nad rzeką na polu golfowym Stonebrook. Rozmyślałem tam, jak historię można napisać na nowo.

– Nic się nie stało – wymamrotałem.

– Otóż to – powiedział Nick. Roześmiał się. – Chyba że ja powiem inaczej.

– Nic się nie stało – powtórzyłem.

Grzmotnął mnie w pierś.

– Dobra, liczę na ciebie. A na razie będę milczał o tym, co widziałem razem z Dustinem w pokoju Feingolda. Rozumiesz? – Odstąpił ode mnie i stanął z założonymi rękami. – Twoje tajemnice są ze mną bezpieczne, kochasiu.

Minęło nas paru pierwszorocznych. Nick spojrzął na nich i spuścili głowy. Popatrzył z powrotem na mnie.

– Nic się nie stało – powiedziałem tak, żeby słyszeli to wszyscy na schodach. Uśmiech Nicka prysł.

– Nie rozumiesz? Skoro nic się nie wydarzyło, nie ma o czym kłapać paszczą.

Trząśłem się i czułem, jakbym zawisł w nieważkości.

– Ani jednego, pieprzonego słówka – dodał cicho. – Albo, kurwa, pożałujesz.

– Przecież nic się nie stało, Nick, więc nie ma o czym gadać! – Teraz już krzychałem. Mój oprawca potrząsnął głową. Rozejrzał się wokoło. Na schodach zaczęli gromadzić się uczniowie.

– Zjeb – wymamrotałem.

Próbowałem znaleźć jakieś spokojne miejsce, żeby dojść do siebie. Byłem roztrzęsiony po

pogrózkach Nicka, ale wiedziałem, że też go nieco nastraszyłem, i było to miłe uczucie. Przeżyłem to i, co ważniejsze, mogło mi się to udać kolejny raz. Nie poszedłem na lanch, ale Sophie znalazła mnie przed ostatnią lekcją i podała mi list od Josie. „W życiu nie całowałam chłopaka z podbitym okiem. Aż do tamtej nocy. To całkiem przyjemne. Masz dla mnie czas w tym tygodniu?” Kiwnąłem głową i bąknąłem, że mam. Sophie nie zwróciła na to uwagi. Chichocząc, odeszła korytarzem, zabierając karteczkę.

Kiedy pan Berne ogłaszał przez głośniki wiadomości po zakończeniu lekcji, byłem już wyczerpany i przepecony. Snułem się po szkole jak zombie. Josie jednak zaczekała na mnie przy parkingu. Jej pełne policzki zdobił nieśmiały uśmiech. Należał on do tych, dla których każdy zatrzymałby się, żeby podziwiać go choć przez chwilę. Zatrzymałem się i ja. Zaskoczyła mnie – nie sądziłem, że będzie mnie szukać.

Wsunęła mi rękę pod ramię, wtulając jednocześnie we mnie głowę.

– Już myślałam, że o mnie zapomniałeś – powiedziała. Pokierowała nami tak, że przecięliśmy parking po przekątnej i poszliśmy dalej, pod drzewa okalające plac.

– Miałem ciężki dzień – odpowiedziałem.

– Wiem. Słuchaj, muszę iść do domu, ale możemy przecież pójść razem. Nie masz nic przeciwko?

– Nic – odparłem i pocałowałem ją. Zamruczała, kiedy nasze usta się zetknęły. Ten odgłos był dla mnie jak ciepły prysznic. Wcale nie odeszliśmy daleko od parkingu i byłem pewien, że ludzie mogą nas zobaczyć. Nie obchodziło mnie to. Właściwie to chętnie całowałbym się z nią na samym środku tego parkingu, na masce czyjegoś auta.

Nie panowałem nad sobą i po chwili ślina kapłała nam na podbródki. Josie oderwała się ode mnie ze śmiechem.

– Łał. Potrzebuję powietrza. – Odwróciła się, żeby otrzeć twarz. Ja zrobiłem to samo, spoglądając przy okazji na parking. Dostrzegłem parę osób z mojej klasy, ale głównie byli tam pierwszorocznicy. Gadali, opierając się o samochody. Inni grali w zośkę, podbijając piłeczkę kopnięciami w powolnym, kołyszącym tańcu. Riggs opuścił szyby w aucie i włączył muzykę. Bob Marley śpiewał z głośników o tym, co stanie się dzisiejszego wieczoru. Szkolny diler opierał się o maskę, a towarzyszyły mu dwie dziewczyny. Obie grały w hokeja na trawie w jednej drużynie z Josie. Teraz pokazywały nas palcami. Nie chichotały przy tym i odebrałem to jako małe zwycięstwo. Czuję się jak nowy człowiek – obnosiłem się z moimi siniakami niczym z przepaską na oko, pisząc swoją historię od nowa.

– Chodź – powiedziała Josie, biorąc mnie za rękę. – Zabierajmy się stąd.

Wyszliśmy na Mulberry Street, idąc leniwym krokiem. Stykaliśmy się biodrami, a chociaż moje nogi były znacznie dłuższe niż Josie, jakoś znaleźliśmy wspólny rytm. Kilka razy przystawaliśmy, żeby się całować. Za trzecim czy czwartym razem udało nam się już nie oślinić. Zwolniliśmy, wczuwając się w tempo naszych oddechów. Pocałunki przeplatały się z uśmiechami. Kiedy zdałem sobie sprawę, że Josie musi dla mnie stawać na palcach, położyłem jej jedną rękę z tyłu głowy, a drugą oplótłem ją w pasie. Pozycja ta przyszła nam całkowicie naturalnie.

Pomiędzy pocałunkami szukaliśmy tematu do rozmowy, który mógłby nas zająć na dłużej. Żaden jednak nas nie zaabsorbował. Zatrzymywaliśmy się więc przy skrzynce pocztowej, za pnem drzewa, a nawet na szerokim krawężniku Halverson Road. Rozmowa rwała się, a my wczepialiśmy się w siebie z cichym uśmiechem. Łączyło nas milczące porozumienie, że

przechadzka służy całowaniu się, a wszystko inne jedynie wypełnia czas pomiędzy nim.

– Czytałaś wczoraj w „Timesie” o technologii rozpoznawania twarzy? – zapytałem, kiedy odkleiliśmy się już od kamiennego murku ogradzającego dom jej sąsiadów. Prawie byliśmy na miejscu, a ja nie chciałem, żeby to popołudnie się skończyło.

– Nie. Serio czytasz codziennie gazety, jak jakiś stary facet? To urocze. – Pogładziła dłonią w rękawiczkę klapy mojego płaszcza. Westchnęła i dała mi całusa w nos. – Gdyby tylko matki nie było w domu.

– Ano.

– Będzie nade mną wisieć do nocy, sprawdzając, czy odrobiłam lekcje. Czuję się tu jak w więzieniu. – Wskazała dom kciukiem. Pnie i gałęzie paru starych drzew zasłaniały widok. Pod nimi uchowały się ostatnie połacie brudnego śniegu, a kora jednego z większych pniaków połyskiwała wciąż lodem. Nasze szare cienie kładły się na tej błyszczącej warstwie jak dwie zlewające się smugi dymu. – Kazała nawet Ruby, żeby nie wpuszczała do mnie gości w ciągu tygodnia – ciągnęła Josie. – Znajdziemy jakieś inne miejsce na spotkania. Nie wiem, co się stało matce, ale chyba jej odbija. Chciałabym, żeby jej teraz nie było. Przemyciłabym cię do środka. – Zachichotała. – To by było coś.

– A co jeśli kupiła kamery przemysłowe? Mogą być w całym domu. Nawet tutaj. Może właśnie nas ogląda? – Schyliłem głowę i zasłoniłem sobie twarz kołnierzem. Josie znów parsknęła śmiechem. Rozpięła mi guziki i wsunęła się pod płaszcz. Otuliłem ją jego połami. – W płaszczu też może być kamera – wyszeptalem.

– Wtedy matka zobaczy nas w uściskach.

Całowaliśmy się długo. Wreszcie zrzuciłem nasze okrycie i staliśmy ciasno przytuleni na zimnie. W końcu odkleiła się ode mnie i podziękowała, że odprowadziłem ją do domu. Patrzyłem za nią. Jej głowa mignęła mi wśród drzew i widziałem, jak dziewczyna zmierza w górę podjazdu. Kiedy odeszła, spojrzałem jeszcze raz na lód zastygły na drzewie, ale tym razem nie dostrzegłem w nim nic oprócz kory pod spodem. Słońce zasłoniła chmura, pochłaniając cały blask. Nie mogłem uwierzyć, że przed chwilą widniały tu nasze dwie sylwetki. Nie wyobrażałem sobie siebie całującego Josie, ciężko było mi się oswoić z tym nowym doświadczeniem. Jednak inni nas widzieli. Mogłem ich powołać na świadków. Był jakiś ślad, którego mogłem się trzymać – ślad historii, którą chciałem opowiadać i w jaką pragnąłem wierzyć.

Wracając do domu, rozmyślałem tylko o tym – o możliwościach. Nagle było mi łatwo wyobrazić sobie nas trzymających się za ręce w drodze do stołówki albo to, że głaskałaby mój podbródek na szkolnym korytarzu, kiedy nauczycieli nie byłoby w pobliżu. Jej język mógł łagodnie dotknąć mojego – i to tutaj, i teraz, w świetle dnia.

Mamy nie było w domu, ale zostawiła dla mnie na blacie talerz ciastek. Obok leżała karteczka z napisem: „Twoje ulubione”. Były cynamonowe. Może i kiedyś faktycznie je lubiłem. W każdym razie wetknąłem sobie jedno do ust i przeszedłem przez bibliotekę do holu. Już miałem wejść po schodach na piętro, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Było za późno. Nie mogłem już uciec. Zobaczył mnie. Ksiądz Dooley osłaniał oczy dłonią, by zajrzeć do środka przez okienko obok drzwi.

Na jego twarzy malowała się pogarda.

– Postanowiłem zająć do was przed popołudniową mszą – powiedział, mijając mnie i wchodząc do holu, kiedy już otworzyłem drzwi. Oparł swoją łaskę o stół, jakby oczekiwał, że

ktoś zabierze ją razem z płaszczem. – Chciałem sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

– Nie trzeba było.

– Ależ tak. Jak już mówiłem, uznałem, że trzeba się o tym przekonać. – Badał mnie wzrokiem. Próbował sprawiać wrażenie współczującego, ale niezbyt mu to wychodziło. Cierpliwie czekał i pozwolił, by cisza narastała pomiędzy nami. – Pomyślałem, że mógłbym służyć ci radą – dodał w końcu. – Gdyby tylko była ci potrzebna.

– O czym tu rozmawiać? – zapytałem.

Lustrował mnie wzrokiem.

– Różnie bywa, kiedy ktoś nas skrzywdzi, prawda? Mówimy wówczas rzeczy, których wcale nie mieliśmy zamiaru wypowiedzieć. I właśnie dlatego tu jestem. Po to, by dbać o każdego parafianina. Wszyscy czasami potrzebujemy troski. Nie wolno o tym zapominać. – Duchowny rzadko się uśmiechał, ale teraz wysilił się na skrzywienie warg. Wyszło brzydko, nieszczerłość grymasu była ewidentna.

– Nie chcę księdza pomocy. Chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju.

– Ja jednak uważam, że wciąż mamy pewne sprawy do omówienia. I do domknięcia.

Nie potrafiłem zrozumieć, czego Dooley mógłby ode mnie chcieć. Czy nie dochodziło do niego, że nie powiedziałem niczego matce? Nie pojmował, że nie chciałem mówić o swojej krzywdzie ani nawet o niej myśleć? Czy nie moglibyśmy po prostu zostawić tego za sobą? Senior jakoś potrafił odciąć się od przeszłości i nie oglądać wstecz. Podziwiałem w moim ojcu umiejętność tworzenia własnej rzeczywistości, a następnie narzucania jej światu. Nie miał czasu, by przejmować się szczegółami. Wykuwał własną prawdę i trzymał się jej. Przejawiał poczucie sprawiedliwości właściwe rewolwerowcom czy religijnym fanatykom. Konsekwencje się nie liczyły, były bez znaczenia wobec wagi sprawy.

Chociaż nie znosiłem Seniora, jego moralność okazała się dla mnie teraz pociągająca. Nie mogłem już wrócić do tej parafii. Sama myśl o tym, że idę korytarzem plebanii, wpędzała mnie w te rejony wspomnień, z których pragnąłem oczyścić mój umysł. Nie byłem księdzem Gregiem. Nie byłem też Jamesem. Nie byłem kolejnym chłopakiem w piwnicy. Nie istniałem. Ksiądz Greg wcale mnie nie spotkał, a na plebanii nic mi się nie przydarzyło. Nic. Wymazywałem historię. Mogłem ciągnąć to dalej. Mogła zniknąć całkowicie, tym łatwiej, że leżało to w interesie księdza Dooleya.

– W porządku – odezwałem się. Wskazałem gestem korytarz, który prowadził do gabinetu Seniora. – Usiądźmy tam – powiedziałem do księdza.

Krygował się, ale nalegałem. Zaprowadziłem go więc do pokoju. Zasiadłem na skórzanym obrotowym krześle za biurkiem ojca. Gestem wskazałem Dooleyowi, by zajął miejsce na zwykłym krześle po drugiej stronie.

– Postoję – odparł.

– W porządku. – Odchyliłem się na oparcie krzesła. Duchowny milczał przez chwilę, a ja czekałem.

W końcu przemówił cicho.

– Chciałem z tobą porozmawiać, Aidan. – Mówiąc to, usiadł jednak na krześle. Bawiłem się małym, oprawnym w srebro kalendarzykiem, który leżał na biurku. Ksiądz odchrząknął. – Nasz kościół i nasza parafia położyły wielkie zasługi dla rozwoju tutejszej społeczności. – Przerwał na chwilę. – Aidan, patrz, proszę, na mnie. Musisz to zrozumieć. Ojciec Greg jest trudnym człowiekiem. Widziałem się z nim wczoraj wieczorem. Było z nim źle. Jest chory. Wydobrzeje...

zapewne już w jakimś innym miejscu. Nigdy nie zobaczysz go w tym mieście.

Nie mogłem w to uwierzyć. Nie wyobrażałem sobie naszego miasta bez księdza Grega. Z każdym coś go łączyło. Refleksja o tym, jaką pustkę po sobie pozostawi, była smutna, ale też rozżościła mnie. Byłem na niego zły, że się tak rozpanoszył. Wyjąłem ciężkie pióro kulkowe z podstawki. Patrząc na księdza, stukąłem nim w gruby mahoniowy blat.

– Wiele zrobił dla tej społeczności – mówił dalej Dooley. – Sam wiesz, jakie kwoty zdołał uzbierać na rzecz szkół. Nie możemy pozwolić na to, żeby problemy osobiste przesłoniły jego pozostałe dokonania. Pomyśl, jak wielką krzywdę może wyrządzić zły język dobremu człowiekowi. Jeśli zaczniemy mówić, możemy zrujnować wszystkie jego dzieła. Pomyśl o szkołach, rodzinach, dzieciach. Nie chcemy im zaszkodzić, prawda? – Ksiądz przerwał i stuknął laską w podłogę. – Na szali jest historia naszego kościoła, jego reputacja we wspólnocie. Reputacja Kościoła przez duże K. Tego, który wzrastał w prześladowaniach i stał się tym, czym jest dziś. Słuchasz, co mówię? Powinniśmy wybaczać i żyć dalej.

– Życ dalej – powtórzyłem.

– Nie ma tu mowy o zadośćuczynieniu, Aidan. Nie może być. Czasem trzeba poświęcić swoje osobiste potrzeby w imię wyższego dobra. Religia, Aidan, to sprawa większa niż życie twoje, moje albo ojca Grega. Ona przetrwa. Kościół będzie istniał i wzrastał długo po naszej śmierci.

– Beze mnie – odparłem. – Ja już nie wracam. Wszystko skończone.

Ksiądz Dooley przełknął ślinę.

– Sądzę, że powinniśmy skierować nasze myśli w stronę przebaczenia. To konieczne. Po pewnym czasie przyniesie ci to ulgę.

– Ulgę? – Ścisnąłem pióro w dłoni, cedząc słowa. – Ojciec Dooley, nie wiem, o czym ojciec mówi. Przecież rozmawialiśmy o pracy, prawda? Pliki są oznaczone. Łatwo będzie się w nich połapać. – Głos mi się załamał. – Mówię wyłącznie o pracy. O niczym innym nie warto wspominać. Odchodzę. To wszystko. To już koniec.

– Próbuję porozmawiać z tobą otwarcie. – Zauważyłem teraz, jaki jest wąty. Wyglądał, jakby nosił ubrania po kimś postawniejszym. – Omawiamy tu istotne sprawy.

– Nieprawda. – Zdałem sobie sprawę, że przyciskam końcówkę pióra do podkładki na blacie biurka i zostawiam na niej trwałe rysy. Spróbowałem się uspokoić metodą mamy, biorąc głębokie, powolne wdechy. – Jak już mówiłem, nie ma o czym rozmawiać. Z mojej strony to koniec. Rozumiemy się?

Ksiądz przysunął się bliżej. Chciał coś odpowiedzieć, ale nie dopuściłem go do głosu.

– I nigdy więcej nie chcę już widzieć ojca Grega.

Spojrzał na mnie zimnym wzrokiem i potrząsnął głową. Westchnął, wydmuchując powietrze przez nos.

– Będę już szedł – powiedział. Gołym okiem było widać jego niepokój. Ścisnął srebrną rączkę swojej laski. – Trudno ci całkowicie zaufać, Aidan – oznajmił. – Wciąż martwię się o ciebie.

– Nie trzeba. Nie potrzebuję ojca troski.

Wstał, opierając się o krzesło. Usiłował zapiąć płaszcz, ale nie mógł trafić pierwszym guzikiem do odpowiedniej dziurki.

– Muszę powiedzieć, że jest mi przykro. Chciałbym, żebyś potrafił spojrzeć na sytuację moimi oczami. Muszę myśleć o wszystkich. O całej wspólnocie.

– Wolałbym, żeby pomyślał ojciec o trafieniu do drzwi. Proszę wyświadczyć mi tę łaskę.

Poszedł do wyjścia i wygładził płaszcz.

– Nie musisz wstawać – odezwał się mocniejszym głosem.

Siedząc za biurkiem, obserwowałem go, kiedy wychodził. Popołudniowe słońce wpadało przez okno. Świetlny prostokąt rozpościł się na perskim dywanie i sięgał ogromnego globusu z barkiem ustawionego między dwoma fotelami. Promienie docierały do południowego Pacyfiku i koła podbiegunowego. Gapiłem się w globus przez dłuższą chwilę, próbując przywołać zjawę Seniora. Chciałem być teraz taki jak on. Co zaszło pomiędzy mną a księdzem Gregiem? Nic. To, o czym nikt nie wiedział, automatycznie nigdy się nie wydarzyło. Nic się nie stało. Nie mogło.

Działalem jak w transie. Każdy uśmiech, na jaki się wysiliłem, każde skinienie głową, kiedy komuś przytakiwałem – wszystko to pomagało zbudować obraz nowego mnie. Takiego, jakiego wszyscy mieli zobaczyć. Oglądali Aidana, który uwierzył w siebie. Trzymałem się prosto, czy to siedząc w klasie, czy to stojąc na korytarzu. Zauważyłem, że inni zaczęli szukać mojego wzroku, jakbym nagle stał się kimś. W piątek nauczyciel poklepał mnie po plecach i życzył szczęśliwego Nowego Roku. Wyszczrzyłem się w szerokim uśmiechu, który stanowił znak firmowy Donovanów – niezniszczalną maskę nakładaną na przyjęcia. Łatwo mi było teraz ją nosić. Wszystko było cudowne.

– Nawzajem – skwitowałem życzenia.

Pod koniec dnia, kiedy z głośników płynęły ogłoszenia, udało nam się z Josie wymienić kilka liścików. Napisałem, że włożyła dziś tę samą spódniczkę, bluzkę i sweter, które miała na bożonarodzeniowym przyjęciu. Odpowiedziała, że idą razem z Sophie i swoimi matkami na przedstawienie na Broadwayu. Był to ich Doroczny Dziewczyński Wieczór, stąd też strój młodej damy. Odpisałem, że na niej wszystkie ciuchy wyglądają jak spełniony sen projektanta. Obojętnie w co się ubrała, wszystko leżało świetnie. Rumieniła się jeszcze, kiedy szliśmy razem do wyjścia. Wsiadły z Sophie do auta, które po nie przyjechało. Moje słowa były szczerze i cieszyłem się, że wreszcie zdołałem wyrazić to, co myślałem.

Wszyscy wybierali się gdzieś tego wieczoru. Mama jechała na imprezę do Rye, a rodzice Marka już na święta podarowali sobie bilety na operę. Zamierzali zatrzymać się w Nowym Jorku w hotelu i wrócić dopiero nazajutrz. Chociaż Mark miał szlaban i nie mógł ruszyć się z domu, uparł się, żebyśmy gdzieś wyskoczyli. Zacytowałem moją mamę, która lubiła powtarzać: „Nie pozwolimy światu bawić się bez nas”. Rozbawiło go to. Byłem mu wdzięczny, że nie spędzę tego czasu sam. Dopiero nabierałem rozpędu w życiu i nie chciałem zwalniać.

Chociaż ja mogłem zacząć naszą imprezę już po południu, Mark musiał najpierw wrócić do siebie i poczekać, aż matka wyjdzie. Nie mógł też skorzystać z auta, bo bał się, że jego ojciec sprawdzi przebieg. Postanowiliśmy, że spotkamy się w połowie drogi między naszymi domami, na placu zabaw przed podstawówką Coolidge Elementary. Nie miałem nic do roboty, więc wyszedłem mu naprzeciw wcześniej i zaszyłem się w środku betonowego sześcianu służącego do wspinaczki. Było już ciemno. W dachu mojego schronienia było kwadratowe okienko. Latarnie z pobliskiego parkingu rzucały słabą pomarańczową poświatę na plac zabaw, ale wciąż mogłem dostrzec kilka gwiazd niczym na zdjęciu ujętym w betonową ramkę. Świeciły słabo i zdawało mi się, że widzę, jak migocą, przechodząc przez odcienie błękitu i fioletu. Kiedy tak je obserwowałem, kolejne ich towarzyszkę budziły się do życia. Myśl o tym, jak daleko się znajdują, napawała mnie smutkiem. Wiedziałem, że prawdopodobnie co najmniej jedna z tych gwiazd jest już martwa i jedyne, co po niej pozostało, to światło. Zapaliłem papierosa mamy. Pomiedzy zaciągnięciami kierowałem pomarańczowy punkcik w niebo, żeby samemu też wysłać jakiś błysk w przestworza.

Kiedy kończyłem palić, w betonowym okienku pojawiła się głowa Marka. Nie widziałem jego twarzy, ale byłem pewien, że to on.

– Hej! Co tu robisz? – zagaił. – To jakieś sygnały dymne?

– Dokładnie – odpowiedziałem.

– I ktoś ma je odczytać?

– Nikt. Tylko ja.

Mark precyzyjnie się przez okienko i klapnął koło mnie. Roześmiał się głośno, a echo wewnątrz sześcianu zwielokrotniło głos. Kazałem mu, żeby zachowywał się ciszej, na wypadek gdyby ktoś przechodził w okolicy. Podałem mu plastikową butelkę po jakimś napoju, do której przelałem rum Seniora. Przyjrzał się jej i pokręcił głową.

– A co mi tam. I tak mam już dobrą fazę. – Pociągnął łyk i otarł usta. – Ożeż w mordę! – wykrztusił. Dla siebie przygotowałem drugą butelkę. Napiłem się z niej. Smakowało, jakbym zaciągnął się złą stroną papierosa.

– A miało być dobre – usprawiedliwiłem się. – Chyba zaczyna smakować z czasem.

– Jak wszystko na tym pieprzonym świecie – odparł Mark. Odwrócił się i uśmiechnął do siebie. Przez jakąś minutę żaden z nas nie powiedział ani słowa. – To co? – odezwał się w końcu, jakby ta przerwa w ogóle się nie zdarzyła.

Miał już czerwone oczy, ale i tak nabił bongo. Zapaliliśmy razem, a potem sięgnąłem po kolejnego papierosa, by nie było ode mnie czuć trawy. Siedzieliśmy zbyt ciasno. Wstałem i wychyliłem się przez dziurę, żeby wyrzucić peta.

– Ej, zasłaniasz mi widok – powiedział, ciągnąc mnie za nogawkę.

– Coś ty taki nerwowy? Wyluzuj – odpowiedziałem. Usiadłem z powrotem i wystawiłem jedną nogę na zewnątrz przez otwór w ścianie.

– Masz rację – przyznał. – Wybacz. Sporo ostatnio myślałem. – Zauważyłem, że kiedy był upalony, nie kończył nigdy swoich myśli. Wypowiadał może jakąś połowę z nich i to do mnie należało połączenie ich w logiczną całość. – Nieważne, z jakiej perspektywy spoglądam na życie. I tak łąduję zawsze w tym samym, cholernym miejscu.

– O czym ty mówisz? – zapytałem.

Mark tylko pokręcił głową.

– Przestań, przecież nie jest tak źle. Jakoś przeżyłeś w swoim domu, kiedy już poszedłem. Ja też dałem radę. Jesteśmy teraz tutaj.

– Taa – odparł Mark.

– Wybacz, że znaleźli nas w takim stanie. Ledwo pamiętam, kiedy zasnąłem.

– Nie, stary. Jest przejebane, ale to nie twoja wina.

Znów siedzieliśmy w milczeniu. Słyszałem, jak obok szkoły przejeżdża samochód. Wiedziałem, że od ulicy oddzielają nas drzewa i kierowca nie ma szans zobaczyć, co dzieje się na placu zabaw, ale i tak poczułem niepokój. Mark chyba niczego nie zauważył. Był teraz we własnym świecie.

– Miałem zostać kimś, pamiętasz? – powiedział, wynurzając się z niego.

– Pamiętam.

– Ideałem.

– A nie jesteśmy idealni?

– Według moich starych tobie sporo brakuje.

– Nie oni pierwsi to powiedzieli.

– Podobno wywierasz zły wpływ. Mam się więcej z tobą nie spotykać, żebyś nie spieprzył mi przyszłości.

– Pojebana sprawa.

– Bez sensu. A i tak mało co im powiedziałem. – Znowu zamilkł. Napiliśmy się obaj i kontynuował myśl. – Ludzie twierdzą, że w coś wierzą, a potem robią mnóstwo rzeczy, które temu przeczą. – Wyciągnął lufkę, nabił ją i zapalił. Nie zaciągał się jednak, ale trzymał ją w dłoni. – Gdyby zobaczyli cokolwiek, co zrobiłem w sylwestra, gdyby widzieli, jak jeżdżę po pijaku, zabiliby mnie. Ja pierdołę. Przyłapią mnie na czymkolwiek i już po mnie.

Pociągnął bucha. Podał mi lufkę, ale nie chciałem. Zaciągnął się więc drugi raz i mówił dalej.

– Gadaliśmy dziś na lekcji o tym facecie, który próbował wysadzić samolot do Miami. I tak sobie myślę... Wiesz, dlaczego dżihadyści wygrają? Bo w coś wierzą. Serio. Ich wiara jest mocna. My nie wierzymy i dlatego mamy przejebane.

– Nie wierzę. – Podciągnąłem kolana.

– Jasne – przedrzeźniał mnie Mark. Pociągnął jeszcze łyka. – Mój stary wypisał czek dla parafii Najdroższej Krwi. Na dziesięć tysięcy dolarów. Powiedział, że musi dorównać twojemu ojcu, nawet jeśli wychował świra. Wiesz, on sądzi, że twój stary sra pieniędzmi. W każdym razie dał im tę kasę, a nie pamiętam, kiedy ostatni raz był w kościele. I co?

– Nic – odpowiedziałem. – Nie myśl o tym.

Potrząsnął głową. Pociągnął bucha, a ja znów odmówiłem. Skończył za mnie i odłożył lufkę. Przetarł oczy i wyciągnął buteleczkę kropli. Niewiele pomogły.

– Sam nie byłem w kościele od wieków i nie wybieram się tam. Tata też nie, ale podtrzymuje iluzję, że należymy do wspólnoty. Jakby to była jakaś sprawność skauta czy coś w tym guście. Przynależność do klubu? Jest! Przynależność do organizacji religijnej? Jest! – Mark stanął w otworze dachu i rozejrzał się dookoła po placu zabaw i boisku do bejsbolu. – Czuję, że całe życie próbuję zadowolić innych i spełniać ich oczekiwania. Nawet nie mam żadnych własnych pomysłów. To nie tak, że ktoś mnie powstrzymuje przed tym, żebym realizował swoją wizję. Nie mam żadnej wizji. Dziwne, co?

– Nie – odparłem.

– Zawsze sądziłem, że inni ludzie muszą mieć lepsze pomysły, że wiedzą, co jest dla mnie najlepsze. Nie zdawałem sobie sprawy, że są tacy sami jak ja, że też tylko udają. Tak naprawdę jesteśmy zdani na siebie. – Nachylił się nagle ku mnie i złapał mnie za ramiona. Przyglądał się mojemu siniakowi pod okiem i przez chwilę wydało mi się, że zaraz go pocałuje. Poczułem ucisk w żołądku i zamarłem w znajomym bezruchu. – Stary – powiedział – samotność jest do dupy. – Pokręcił głową i wstał. Otarł nos.

Poczułem się teraz nieswojo, uwięziony w tym betonowym sześcianie. Wystawiłem nogi przez otwór w ścianie, a potem przecisnąłem się przez niego cały. Zeskoczyłem na piasek.

– Chodź – zwróciłem się do Marka. – Nie ma co tu siedzieć. Za głośno gadamy i ktoś w końcu usłyszy. Nakryją nas.

– Pierdoli mnie to – odpowiedział. – Może lepiej, żeby wreszcie ktoś mnie nakrył? Może mi to posłuży.

– Nie świruj!

– Dobra – odparował. Patrzył na budynek szkoły. Zwinął dłonie na kształt lunety, by nie oślepiało go światło latarni. – Znam jedno miejsce, gdzie nikt nas nie usłyszy.

Wynurzył się cały z sześcianu i pomaszerował przez plac zabaw w stronę rosnących za szkołą

drzew. Budynek przypominał nieco muszlę ostrygi. Front był jego najwyższą częścią i dach obniżał się za nim stopniowo. W ten sposób przednia ściana szkoły miała więcej kondygnacji niż wyraźnie niższy tył. W jego pobliżu schody przeciwpożarowe pięły się po murze metalowym zygzakiem. Były daleko od placu zabaw i nie sięgało tu światło latarni z parkingu. Mark zaprowadził mnie tam i szybko wyszliśmy po stopniach do wyjścia ewakuacyjnego.

– Chłopie, jeśli tam wejdziemy, odezwie się alarm – ostrzegłem.

– Nie wchodzimy do środka. Idziemy na górę – odparł. Okno umieszczone obok drzwi było zabezpieczone metalową kratą. Mark wyjrzał na dach. – Dasz radę?

– Ty tak na serio? – zdziwiłem się.

Uśmiechnął się. Pierwszy raz tego wieczoru zobaczyłem go rozluźnionego.

– Tak, na serio. Wiem, że mi się uda. Ale widziałem, jak ty radzisz sobie na basenie. Myślisz, że możesz się tam wdrapać?

Nie czekał na moją odpowiedź. Złapał się kraty i rozpoczął wspinaczkę. Dotarł do krawędzi dachu. Zawahał się, ale tylko na chwilę. Chwycił się mocno, podciągnął i wtoczył na górę. Zniknął mi z oczu. Poszedłem w jego ślady, choć się bałem. Wspinaczka była nawet trudniejsza, niż przypuszczałem, a kiedy pomyślałem o tym, jak wysoko jestem nad ziemią, wołałem nie patrzeć w dół. Ręce mi się trzęsły, a krata metalicznie grzechotała. Słyszałem, jak gałęzie drzew za moimi plecami poruszają się na wietrze. Trzymałem się kurczowo i wolno parłem do góry. Kiedy wreszcie mogłem wyjrzeć nad kamienną krawędź, zobaczyłem Marka siedzącego nieopodal.

– Pomóc ci? – zapytał. Spuścił nogi za krawędź, złapał mnie pod ramię i wciągnął na dach. Z dołu nie mogłem zauważyć, że na górze było kilka poziomów. Siedzieliśmy na najniższym tarasie, którego kraniec stanowiła niska ściana. Gdyby się na nią wspiąć, można by dotrzeć na kolejny poziom. Potem dach wznosił się stromo aż do szczytu graniczącego z frontem budynku. Usiedliśmy przy ścianie wieńczącej nasz poziom. Pociągaliśmy z butelek, a ja próbowałem uspokoić oddech, Mark zazwyczaj nie pił w ogóle, ale teraz pochłaniał rum szybciej ode mnie. Uśmiechał się, ale gdzieś za tym uśmiechem dostrzegałem iskierki złości. Dopił swoją porcję i wyrzucił butelkę.

– Uważaj z tym. Podebrałem rum z barku Seniora. Kiedy ostatnim razem próbowałem jego specjalów, sukienka Sophie ucierpiała – ostrzegłem. Zaśmiałem się, ale nie zawtórował mi.

– Pamiętasz to? – rzucił bezbarwnym tonem. – Było nieźle, dopóki moja matka nie urządziła nam nalotu w stylu CIA.

– Posłuchaj. – Chwyciłem go za ramię. – Jesteś tu i teraz. Zapomnij o tym. Jesteś wolni. Tak powinniśmy się czuć. Wolni!

Wskazałem gestem przestrzeń dachu przed nami. Byliśmy wyżej niż latarnie i niewiele światła docierało do nas. Dzięki temu mogliśmy zobaczyć więcej gwiazd. Nad nami rozpościerało się ciemne niebo. Położyliśmy się pod murem i perspektywa momentalnie się zmieniła.

– Ale faza! – wołał Mark.

Roześmiał się, a ja razem z nim. Cieszyłem się, że wreszcie jest szczęśliwy. Podzieliłem się z nim rumem z mojej flaszki, a on dał mi pociągnąć parę buchów z lufki. Po chwili dostaliśmy głupawki. Pokazywałem Markowi gwiazdy. On też wyciągał rękę do nieba, ale w tej samej chwili szturchał mnie drugą w bok. Nie mogłem przestać się śmiać.

Mark wstał.

– Jak wolność, to wolność. – Zaczął się rozbierać. Przestałem się śmiać, kiedy został w samych bokserkach i skarpetach. Patrzył na mnie z pokerowym wyrazem twarzy. – Ty też, ćwoku.

Zawahałem się, ale poszedłem w jego ślady. Przynajmniej darował sobie ściąganie bielizny. Kiedy sam zostałem tylko w gaciach i skarpetach, poczułem ukłucia zimna i żeby je zagłuszyć, pociągnąłem łyk rumu. Mark wziął ode mnie butelkę i osuszył ją do końca. Pustą wyrzucił za krawędź dachu. Słyszałem, jak plastikowy korek stuknął o metal schodów. Mój towarzysz wrzasnął dziko.

– Pierdolić ich wszystkich!

Skakaliśmy po dachu jak obłąkani, potrząsając pięściami w powietrzu i tańcząc wokół sterty ubrań.

– Chyba damy radę wyjść wyżej – powiedział Mark. – Patrz na to. – Wziął rozpęd, puścił się biegiem w stronę muru i wskoczył na wyższy taras. – Chodź do mnie! – zawołał, stojąc na krawędzi.

Wygramoliłem się na górę, a tam powtórzyliśmy nasz wyczyn jeszcze raz. Potem dach stawał się już tak stromy, że musieliśmy pełznąć na brzuchach. Kiedy dotarliśmy na szczyt, zobaczyliśmy biegnącą poniżej ulicę. Przejechał kolejny samochód, lecz nawet nie zwolnił.

– Pierdolić ich wszystkich! – wrzasnął znów Mark.

Świat wydawał się chwiać pode mną. Mój zmysł równowagi zawiódł i chociaż się nie ruszałem, miałem wrażenie, że zaraz coś porwie mnie do góry i przelece przez krawędź dachu. Wycofałem się w dół i przetoczyłem na plecy. Poczułem się nieco lepiej, ale i tak, widząc nad sobą nocne niebo, doznałem uczucia, jakbym zaraz miał spaść prosto w gwiazdy.

– Ja pierdzielę – powiedziałem.

– Wiem, wiem. Czuję się, jakbym latał – odezwał się Mark.

Wygiąłem się w łuk, by spojrzeć za siebie. Mark został na krawędzi, ale teraz opierał się już tylko na kolanach. Wyprostowanymi rękami łapał balans. Zadrzałem.

– Chodź, ubierzmy się z powrotem. Ja już nie mogę – namawiałem.

– Nie.

Kiedy za chwilę znów się obejrzałem, był nawet bliżej krańca dachu.

– Mark, nie!

– Pierdole wszystkich. Całujcie w dupę senatora Kowolskiego. – Ściągnął bokserki i wystawił gołe pośladki. Obrócił się na kolanach, by móc pokazać tyłek całej ulicy. Teraz jego stopy zwisały za krawędzią. Śmiał się, ale głowę miał zwieszoną na piersi i nie wiedziałem, czy z oczu nie lecą mu też łzy.

– Ej, stary! – zawołałem.

– Jak ty dajesz radę? Jakim cudem jesteś normalny? – zapytał cicho. Nie ruszył się z miejsca.

– To ty zawsze wyglądasz na ogarniętego – odpowiedziałem. Opierał się mocno na rękach i chociaż był pochylony w moją stronę, jego stopy wciąż wystawały za krawędź dachu. W ciemności wyglądało to, jakby para lewitujących skarpet unosiła się nad miastem.

– Ej! Schodź stamtąd! – krzyknąłem.

– Pieprzyć to! Ja jestem ogarnięty? Sam wiesz, jak bardzo mam nasrane w głowie. Wiesz to najlepiej ze wszystkich.

– Stary! Nawaliłeś się. Poważnie mówię.

Podniósł nagle głowę.

– Mówisz, że ci na mnie zależy? – Jego głos powędrował na koniec tego zdania w wyższe

rejestry i nie wiedziałem, czy przedrzeźnia Josie z sylwestrowej nocy, czy mówi serio.

– Dajże spokój! – krzyknąłem.

Mark zaczął się cofać. Wyciągnął jedną nogę do tyłu, tak że kolano spoczywało na krawędzi. Pólnagi, wiszący na skraju dachu i chylący się w mrok, wyglądał jak berserk z galionu jakiegoś statku wikingów. Miał szaleństwo, ale i smutek w oczach.

– Pomógłbyś mi, gdybym tego potrzebował? – zapytał.

– Jezu, chłopie! – Przetoczyłem się na brzuch i popęzłem pod górę w jego stronę. – Odbiło ci?

– Sam wiesz. – Oderwał ręce od powierzchni dachu i zaczął przechylać się do tyłu. Jego noga przesuwiała się coraz dalej. Wyszczерzył się w uśmiechu. Stracił równowagę i przechylił się na jeden bok. Krzyknął.

– Mark!

Ześlizgnął się dalej poza krawędź. Już cała noga wisiała w powietrzu. Jego ciało zgięło się, kiedy zawisł na skraju dachu, ale zdołałem złapać go za nadgarstek, zanim całkiem zsunął się do tyłu. Moja dłoń powstrzymała go przed upadkiem. Trząśł się. Trzymając się za ramiona, ześlizgiwaliśmy się razem w kierunku niższego tarasu. Mark nie opierał się. Wyhamowałem nasz zjazd tuż nad krawędzią niskiego murku. Oparłem się plecami o krzywiznę dachu.

– Co to miało być? – zapytałem.

Mark milczał. Miał wilgotne, zaczerwienione oczy. Przysiadł przy mnie z głową zwieszoną między kolanami. Czułem, jak się o mnie opiera. Wiał zimny wiatr.

– Idziemy – wydałem komendę. – Trzeba się ubrać.

Opuściliśmy się w dół i kiedy szliśmy przez taras, miałem dobry widok na cały plac zabaw i parking. Po lewej, na drodze prowadzącej do szkoły, zauważyłem światła samochodu. Maszyna skręciła i jechała w naszą stronę. Popędzałem Marka, ale zanim dotarliśmy na niższy poziom, samochód był już na parkingu. Położyłem się na brzuchu i pociągnąłem za sobą mojego towarzysza.

– Nie wstawaj! – nakazałem.

Podpełzaliśmy do krawędzi tarasu. Mieliśmy stąd widok na niższą kondygnację i otoczenie szkoły. Auto stało tuż przy placu zabaw. Miało włączone długie światła. To był radiowóz. Od strony kierowcy wysiadł policjant. Światło jego latarki wydobyło z mroku park linowy, a potem huśtawki i ściankę wspinaczkową. Przy betonowej konstrukcji zatrzymał się na dłużej. Nasze ubrania leżały na niższym poziomie, ale bałem się, że jeśli zaczniemy teraz schodzić, łatwo będzie nas dostrzec. Leżeliśmy więc na brzuchach, kryjąc się w ciemności. Marzłem okrutnie, ale bałem się poruszyć. Mark zaległ obok mnie, lecz nie patrzył w dół. Położył się na plecach i ze łzami w oczach gapił się na gwiazdy.

Policjant zbliżył się do betonowej konstrukcji i dalej szperał światłem latarki. Wydawało mi się, że kręci się tam całą wieczność. Wreszcie wrócił do auta i wyłączył długie światła. Samochód przez dłuższą chwilę stał z zapalonym silnikiem w miejscu, po czym odjechał. Kiedy światła zniknęły za rogiem, podniosłem się na kolana i klepnałem Marka.

– Zwijajmy się! – rzuciłem.

Zeskoczyliśmy na niższy poziom i ubraliśmy się po cichu. Mark wyglądał na przygnębionego. Tupałem i pocierałem dłonią o dłoń, żeby się rozgrzać, jednak przemarzłem już do kości.

– Spadajmy – ponaglałem.

Mark zawahał się. Podszedł do mnie i objął rękami. Nie zareagowałem w pierwszej chwili, ale czułem, że to coś więcej niż zwykły uścisk. Poruszyłem się w końcu, a on chwycił jeszcze

mocniej.

– Chodźmy – powiedziałem. Milczał. Wyszwoleciłem się z jego objęć. – Proszę cię. Nie zrobię tego.

Słyszając to, odsunął się ode mnie.

– Ty tak potrafisz? Dojść do granicy i wycofać się, kiedy chcesz?

– Co?!

– Ja nie potrafię. Nie umiem się wyzwolić.

– Ależ potrafisz.

– Co ty nie powiesz? Pierdol się.

– Stary, w porządku, nic się nie dzieje. Po prostu nie możesz tego ode mnie wymagać.

Przykro mi.

– Jasne. – Wpatrywał się we mnie z założonymi rękami.

– Jesteśmy po prostu przyjaciółmi – dodałem. – Może tak zostać. To wspaniale.

Odwrócił głowę. Kiedy znów zwrócił się twarzą do mnie, zauważyłem wilgoć w jego zaczerwienionych oczach. Nie mógł skupić wzroku. Nie patrzył na mnie.

– Proszę – błagał teraz. – Wiesz, co by się stało, gdyby nas tam nakryli?

– Ale nikt nas nie nakrył. – Zrobiłem krok w jego stronę i położyłem mu rękę na ramieniu. –

Chodź, zbierajmy się stąd.

– Nic nie rozumiesz. – Odrzącił moją dłoń.

– O czym ty mówisz?

Chodził przede mną wte i wewte, obejmując się ciasno ramionami.

– Ja już nie mogę. Odbija mi. Jak ty to wszystko znosisz?

– Weź się w garść. Nie łapię, o co ci chodzi.

– Nie udawaj już.

– O co te nerwy, stary?

– Chcesz być moim przyjacielem? To skończmy pieprzyć głupoty i rozmawiajmy szczerze.

Mówiłem ci już wcześniej, że nie wrócę do naszego kościoła. I o to właśnie chodzi. Zbyłeś mnie, a to było ważne.

Nie odzywałem się, licząc, że jeśli będę milczał, Mark jakoś pozbiera się do kupy i wspólnie coś wymyślimy. Bałem się. Miałem nadzieję, że jest jakiś sposób, żeby załatwić sprawę i nigdy nie wracać już do tej rozmowy. Jednak on tylko spojrzał na mnie, a ja poczułem, że chce mi się płakać.

– Proszę – powiedział. – Próbuję coś ci przekazać. – Podeszedł bliżej. – Odbija mi. Nie widzisz tego? Nie sądzisz, że obaj wiemy o pewnej sprawie?

Położyłem mu rękę na ramieniu, ale tylko po to, by trzymać go na dystans.

– Cicho. Zamknij się już – nakazałem mu. – Skończ z tą gadką i nie mów już nic więcej.

Mark cofnął się o krok.

– Dlaczego mi to robisz? Ja oszaleję. Nie mogę już siedzieć cicho. To sięga wszędzie. – Wyciągnąłem rękę, ale cofnął się. – Co jest, do kurwy nędzy? Słyszysz ty mnie? To zsrane milczenie mnie zabija. Rodzice chcą wzywać psychologa. Chcą wiedzieć, czy da się mnie naprawić. Mają nadzieję, że jakoś mnie połatają, zanim stanę się kompletnym zerem.

– Nie mów tak. – Chciałem coś dodać, ale wszedł mi w słowo.

– Zresztą dla nich już jestem zerem. Co sobie pomyślą inni? Nie wrócę do szkoły. Nie mam dokąd pójść. Mam przejebane. – Z westchnieniem spojrzał w niebo. – Nic nie rozumiem. To

zaczęło się tak... po prostu. Byłem w ósmej klasie. Ksiądz Greg mówił, że to miłość. Najgorsze jest to, że ja, kurwa, wszystko wiem. Wiem, że robiliśmy źle. A teraz czuję i wiem, że wolę facetów. On mnie nie kochał. Tak mi się zdawało, chociaż to nie była miłość. Ale mógłbym pokochać innego gościa. To właśnie wiem. – Spojrzał mi w twarz. – Stary, wiesz przecież, o co mi chodzi. Prawda? Musisz wiedzieć.

Nie odpowiedziałem. Przysunął się bliżej.

– No dalej! Proszę, porozmawiaj ze mną.

– Zamknij się – odparłem. – Nie wiesz, co mówisz.

– Właśnie że wiem. I to dlatego bije mi na mózg. Nie mam nikogo, z kim mógłbym o tym pogadać. Poza tobą. Ty też wiesz. Przecież nie byłem jedyny. Pracowałeś tam.

– Przestań gadać o ojcu Gregu. Zapomnij o nim. Do niczego nie doszło.

– Doszło. A ja muszę o tym komuś powiedzieć. Nie jesteśmy skazani na samotność. – Przybliżył się jeszcze bardziej, chcąc dostać się w moje objęcia. Przytuliłem go. – Też tam bywałeś. I co? Dla ciebie to bez znaczenia? Nie czujesz się samotny? – Objął mnie silniej. – Rozumiesz mnie. Nie musimy już być sami. Możemy o tym rozmawiać. – Jego dłonie gładziły moje plecy, mocno do mnie przywarł. – Pocałunek też przecież coś znaczy.

– Przestań. – Odepchnąłem go.

– Chłopie, jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy mogą o tym wszystkim pogadać.

– Nie będziemy gadać. Weź się, kurwa, zamknij. Ani słowa więcej o księdzu. Nic między nami nie zaszło, do chuja!

Mark machnął w powietrzu pięścią.

– Kurwa mać! Nie rób ze mnie świra. To wszyscy inni świrują. – Znów podszedł bliżej. – Zobaczyłem go na twoim przyjęciu. Unikałem go, ale widziałem, jak na ciebie patrzył. To nie ja świruję. Wszystko widziałem. Wiem, że to musiało przydarzyć się również tobie. Wiem i już.

Popchnąłem go. Zatoczył się do tyłu.

– Nie pierdol. Nic się nie zdarzyło. Nigdy więcej tak nie mów. Nie wracaj do tej rozmowy. Mnie to nie dotyczy. Nikogo to nie dotyczy. Rozumiesz?

Spojrzał na mnie.

– Chcę porozmawiać o ojcu Gregu. Sądziłem, że coś cię z nim łączyło. No, dalej. Niby do czego robisz ciągle aluzje? Zdejmij tę swoją twarz, chłopie. Rozmawiaj ze mną. Muszę z kimś pogadać. Nie jestem przecież jedyny.

– Co z tobą? – odparowałem. – Głuchy jesteś? Nie mam pojęcia, o czym ty gadasz. – Górowałem teraz nad nim. – Dlaczego to robisz?

Z oczu Marka poleciały łzy.

– Nie mogłem być jedyny.

– Może byłeś – odparłem. Trząsałem się i usiłowałem nad sobą zapanować. – Nie znałem ojca Grega z takiej strony. Nie chcę o nim więcej rozmawiać.

– Proszę, stary, pomóż mi – szlochał Mark. – Potrzebuję, żebyś mi pomógł. To wszystko się wydarzyło. Jestem tak kurewsko samotny. Nie mogę już dłużej tego w sobie dusić. Pali mnie od środka. Ja ginę. Proszę cię. Potrzebuję pomocy. Proszę.

– Posłuchaj, ja nie jestem taki ja ty. Zrozumiałeś? Nie jestem! Może sam się o to prosiłeś i tak do tego doszło. Może właśnie to próbujesz z siebie wyrzucić. Ja jestem inny, jasne? – Ledwo przeszło mi to przez gardło, ale mówiłem dalej: – Przestań o tym gadać. Musisz pochować wspomnienia. Pochować tak głęboko, żeby już o nich nie myśleć. Tak się to robi. – Podniosłem

go do pionu. – Nigdy więcej nie wspominaj przy mnie o ojcu Gregu. Nie spierdol życia sobie i innym. Przestań o tym gadać. Obiecaj, że nikomu nic nie powiesz.

Mark pokręcił głową.

– Słyszysz to, co teraz mówisz? Co za człowiek z siebie?

– Nie męcz mnie. Zajmij się swoim życiem.

Wpatrywał się we mnie, aż w końcu odwrócił wzrok. Podeszedł do krawędzi dachu nad okienną kratą i wyjściem ewakuacyjnym. Usiadł, opuszczając nogi na dół. Obejrzał się.

– To właśnie jest moje życie – powiedział. Zeskoczył na dół. Zostałem na dachu sam i samotnie gapiłem się w mrok.

Następnego dnia strasznie zasnęłam. Po południu zszedłem do kuchni i zastałem tam mamę nad kubkiem herbaty. Sortowała papiery rozrzucone po całym blacie.

– Pół dnia spędziłam wczoraj w banku – odezwała się, jakbyśmy wracali do przerwanej rozmowy.

– Cześć.

– Cześć. Mam nowinę: twój ojciec zgodził się mi pomóc. Dogadujemy się jeszcze co do szczegółów, ale to już pewne. Ruszyłam z miejsca. – Siedziała z nogą założoną na nogę. Jej stopa ciągle podskakiwała. – Rozmawiałam już z Cindy. Co prawda kruchu u niej z kasą, ale zgodziła się wynająć mi biuro u siebie po preferencyjnej cenie. Sama nie wiem. Jej rodzina przeżywa teraz ciężkie chwile.

Nogi o mało co nie ugięły się pode mną.

– Jak to?

– Martwi się o Jamesa. Znasz go? Chodzi do twojej szkoły. Chodził. Cindy przeniosła go właśnie do Bullington. Co tu więcej mówić? Równie dobrze mogła wypisać sobie na czole: „Słuchajcie, mój syn ma problemy”. Obwinia się o to i żal mi jej. Nie wiem, dlaczego jest dla siebie taka surowa. Biedny James jest mentalnym wrakiem. Siedzi tylko w szkole albo w galerii u matki. Ale nie będę się wtrącać. Wyobrażasz sobie, że mogło dojść do czegoś takiego?

Matka perorowała dalej. Zbyt nakręciła się opowiadaniem o swoim biurze i meblach, których potrzebowała, żeby zauważyć, że milczę od dłuższego czasu. Słuchałem jej jednym uchem. Myślałem o Jamesie. Kiedy mama powiedziała, że musi wyjść, zareagowałem błyskawicznie, sam siebie zaskakując. Poprosiłem ją, żeby pozwoliła mi zobaczyć biuro, i poparłem prośbę najlepszym nowojorskim uśmiechem z jej szkoły. Przytuliła mnie. Mówiłem dalej zupełnie jak nie ja. Mogło się zdawać, że przemawia przeze mnie ktoś inny.

– Naprawdę ci się udało. Muszę to zobaczyć.

Była uradowana. Łatwo przychodziło mi okłamywanie jej, w zasadzie sprawiało to nawet przyjemność.

Kiedy dotarliśmy już na miejsce, zajrzeliśmy do środka przez szybę. Były tam cztery gołe ściany, a w dodatku matka nie miała kluczy. Staliśmy więc na chodniku. Mama w swoich wielkich okularach przeciwsłonecznych i fioletowym szalu wyglądała jak gwiazda filmowa z lat pięćdziesiątych reżyserująca własną produkcję. Pokazywała mi, gdzie będzie przesadywać z klientami i ustalać plany, gdzie będzie miejsce na portfolio i w którym zakątku biura urządzi galerię imprez.

– Przedsięwzięcie polega na tym – opowiadała – że ludzie będą mogli wybierać poszczególne komponenty i klimat przyjęcia: czy budujemy scenografię od zera, czy chcesz się bawić w domu? Ma być bardzo elegancko czy raczej swojsko, jakbyś przygotował wszystko samemu? Każda impreza to przedstawienie. Jest odbiciem osobowości klienta, dlatego powinno mu się zapewnić swobodę.

- Albo pozwolić mu usiąść za sterami – dodałem.
- Właśnie.

Cały budynek należał do Cindy, a jej galeria mieściła się tuż obok. Poszliśmy tam. Do tego właśnie zmierzał mój plan, ale teraz, kiedy dotarliśmy na miejsce, paraliżował mnie niepokój. Cała frontowa ściana była ze szkła. Przez witrynę można było dostrzec dwa pstrokate obrazy, które przyciągały wzrok przechodniów. Mamie spodobał się jeden z nich, ale ja nie potrafiłem się skupić.

- Cudowna aranżacja! – zachwycała się. – Wnętrze przyciąga cię już z ulicy.

Biurko recepcjonistki tonęło w ulotkach i katalogach. Mama przedstawiła mnie asystentce Cindy, która wyglądem dopasowała się do modnego i nowoczesnego wnętrza. Do przejawów architektonicznej mody należały odsłonięte dźwigary pod sufitem. Galeria miała przypominać odrestaurowany magazyn, chociaż przy tej ulicy magazynów nigdy nie było. W każdym razie nie przeszkadzało to gościom przybytku. Parę osób przechadzało się w labiryncie ścianek, na których eksponowano obrazy. Asystentka obrzuciła mamę spojrzeniem zza swoich grubych okularów w czarnych oprawkach i powtórzyła moje imię niczym kłopotliwy obcy wyraz. Kiedy czekaliśmy na Cindy, byłem tak zdenerwowany, że musiałem najpierw przemyśleć każde poruszenie ciała. Bałem się, że jeśli się teraz uśmiechnę, wypadną mi zęby i potoczą się po podłodze. Zamarłem w końcu w bezruchu przed jakimś obrazem. Nie oglądałem go nawet. Zastanawiałem się tylko po raz setny, czy James powiedział coś swojej matce. Kiedy w końcu uspokoiłem się na tyle, że byłem w stanie myśleć, dotarło do mnie, że w dalszym ciągu nie mam ochoty nic mówić Gwen. Czułem, że byłoby to równoznaczne z wypuszczeniem księdza Grega z powrotem do naszego domu. Stąd już tylko krok do tego, by dowiedzieli się wszyscy. A myśl, że wszyscy mogliby wiedzieć, przerażała mnie nawet bardziej niż bycie przyłapanym na gorącym uczynku. Dopóki nikt nie wiedział, nic się nie wydarzyło, prawda? I tej wersji pragnąłem się trzymać: do niczego nigdy nie doszło.

Nie wiem, jak długo gapiłem się na obraz. W końcu podeszła do mnie matka.

- Co ty wyprawiasz? Musisz zachowywać się jak przyglup? Jesteśmy wśród ludzi – syknęła.
- Co? – Musiałem chyba wyglądać nieszczególnie.
- Co się z tobą dzieje? – zapytała. Nie widziałem jej tak zdenerwowanej od czasu, kiedy wróciłem po ucieczce do Eleny. – Dzwoniła Cindy. Będzie tu za minutę. – Matka rozejrzała się wokoło, przywołując na twarz swój triumfalny uśmiech. W galerii było najwyżej parę osób, a my rozmawialiśmy tak cicho, że raczej nie mogli niczego usłyszeć. Ja jednak wyczułem znaną mi dobrze frustrację, kryjącą się za promiennymi pozorami.

Spojrzałem na obraz przedstawiający twarz mężczyzny. Płótno podzielono na małe kwadraty. Dzięki temu oblicze młodego modela z krzywym uśmieszkiem zyskiwało pozór trójwymiarowości, a kiedy patrzyło się z bliska, rozpadało się na szereg kolorowych kostek. Pragnąłem móc wskoczyć do wnętrza takiej kostki, ukryć się w czerwieni lub błękicie. Zniknąć.

Matka klepnęła mnie w ramię. Obróciłem się, by zobaczyć Cindy wychylającą się z zaplecza. Machała do nas. Uśmiechnąłem się bezmyślnie, przybierając dobrze już wyćwiczoną pozę. Chciało mi się płakać, ale mogłem temu zapobiec, unosząc jak najwyżej kąciki ust. Oglądałem praktyczne zastosowanie niezłomnej wiary matki w przetrwanie najweselszych jednostek.

Padły sobie z Cindy w objęcia i zapewniały się wzajemnie, że wyglądają wspaniale. W odróżnieniu od swojej asystentki, Cindy nie miała na sobie nic czarnego. Pomyślałem, że jest osobą, która nigdy nie włożyłaby niczego w tym kolorze. Właścicielce galerii nie wypadało

ubierać się na czarno. Wydawało się, że ucieszył ją nasz widok, ale wyglądała też na zmęczoną. Makijaż nie mógł ukryć worków pod oczami.

– Przepraszam, że musieliście czekać. Rozmawiałam z Walterem – usprawiedliwiała się.

– Od kiedy to wydzwania do ciebie w ciągu dnia? – zaciekała się mama.

– Staramy się teraz być bliżej siebie – odparła. Wyglądała, jakby jej nieco ulżyło. – To świetnie, że przyszłaś razem z Aidanem – powiedziała, prowadząc nas dziarskim krokiem na tyły galerii. – James też mnie odwiedził. Nie znacie się chyba, prawda? – zapytała mnie. – Jest na dole, gra na konsoli. Idź do niego, a my omówimy tu interesy.

Usiłowałem być twardy jak moja matka. „Trzymaj się planu”, powtarzałem sobie w myślach. „Porozmawiaj z nim”. Na końcu pomieszczenia były wąskie stopnie prowadzące do magazynów na dole. Widziałem ramy obrazów ścieśnionych na stojaku u podnóża schodów. Cindy przechyliła się przez poręcz.

– Kochanie? – zawołała. Nie było odpowiedzi, ale z dołu dobiegał odgłos strzałów i piski bólu z gry komputerowej. Cindy próbowała się uśmiechnąć, ale widziałem, że mocno zacisnęła ręce na barierce. – Kochanie? Gdzie jesteś?

Zbiegła kilka stopni na dół.

– James! – wrzasnęła. Pomyślałem, że goście galerii musieli ją słyszeć. Przetarła czoło ręką. – Wybaczcie – powiedziała już spokojniej. – Mam ostatnio zszargane nerwy. Przepraszam. Wszystko w porządku.

– Oczywiście, kochana – potwierdziła matka.

– James! – krzyknęła znów Cindy.

Komputerowe odgłosy nagle ustały i James odezwał się z piwnicznego pokoju.

– Tu jestem, mam. Jestem tutaj. Kończyłem tylko poziom. Jestem już! – wołał, wychodząc zza załomu ściany.

Stał obok stojaka na obrazy. Ręce ginęły mu w zielono-czarnej flanelowej koszuli. Był chudy i nosił czarne obcisłe dżinsy. Loki opadały mu na twarz. Przykro było słuchać jego głosu. Zgrywał mądrąkę. W gardle urosła mi gula, kiedy zdałem sobie sprawę, że ksiądz Greg stracił zainteresowanie mną dla tego kurdupla. Nawet wiedząc, jak chore były żądze duchownego, wciąż nie mogłem nie nienawidzić Jamesa.

Zamrugał i spojrzał na naszą trójkę.

– Cześć – przywitał się, kiedy Cindy ponownie nas sobie przedstawiła. Wyraz jego twarzy, zaciśnięte w smutku usta wyraźnie mówiły, że chłopak nie ma ochoty się ze mną widzieć.

Cindy wymogła na nim, żeby zaproponował mi wspólną rozgrywkę.

– Mamy sporo do omówienia – zwróciła się do mnie. – Może nam to chwilę zająć.

– Umieram z niecierpliwości – odezwała się do niej matka.

– Co za historia! – Cindy zdążyła już się pozbierać. – Będziemy sąsiadkami! Mam parę pomysłów, które mogą posłużyć nam obu.

– Gram w *After the Plague* – oznajmił James. – Możemy pograć razem. – Mówił cicho, ale i tak jego głos napawał mnie lękiem. Zbyt przypominał szept.

– Nie masz nic innego? – skarciła go Cindy.

– Daj spokój – jęknął.

– Dobrze, dobrze – ucięła rozmowę jego matka. – Nic już nie mówię. Tylko pytałam. – Odwróciła się i pomaszzerowała w górę schodów. – Te dzisiejsze dzieciaki... – Zamilkła na chwilę i odeszła razem z moją matką w głąb galerii. – Ciągłe się o nie tylko martwisz. Albo martwisz się

dla nich. Sama nie wiem.

Zapadła cisza i wiedziałem, że lepiej teraz dać im spokój. Oznajmiłem Cindy, że pójde na dół do Jamesa.

– Chyba omija mnie niezła zabawa – powiedziałem. Zobaczyłem uśmiech mamy Jamesa i wiedziałem, że utrafiłem tą kwestią w dobry moment. Czułem się, jakbym dostał do ręki stary scenariusz i włączył się w scenę tam, gdzie ją przerwałem na świątecznym przyjęciu.

Zszedłem na dół i zawróciłem u podnóża schodów. Idąc przez piwnicę, mijałem stojaki na obrazy i szafki z dokumentami. James wrócił już do swojej gry. Szereg podwieszonych lamp rozjaśniał stłumionym światłem przestrzeń między dwoma magazynami. Od głównej szyny oświetleniowej odłączały się dwie boczne, prowadzące do pomieszczeń po obu stronach korytarza. LAMPY były tam jednak wyłączone. Krzyki i salwy z broni dobiegały zza jednej z szafek. Wkrótce odnalazłem mały kantorek, który James uprzętnął i wstawił tam projektor oraz ekran. Postacie z gry były równie duże jak on. Sterował facetem w czerwonej skórzanej kurtce. Bohater gry dzierzył półautomat i rozstrzeliwał nim hordy zombi. Truposze parły naprzód, dopóki nie odstrzeliło im się głowy. Krew tryskała na cały ekran, aż poczułem lekkie mdłości.

– Słuchaj... – odezwałem się cicho, ale James i tak podskoczył na dźwięk mojego głosu. – Przepraszam. Pomyślałem, że zejde tu do ciebie.

Światło projektora padało na jego bladą twarz. Skurczył się i zapadł w sobie. Odsunął się ode mnie o krok. Żywy trup cisnął siekierą w jego bohatera, a inny zombi ugodził go widłami. Nastąpiły kolejne ciosy i wrzaski. Z faceta w kurtce został krwawy strzęp. Gromada truposzy pożerała go. Ekran zalał się czerwienią.

Między mną a Jamesem leżał na podłodze wąski dywanik. Żaden z nas go nie przekroczył.

– Picie jest w lodówce – przerwał w końcu milczenie James, wskazując brązowe drzwiczki pod biurkiem.

Powietrze na dole było chłodne i bardziej przydałaby mi się kawa albo herbata. Mimo to wyjąłem puszkę napoju z miniaturowej chłodziarki. Oparłem się o biurko i uzmysłowiłem sobie, o ile wyższy jestem od chłopaka. Spojrzał na ekran i pokręcił głową.

– Skoro i tak przez ciebie zginąłem, mogę zacząć od nowa. Chcesz zagrać we dwóch? Mam drugiego pada. – Nacisnął kilka przycisków i zaczął przeklikiwać się przez menu, aż w końcu na szarym tle pojawiły się podobizny naszych dwóch bohaterów.

– Drugi gracz to dziewczyna? – zapytałem. Komputerowa wojowniczką również miała na sobie skórzaną kurtkę, lecz w odróżnieniu od swojego towarzysza czarną. – Zagram. Co mam robić?

James przekopał się przez szufladę biurka i wygrzebał z niej drugi kontroler. Podłączył go i wyjaśnił mi, jak kopać, uderzać pięścią, strzelać, rzucać granaty i gdzie rozglądać się za amunicją, której nie było za wiele. Dawał te instrukcje bardzo poważnym tonem, przyciskając przy tym kontroler do piersi. Był z siebie dumny.

– Dzięki, ale to tylko gra – powiedziałem w końcu. – Na pewno sam załapię.

– Jasne – odpowiedział. – Ale jeśli masz już zamiar grać, to rób to porządnie. – Stał w blasku projektora, przyjmując pozę poważnego urzędnika. Zastanawiałem się, czy ja wyglądam tak samo, kiedy automatycznie i beznamiętnie odpowiadam na pytania nauczyciela w klasie. Kiedy wyciągnąłem rękę po pada, James odsunął się ode mnie na długość ramienia i niemal upuścił urządzenie na moją nadstawioną dłoń.

– Możesz stanąć tam. – Wskazał na przeciwległy kraniec dywanika.

Zrobiłem, jak chciał. Rozpoczęła się gra. Chociaż obaj walczyliśmy z hordą umarłaków, to James rozstrzeliwał większość z nich. Ja wystrzeliwałem tylko chaotyczne serie. Gdyby ta gra cokolwiek mnie obchodziła, cieszyłbym się, że nie gramy przeciwko sobie. Chłopak masakrowałby mnie i czułem, że nigdy by mu się to nie znudziło. Znał grę tak dobrze, że – według mnie – musiał ją już chociaż raz przejść. Bez końca wykonywał jeden cykl. Zabijał zombi, zbierał amunicję, przeładowywał i strzelał dalej. Potrafiłem zrozumieć, jaką ulgę przynosi takie mechaniczne wykonywanie zadań. Zajmowało jego umysł na tyle, że nie musiał myśleć o niczym innym.

Stał wyprostowany po drugiej stronie dywanika, błyskawicznie operując przyciskami.

– Ej, słyszałem, że zmieniasz szkołę – odezwałem się do niego.

– Mama chce, żebym się przeniósł.

– No co ty? Gdzie?

– Nie wiem. Chyba gdzieś indziej. Uważaj! – wrzasnął.

Pozwoliłem dziewczynie w kurtce podejść zbyt blisko do żywego trupa, który ugryzł ją w ramię.

– Z półobrotu go! – krzyczał. – Z kopa!

Pogmerałem w przyciskach i udało mi się skłonić dziewczynę do wyprowadzenia kopniaka. Potem odstrzeliłem zombi łeb, bo staliśmy niemal twarzą w twarz. Bezgłowy kadłub słał się w miejscu.

– Super – wyszeptał James. Posłużył się ciałem jak tarczą i wysadził nadchodzącą grupę umarłaków granatem. Jego bohater postąpił naprzód i prowadził mnie dalej przez grę.

– Miała coś przeciwko Country Day Academy? Nasza szkoła jest całkiem niezła.

– Nie wiem.

– To o co chodzi?

– Mama uważa, że powinienem się przenieść. Nie wiem po co.

Wyszliśmy na rynek jakiegoś miasteczka. Na środku placu stała stara kamienna studnia. Postacie, które wziąłem za mieszkańców miasteczka, okazały się kolejnymi żywymi trupami. Zombi wpadały na siebie, ciągnęły za łańcuch studni, choć na końcu nie było wiadra, wybierały jabłka z przewróconego wózka. Owoce roily się od robactwa. Truposze ruszyły na nas, kiedy James załatwił jednego z nich, zachodząc go od tyłu. Jego bohater pociągnął serią po oknach pobliskiego budynku. Na ziemię spadały z nich zwłoki.

– Słyszałem, że idziesz do Bullington. To prawda? – zapytałem.

– Nie przeszkadzaj – odparł. – To trudny fragment.

– Dlaczego miałyby cię tam posłać?

– Nie wiem. Grasz czy nie?

– Myślę, że wiesz – powiedziałem. Odwrócił się na moment w moją stronę, po czym znowu utonął w grze. Starał się jeszcze bardziej na niej skupić. – I nie jesteś już ministrantem w parafii Najdroższej Krwi, co? – Usiłowałem zapanować nad głosem. – Nigdy już tam nie wrócisz, prawda?

James pokręcił głową.

– Kiedyś tam chodziłem, ale już nie będę. – Przesząpił z nogi na nogę i ustrzelił kolejnego zombi.

Nie czułem już przycisków pod palcami. Zorientowałem się, że stoję tuż obok chłopaka.

– James – odezwałem się cicho.

Odsunął się ode mnie, wskazując na pada, którego porzuciłem na podłodze.

– Proszę – zająknął się. – Chcę grać dalej.

– Powiedziałeś matce? – zapytałem.

Pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Zrobiłeś to. – Mój głos uciekł w wysokie rejestry i nic nie mogłem na to poradzić.

– Chcę tylko grać dalej – zaskomlał. Jedna z naszych postaci wrzasnęła. – Nie chcę rozmawiać. Nie mogę.

Wyrwałem mu pada z rąk i złapałem chłopca za ramię.

– Muszę wiedzieć. – Próbował się wyrwać, ale nie mógł wyzwolić się z mojego uścisku. Pochyliłem się nad nim. Drugą ręką złapałem go za kołnierz i przyciągnąłem bliżej. – Mnie możesz powiedzieć. Wygadałeś się? Ktokolwiek poszedł do ojca Dooleya? Czy ty nic nie rozumiesz? – wrzasnąłem. W świetle gry tłum truposzy wydawał dzikie dźwięki, a nasi bohaterowie krzyczeli, gryzieni i rozdrapywani. James uderzył mnie swoją wolną ręką, ale był zbyt słaby, żeby odniosło to skutek. Spróbował mnie kopnąć. – Nikomu nic nie powiesz?

– Nie – obiecał.

Złapałem go za włosy i zmusiłem, by na mnie spojrział.

– Przysięgnij.

Miał zamknięte oczy.

– Nikomu nic nie powiem. Nikomu. Nic.

Mój żołądek wywracał się na lewą stronę. Pot spływał mi po karku. Trzymając go za koszulę, mogłem poczuć pod knykiami jego pierś. Wiedziałem, że mogę go teraz zmusić, by ukląkł. Mogłem zrobić z nim wszystko, co chciałem, i ta świadomość sprawiła, że zachciało mi się rzygać.

– Nic! – krzyknął raz jeszcze. Puściłem go. Odciałem mu jednak drogę ucieczki i wciąż trzymałem go za ramię. Ugryzł mnie w rękę. Był wolny. Dał nura pod biurko i zwinął się w kulkę obok lodówki. Chciałem go sprać. Chciałem zatrzymać go siłą.

Truposze pożerały naszych bohaterów, ekran zachlapany był aż nazbyt realistyczną posoką. Biurko osłaniało Jamesa przed tym krwawym deszczem.

– Proszę – usłyszałem własny jęk – przecież nic ci nie zrobiłem. Nie chciałem. – Moje słowa przyprawiały mnie o mdłości. – Nie jestem taki jak on, James. Nie jestem nim.

– Nie chcę o tym gadać! – odkrzyknął. Pociągnął nosem i otarł policzki.

Usiadłem na podłodze, opierając się o szafkę. Nade mną mrugał projektor. Ekran poczerwieniał, a motyw przewodni gry wybrzmiewał na tle groteskowych odgłosów uczyły zombi. James dalej szlochał. Mnie też zebrało się na płacz. W świetlnym stożku rzutnika unosił się kurz. Przypomniałem sobie, jak żelazna krata wpijała mi się w kolana w kościelnej piwnicy. Wróciło wspomnienie ręki księdza Grega szarpiącej mnie za włosy, poczułem znów wilgotny odór potu, palącą w gardle szkocką, postrzępiony paznokieć przyciśnięty do warg, drapanie wąsów na karku i twarzy. Moje żebra ponownie ścisnęły się w jego mocnym uchwycie. Zimne powietrze owionęło mi pierś, krawędź ławeczki znów uwierała mnie w plecy, wyciskając trwałą ślad na skórze. Nie krzyknąłem ani razu. Ani, kurwa, razu. Wszystko dało się znieść w milczeniu. Jedynym dźwiękiem był szum oddechów, które przynosiły mi ból, aż w końcu cichły. A kiedy to się skończyło, powtarzałem sobie: „Wytrzymałem wszystko i jeśli tylko taka

jest cena, jestem gotów zapłacić ją jeszcze raz”.

Czułem się fatalnie. Odnalazłem moją puszkę coli. Napilem się, próbując uspokoić żołądek, ale zamiast tego walczyłem teraz ze sobą, żeby nie zwymiotować. Przeprosiłem Jamesa, kiedy tylko byłem w stanie mówić. Długo spoglądał na mnie spod biurka, aż wreszcie się uspokoił.

– Już nie będę cię niepokoił – powiedziałem. Kiwnął głową. Nie wstaliśmy ze swoich miejsc. Zacząłem zastanawiać się, gdzie przepadły nasze matki. – Przyjdą tu po nas? – zapytałem.

– Moja najpierw krzyknie – odpowiedział James. – Kiedyś niezłe mnie wystraszyła. Od tej pory woła, zanim zejdzie.

– To dobrze.

Chciałem dać mu coś na znak, że nie musi się mnie już bać, jakiś symbol znaczący więcej niż słowa. Gdybym był mityczną postacią, znalazłbym dla niego magiczny puchar, sprawiający, że jego policzki z powrotem by się zarumieniły, albo pelerynę, która by go ochroniła. Jednak w rzeczywistym świecie wszystko opierało się na zaufaniu, a na to z jego strony nie mogłem liczyć.

Kiedy wstałem, on dalej siedział pod biurkiem. Uspokoilem się i dopilem colę. James tkwił w bezruchu.

– Chodź – powiedziałem. Podniosłem pady z podłogi i rzuciłem mu jeden. – Mogę znów zagrać dziewczyną.

Wypełzył spod biurka, żeby widzieć ekran, ale wołał nie oddalać się od niego. Wciąż siedział na podłodze. Spróbowaliśmy ponownie przejść poziom i tym razem skupiłem się na rozgrywce. Chciałem grać lepiej, współpracować z bohaterem Jamesa, żeby nie musiał cały czas mnie osłaniać. Dzięki temu szybciej dotarliśmy na rynek miasteczka. Teraz to ja strzelałem w okna, a kiedy zbliżyliśmy się do studni, wrzuciłem do środka granat. Rozleciała się na kawałki, miotając dookoła kamienie.

– Super – skomentował cicho James. – Później zaczęliby stamtąd wyłazić.

– Uczę się – powiedziałem. – Ale bez ciebie nie dałbym rady.

James uśmiechnął się.

– Naprawdę jesteś w tym niezły – pochwaliłem go.

– Jestem. Wiem o tym.

Cindy zawołała nas jakiś czas później i poszliśmy w stronę schodów. Na użytek naszych matek podziękowałem Jamesowi, że pozwolił mi ze sobą zagrać, a on pomachał do mnie na pożegnanie. Kiedy wyszliśmy na górę, Gwen promieniała. Położyła mi rękę na ramieniu i oznajmiła Cindy, że wpadnie do niej we wtorek. Gapiłem się w przestrzeń galerii, a mama obejmowała się z przyjaciółką.

– To wszystko jest takie ekscytujące, prawda? – mówiła. – Dziękuję ci.

– Skończmy z podziękowaniami i weźmy się do roboty – odpowiedziała Cindy. Cmoknęły się na do widzenia i uściśniły sobie dłonie. Stałem już blisko wyjścia. Matka też się tam kierowała.

– Cieszę się, że mogłem zobaczyć galerię – rzuciłem na pożegnanie. Mało brakowało, żebym się na dodatek uklonił. Wychodząc, minęliśmy portret, na który wcześniej się gapiłem. Za pierwszym razem, z bliska, widziałem tylko pojedyncze sześciany. Teraz zauważyłem, że obraz tak naprawdę przedstawia wielowarstwową maskę. Ciało zanikło – pozostało tylko umowne wyobrażenie twarzy podobne do ludzkiego oblicza. Tylko taki frajer jak ja lub James mógł pozwolić, żeby jego maska opadła, odsłaniając miękką, galaretowatą substancję pod spodem.

Kiedy szliśmy do auta, matka roztaczała wokół siebie aurę sukcesu. Słońce zaszło podczas

naszego pobytu w galerii. Mamie podobało się nocne niebo i pomarańczowy poblask atrap gazowych latarni rozstawionych wzdłuż chodnika. Rozejrzała się wokół siebie i klasnęła odzianymi w rękawiczki dłońmi. Patrzyłem, jak mój oddech przeobraża się w kłąb pary i znika.

– O tej porze znajdziemy jeszcze stolik w Oyster Bridge – powiedziała. – Na pewno zgłodniałeś, co? – zagadnęła mnie, kiedy wsiedliśmy do samochodu. – Jedźmy na kolację. Jest co świętować. To nasz nowy początek. Wracamy do gry.

– Pewnie, że tak – odezwałem się.

– Nie cieszysz się? Odziedziczysz po mnie więcej, niż się spodziewałeś. Będziemy w awangardzie, znajdziemy się na językach wszystkich.

W myślach widziałem, jak z pasją wiruje na scenie, zgina się w biodrach i szykuje do skoku. „No dalej, skacz!” Wiedziałem, że nie wystarczy trening, żeby ciało wystrzeliło w powietrze. To umysł musi je tam wypychać. Trzeba widzieć się w powietrzu. Oczy na nic się tu nie mogą przydać. Umysł opuszcza ciało i spogląda na nie z góry, przynaglając je niczym głos z oddali: „Skacz! Dalej! Jazda!”. Trzeba dać się porwać temu głosowi.

Chodziło o samą wolę dokonania czegoś. Jak sądziłem, ta sama wola pozwalała się okłamywać, przekierowywać wspomnienia i pisać historię życia na nowo. Senior? Kto to taki? Ojciec jakiś tam? Zapomniałem imienia. Była nas tylko dwójka – ja i matka wznosiliśmy się w marszu coraz wyżej, w stronę jasności, jaką pragnęliśmy odnaleźć.

Po kolacji wróciliśmy do domu. Mama puszczała przeboje z lat osiemdziesiątych i zapytała mnie, czy potrafię przyrządzić martini. Wypiła już kilka w knajpie. Sądziłem, że dość łatwo je przygotować, ale ona upierała się, że nie chodzi o przepis, ale o finezję w wykonaniu. Powiedziała, że wszystkiego mnie nauczy. Pomyślałem o finezji, jakiej wymagało ode mnie udawanie, że nie mam jej nauk głęboko w dupie. Drink to tylko drink i wszystkie służą temu samemu. Dobrze wiedziałem czemu, dzięki naszym domowym imprezom. Wiedziałem też, co czeka mnie dzisiaj wieczorem. Matka kazała mi się przyglądać, jak sama przyrządza martini.

Postępowałem według jej instrukcji i kiedy już oboje mieliśmy co pić, pociągałem po łyku z mojego kieliszka. Mama wypiła zawartość swojego na raz. Odeszła kawałek dalej i oparła się o pianino. Zataczała się już.

– Poradzę sobie sama. Poradzimy sobie – dodała, spoglądając na mnie.

Nie potrzebowałem kolejnej przemowy motywacyjnej. Uśmiechnęła się i wiedziałem, że nie ma już dla mnie ratunku, chyba że szybko uda mi się zmienić temat.

– Pójdzie ci łatwo. Nie zdążyłaś nawet posiwieć. Wciąż wyglądasz młodziej niż mamy moich kolegów.

Zachichotała.

– Uroczy jesteś. Umiesz się zachować. Kto cię tak wychował? – Zaśmiała się niepewnie. Odeszła od pianina i przycupnęła na oparciu fotela Seniora.

Sączyłem mojego drinka, milcząc. Opierałem się o kominek.

– Nie jestem już taka młoda – ciągnęła matka dalej. – Faceci już się za mną nie oglądają. Kiedyś miałam to coś, ale uroda szybko przemija. Kiedy mężczyzna na ciebie patrzy, łatwo go rozszyfrować.

Zgubiła się już w swojej dygresji. Snując ją, wpatrywała się w wygasły kominek. Nie sądzę, żeby to, o czym mówiła, miało jakikolwiek związek z płcią. Bycie obserwowanym zawsze polega na tym samym. Czyjeś oczy rozbierają nasze ciało na czynniki pierwsze. Każdy mógł stać się

obiektem takiego spojrzenia, poczuć je, a nawet go pożądać. Czasem dobrze było czuć się pożądanym. Szybko się tego nauczyłem. Istniało wiele sposobów na pożądanie kogoś i na bycie pożądanym. Nie wszystkie miały cokolwiek wspólnego z ciałem.

Matka próbowała dawać mi rady. Sądziła, że ja nigdy nie doświadczyłem takich strat jak ona lub jeszcze nie potrafiłem ich zrozumieć. Jak mogłem jej zaufać? Jak można ufać komuś, kto przyznaje sobie monopol na cierpienie?

Kazała mi wymieszać kolejnego drinka.

– Spójrz na mnie – poleciła. – Nikt nie powie, że wyglądam na przygnębioną. Bo nie wyglądam. Uda mi się. – Umilkła i pograżyła się w fotelu. Masywne siedzisko połykało jej chudą sylwetkę. Może czuła teraz jego zapach? Tę szczególną nutę zapachową mojego starego – zbutwiałą woń martwego naskórka i zarozumiałstwa. Wkrótce jej głowa zaczęła się chwiać na boki. Wyglądała jak lalka, którą dziecko cisnęło w kąt po skończonej zabawie. W końcu, potykając się, zabrnęła na górę, żeby się położyć.

Zrobiłem porządek w kuchni i poszedłem za nią. Zza zamkniętych drzwi sypialni słyszałem zawodzące skrzypce. Ich dźwięk unosił się w mroku. Słuchała tej muzyki, żeby przypomnieć sobie czasy, kiedy kogoś miała, kiedy te utwory rozbrzmiewały na scenach. Zapukałem do drzwi. Nie odpowiedziała, ale i tak wszedłem do środka. Błede światło księżycy oświetlało pokój. Zarysy jej łóżka odbijały się w wysokim lustrze zamontowanym w drzwiach łazienki. Nie zauważyłem matki, dopóki jej stopa nie poruszyła się na kapie. Nie ułożyła się do snu. Zamiast tego narzuciła kołdrę na ramiona jak płaszcz i siedziała tak z chudymi nogami podciągniętymi pod brodę. Nie były przykryte. Wciąż miała na sobie rajstopy, nie zrzuciła nawet butów na obcasie.

Podszedłem bliżej i zdjąłem je. Była tak bezwładna, że bez problemu mogłem ująć ją pod ramię i podnieść do pionu, kiedy poprawiałem prześcieradło. Opuściłem mamę z powrotem i przykryłem kołdrą. Starłem się odwracać wzrok, chociaż jej było wszystko jedno. Kiedy układałem ją w łóżku, sukienka podjechała do góry, odsłaniając udo. Opatuliłem ją tak szybko, jak potrafiłem, ale i tak musiałem zobaczyć jej bieliznę. Miała nieprzytomne oczy. Mógłbym ją spoliczkować, a nawet by się nie wzdrygnęła.

Podebrałem jej papierosa ze stolika przy łóżku. Zapaliłem, opierając się o nie. Pomyślałem, że może oprzytomnieje, żeby na mnie nawrzeszczeć. Papieros był babski, długi i cienki. Nie robiło mi to różnicy. Mógłbym nawet paradować po domu w butach na obcasie, a i tak chwilowo byłem głową rodziny.

Strzepnąłem papierosa do popielniczki na stoliku. Obok stała wysoka szklanka z wodą i opakowanie pigułek nasennych. Pomyślałem, że mógłbym jedną zażyć. Potrzebowałem wyłączenia świadomości. Chciałem, żeby otulił mnie obłok długiego snu bez marzeń. W opakowaniu zostały tylko dwie pastylki. Odszukałem pod kołdrą dłoń mamy. Ucisnąłem ją i ku mojej uldze odpowiedziała uściskiem. Był słaby, ale świadczył, że tli się w niej życie. Było mi zimno, albo tak sobie tylko wmawiałem, w każdym razie wgramoliłem się pod kołdrę.

Senior co prawda żył, ale w zasadzie uczynił ją wdową. Każdej nocy zwijała się w kłębek, czując obok siebie dolegliwą pustkę. Zastanawiałem się, czy w obecnym stanie nie wydaje jej się, że to właśnie Senior leży przy niej. A może tylko chciała wierzyć, że jestem nim, że wypełnię to puste miejsce. W pewnym sensie chciałem nim być, pożyłem luksusu bycia potrzebnym.

Już podjąłem decyzję. Uporządkowałem ostatecznie bajzel w moim życiu. Nigdy nie miałem wspomnieć ani słowem o tym, co mi się przydarzyło. Mogłem żyć dalej, pisząc swoją historię na

nowo. Lepszą historię – ułożoną wyłącznie przeze mnie.

Problem w tym, że nikt nie pisze swojej historii sam. W niektóre historie zostaje się uwikłanym, a jeśli zapytasz dlaczego, nie otrzymasz odpowiedzi. Nikt nie ma nad sobą pełnej władzy, bo działają wśród nas siły, z którymi trudno się mierzyć, a nawet nie sposób ich zrozumieć. Kiedy Senior zachęcał mnie do tego, żebym czytał gazetę każdego dnia i starał się mieć na coś wpływ, myślałem raczej o karierze generała, który obserwuje bitwę i wydaje komendy z fotela. Nie sądziłem, że sam będę się bił. Senior przyzwyczaił się do roli człowieka, którego działania i opinie trafiały na łamy gazet, a w ostateczności prasa pisała chociaż o kręgach, w jakich się obracał. Choć spędziłem tyle czasu na lekturze gazet, w życiu bym się nie spodziewał, że kiedyś znajdę tam coś o sobie.

W poniedziałkowy poranek czytałem do śniadania „Timesa”. Płatki zdążyły rozmięknąć w mleku, a ja wciąż wpatrywałem się w nagłówki. Treść artykułu rozmywała mi się w oczach w szarawą mgiełkę. Otworzyła się we mnie czarna dziura. Wpadłem w nią, poza zasięg światła i głosu. Archidiecezja bostońska miała kłopoty. Zaczęło się od artykułu w „Globe”, opublikowanego dzień wcześniej. Z początku jednego z księży oskarżono o liczne występki, potem pojawiły się zarzuty wobec następnego i błyskawicznie kryzys ogarnął całą archidiecezję. Obwiniano ją o instytucjonalne tuszowanie przypadków nadużyć. Nadużycia. Ciężko mi było przełknąć to słowo. Wydawało mi się jakby niewłaściwe.

Bywa czasem, że mówimy sobie: „Co za nieszczęście, dzięki Bogu, że mnie to nie dotyczy”. Można ignorować bomby spadające za oceanem, ale nie budynki walące się w gruzy w naszym własnym kraju. Można podawać w wątpliwość plotki o małżeństwie z drugiego końca miasta, ale co jeśli krzyki rozlegają się w twoim domu? Co wtedy robić?

Skandal nie dotyczył tylko Bostonu. Toczyło się szerzej zakrojone śledztwo i kolejni poszkodowani zaczęli mówić. Przewracałem strony wbrew własnej woli i z przerażeniem odnajdywałem kolejne artykuły. Większość zdań zapominałem natychmiast po przeczytaniu, aż wreszcie natrafiłem na wzmiankę o oskarżonych księżach z Rhode Island i z Connecticut. Kolejny tekst był bardziej szczegółowy. Przeszył mnie strach. W artykule nie było ani słowa o naszej parafii ani o księdzu Gregu – wymieniano inne wezwania kościołów i nazwiska. Jednak wydarzenia z Najdroższej Krwi odbijały się tu jak w lustrze. Choć personalia się różniły, przebijał spod nich śmiech księdza Grega. „Dusza towarzystwa”, „zasłużony dla lokalnej społeczności”... Takich sformułowań dziennikarze używali, pisząc o zabójcach: „Sąsiedzi nie zauważyli niczego niepokojącego”.

Zastanawiałem się, czy iść do szkoły. Kolejna nieobecność mogła mi zaszkodzić u pana Weinsteina, a co gorsza wzbudziłaby podejrzenia. Wszyscy wiedzieli, że pracowałem w parafii. Chciałem biec do domu Josie i zedrzeć lód z drzewa. Może mógłbym wtedy przywołać obraz naszych przytulonych ciał, jak jakiś fresk ukryty w katakumbach zapomnianego miasta. Gdybym tylko ożywił tamtą chwilę, miałbym amulet, który przypominałby mi, że jestem normalnym dzieciakiem ze szkoły, którego nie trzeba wysyłać do Bullington, który nie dostanie

się w krzyżowy ogień pytań ani do nagłówków gazet. Nie byłem przecież cyrkowym dziwadłem, zwierzęciem z ludzką twarzą wystawionym na widok publiczny w klatce. Nie zasługiwałem na pytania przechodniów: „Jak on się doprowadził do tego stanu? Jak można się tak upodlić?”.

Gdyby tak było, nigdy nie zaznałbym spokoju. Zbyt wiele okładek tabloidów widziałem wystawionych w sklepach, żeby mieć co do tego wątpliwości. Widywałem zdjęcia ludzi okaleczonych w wypadkach przy pracy, celebrytów – ofiar chirurgii plastycznej – i porwanych dzieci. Każdy chciał plotkować o tych historiach, ale nikt nie chciał w nich uczestniczyć. Wszyscy bohaterowie prasowych doniesień byli w jakiś sposób potworni – zarówno sprawcy, jak i ofiary i ich rodziny. Każdego przedstawiano, eksponując jakiś odrażający szczegół. Ludzie, w tym także ja, nie chcieli mieć z tymi potworami do czynienia.

Kiedy dotarłem do szkoły, wiedziałem, że się nie wywinę. Już z zewnątrz dostrzegłem w holu grupki mam i opiekunek. Kobiety rozmawiały ściszymi głosami, zerkając uważnie na przechodzących uczniów.

– Co za okropieństwo. – Usłyszałem strzęp rozmowy, kiedy wszedłem do środka. Choć strach nie jest materialny ani namacalny, jego efekty już takie są. Równie dobrze przerażenie mogłoby mieć smak i zapach. Woń cuchnącego papierosami oddechu księdza Grega i wypalający nozdrza fetor whisky.

Kiedy zmierzałem do biurka pani Perrich, dojrzała mnie Hazel – matka szóstoklasisty, którego mentorem byłem w zeszłym roku. Klepnęła w plecy przyjaciółkę i obie odłączyły się od swojej grupki.

– Och! – Hazel zmusiła się do uśmiechu, który miał zamaskować jakże dobrze mi znane oznaki współczucia. Podeszła do mnie, zostawiając przyjaciółkę, i położyła mi rękę na ramieniu.

– Och, kochanie – poklepała mnie – jak ty wyglądasz? Co się stało? Wszystko w porządku?

– Oczywiście – odpowiedziałem i wtedy zdałem sobie sprawę, że mówiła o moim oku. – Miałem mały wypadek w sylwestra – wyjaśniłem.

Pokręciła łagodnie głową.

– Wszyscy się martwią. Od razu spodziewają się najgorszego. Wiesz, chodzi o te kościoły – wydusiła wreszcie z siebie. – Okropny skandal.

– Aż trudno w to uwierzyć – dorzuciła inna matka. Nic nie mówiłem, gapiałem się na jej buty. Ich cholewka sięgała łydki, a na górze była obszyta jasnym futerkiem. Niektóre dziewczyny w moim wieku nosiły identyczne. – Takich rzeczy nigdy człowiek się nie spodziewa – ciągnęła dalej. – Nie w takiej skali.

Kolejne dwie mamy zainteresowały się mną. Pani Perrich rozmawiała przez telefon, ale też popatrywała na mnie znad okularów.

– Jesteś wolontariuszem u Najdroższej Krwi, prawda? – zapytała jedna z kobiet.

Hazel najwyraźniej koniecznie musiała mnie dotykać. Tym razem pogłaskała mnie po ramieniu.

– To musiało być dla ciebie ciężkie. Pracujesz u nich, prawda?

– Danny przygotowuje się tam do bierzmowania – dorzuciła kolejna ze zgromadzonych. – Ileż dzieciaków z okolicy też chodzi do tej parafii!?

– Wiem – padła odpowiedź jej koleżanki. Kobieta ta zwróciła się potem do mnie: – W której jesteś klasie?

– Aidan chodzi do drugiej – odpowiedziała za mnie Hazel.

– Och, kochanie – drążyła dalej pytająca. – Pracujesz tam? Czy rozmawiacie o tej sprawie?

– Teal! – utemperowała ją Hazel. – Aidan, to przecież nie nasza sprawa.

Inne matki przegrupowały się. Nie obstępowały już Hazel, ale zgromadziły się wokół Teal, która stała z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Nie znałem żadnej z tych kobiet, nie kojarzyłem nawet imion większości z nich. Mimo to wszystkie wiedziały, że udzielałem się w parafii.

– Nie wierzę, że cokolwiek działo się u Najdroższej Krwi – powiedziałem. – A skoro nic się nie zdarzyło, po co o tym rozmawiać? – Tu już podniosłem głos. Czułem, jak po plecach płynie mi pot, krople spływały też po czole. Zaciśnąłem pięści i trzymałem ręce w kieszeniach, żeby nie ocierać twarzy.

– Kochanie – zwróciła się do mnie Hazel. – Oczywiście. Nic się nie dzieje. Nikogo o nic nie oskarżamy.

– Właśnie – mówiłem zbyt głośno. – I ja też tego nie robię.

– Cóż – odezwała się mama od butów z futerkiem. – W każdym razie sędzę, że rada rodziców powinna jakoś odnieść się do problemu. Trzeba rozmawiać o tej sprawie i uważam to za oczywiste, że taka rozmowa należy się również dzieciom.

– Oczywiście – potwierdziła Teal. – Doktor Ridge powinien zwołać apel.

– Może coś mniej formalnego? – zaproponowała inna matka. – To delikatna kwestia.

– Właśnie – poparła ją Hazel.

– Szczerze mówiąc, to zadanie ojca Grega – perorowała kobieta w dziewczęcych butach. – Jest to winien nie tylko swojej parafii, lecz także całej społeczności.

– Ojciec Greg nie odprawił nawet mszy w niedzielę – oznajmiła Hazel. – Zastąpił go ojciec Dooley.

– Dooley? – dopytywała się Teal. – A mówił coś o tej sprawie?

– Proszę cię! – mitygowała koleżankę Hazel.

Próbowała objąć mnie ramieniem, ale cofnąłem się.

– Nie wiem, o czym panie w ogóle mówią – powiedziałem. To nie miało dla mnie najmniejszego sensu. Żadna z nich tam nie bywała. Dlaczego więc nie przestawały gadać? Niektóre nie mieniły się nawet katoliczkami.

Wskazałem na zegar w holu i wyrwałem się z kręgu mam. Podczas gdy rodzice głośno domagali się zebrań i dyskusji, uczniowie prezentowali dokładnie przeciwną postawę. Pokątnie plotkowali tylko o tych spośród nas, którzy byli związani z parafią. Próbowałem unikać tych rozmów w drodze do klasy, zwłaszcza że sporo ludzi wiedziało, że przez ostatnie pół roku byłem wolontariuszem w kościele.

Nick i Dustin wypatrzyli mnie w holu. Dustin gapił się na mnie i wymamrotał coś do swojego kumpla, odwracając się przez ramię. Gdziekolwiek poszedłem, wszędzie wydawało mi się, że ktoś wypowiada moje imię, ale nikt nie zagadywał mnie bezpośrednio.

Pan Weinstein zarządził pracę pisemną, ale spędziłem całą lekcję, gapiąc się w pustą kartkę. Zbyt bałem się wspomnień, które wypływały na powierzchnię. Nauczyciel siedział z rękami założonymi za głowę, tak samo jak ksiądz Greg zwykł robić w swoim gabinecie. Przypomniała mi się pogawędka z księdzem na początku mojej pracy. Pokazywał mi zdjęcia, które zamierzał wykorzystać podczas zbiórki pieniędzy. Zobaczyłem dzieciaki w szkolnej sali zgłaszające się na wyścigi do odpowiedzi. Inna fotografia przedstawiała dwie dziewczyny przed ekranem komputera. Jedna z nich wskazywała na ekran z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie doznała oświecenia. Zdjęć było więcej.

– Wiesz, dlaczego współpracuję z młodymi takimi jak ty? – zapytał mnie ksiądz Greg. – Bo jesteście tacy sami jak te dzieciaki, którym pomagamy. To ważne, żeby młodzi pomagali młodym.

Na kolejnej fotografii zobaczyłem trzech Latynosów w goglach i białych płaszczach laboratoryjnych.

– Pomaganie komuś jest pomocą i dla nas – mówił dalej ksiądz i miał powtórzyć to wiele razy podczas naszej pracy. Łatwo było wierzyć, że i mnie spotka jakaś nagroda. Obiecał mi to w końcu ksiądz Greg i przypominał, że to ewangeliczna prawda. „Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie”¹⁷.

Wierzyłem mu, bo chciałem wierzyć, ale teraz, gapiąc się w pustą kartkę, zastanawiałem się, skąd bierze się wiara. Nie uderza w nas jak piorun, nie zrzuca nas z wierzchowca na ziemię i nie nadaje światu piękniejszych barw. Zaczyna się raczej od pragnienia postrzegania czegoś w konkretnym świetle albo widzenia świata w jakiś szczególny sposób. To pragnienie otwiera wierze drzwi. Dzięki niemu sądzimy, że chmury się rozstępują i to rozstępują się specjalnie dla nas. Potrzebujemy tego przekonania, bo daje nam ono siłę i zachętę do dalszych wysiłków. Wierzyłem księdzu Gregowi. Wiedział, że sam tego chce, i podsycił tę wiarę.

Pan Weinstein poprosił o nasze prace. Oddałem pustą kartkę. Josie obejrzała się na mnie przez ramię.

– Co się stało? – zapytała bezgłośnie.

– Nic – odpowiedziałem.

Nauczyciel uciszył mnie i zaczął swój wykład. Pogrzeżyłem się we własnych myślach. Czy ksiądz Greg oferował mi miłosierdzie? Czy to nie ono miało być zwieńczeniem nauk Jezusa, a miłosierne uczynki nie miały stanowić biletu do nieba? Ale czy wyciąganie ręki do innych w nadziei na nagrodę to dalej miłosierdzie? Czy prawdziwą próbą wiary nie jest miłosierdzie okazane w obliczu nicości? Ale kto by się na to zdobył? Kto nie zadbałby na pierwszym miejscu o własne interesy, gdyby obnażyć przed nim hipokryzję stojącą za miłością i cnotą. Ksiądz Greg używał tych słów tak często, że teraz zdawały się zepsute i niebezpieczne. A jeśli ktoś inny ich używał? Dlaczego nie mógłbym posłużyć się nimi jak groźbą katowskiego topora, by zmusić kogoś, żeby zrobił to, czego pragnę?

Wyszedłem z klasy oszołomiony. Idąc korytarzem na kolejne zajęcia, widziałem, jak inni gapią się na mnie, ale odwracają wzrok, kiedy odpowiadam spojrzeniem w ich stronę. Nikt nie mówił niczego wprost, ale wystarczyła mi sugestia Teal, że ludzie zaczęli gadać o parafii Najdroższej Krwi. Przez cały dzień lękałem się, że wszyscy się dowiedzieli, że gdzieś w gazecie wymieniono moje nazwisko. Może jakiś dziennikarz szukał już potworów i dziwadeł w naszym środowisku. Może ktoś mnie opisał, niczego nie rozumiejąc, i ostrzegwał: „Nie wpuszczajcie go do domów, on roznosi zarazę!”. Ktoś mógł przeczytać ten tekst i dać znać innym. Może zaniepokojeni rodzice zadzwonili już do dyrekcji szkoły i zaraz przez głośniki popłynę ogłoszenie na mój temat. Poproszą mnie do gabinetu pedagoga, a podczas tej ostatniej drogi wszyscy na korytarzu będą mogli bezkarnie pokazywać sobie palcem wybryk natury. Pani Ackerson wyjaśni mi dobitnie, że miejsce młodzieńców takich jak ja jest w Bullington, gdzie zajmą się mną specjaliści. W drodze wyjątku załatwią mi natychmiastowe przeniesienie, jeszcze przed obiadem. Zadzwonią nawet po taksówkę.

Nie mogłem rozmawiać teraz z Josie i Sophie. Nie chciałem, żeby zadawały mi pytania. Chciałem znów znaleźć się w małym domku przy basenie, podawać dym z ust do ust i zatracić

się w przyjemnej ociążałości. Od tamtych chwil minęły jednak całe wieki. Teraz w dodatku niepokoiłem się o Marka. Nie widziałem go w szkole, a po trzeciej lekcji nabrałem pewności, że dziś się nie pojawi. Trochę mi ulżyło. Nie rozmawialiśmy ze sobą od wydarzeń na dachu szkoły i nie byłem pewien, jak postąpi. W końcu mówił, że ludzie muszą się dowiedzieć.

Zwolniłem się z chemii i zszedłem do łazienki na środkowej kondygnacji, gdzie nikt nie powinien mnie niepokoić. Zwymiotowałem. Poczuję się nieco lepiej, ale poczekałem, aż lekcja się skończy, zanim wróciłem na górę po plecak i książki. Nie poszedłem na obiad. Zaszyłem się w kabinie ubikacji na drugim piętrze, usiłując wziąć się w garść. Pot spływał mi po karku. Miałem mokry kołnierzyk. Poluzowałem węzeł krawata i ochlapałem twarz zimną wodą. Zmoczyłem włosy i mogłem je teraz zaczesać grubymi pasmami do tyłu jak jakiś gangster. Skrzywiłem się, widząc własne odbicie w lustrze. Chciałem uderzyć w nie pięścią. Zamiast tego oderwałem metalową klamerkę od jednego z moich piór i zarysowałem nią szkło. Teraz białe rysy przecinały moje czoło, policzki i żółknącego siniaka pod okiem.

Kiedy zadzwonił dzwonek, osuszyłem włosy papierowymi ręcznikami i pomaszerowałem do klasy. Czułem się lepiej. „Uda mi się”, powtarzałem w myślach. Nikt nie miał się dowiedzieć.

Zadzwoniłem po samochód i wymknąłem się ze szkoły przed ogłoszeniami na koniec dnia. Udawałem snoba i całkowicie ignorowałem kierowcę, siedząc na tylnej kanapie. Śnieg na ulicach zdążył już stopnieć i miasto nabrało koloru zębów nałogowego palacza. Kiedy tylko miną ostatnie chłody, w domach podniosą się żaluzje, lód wytopi się z ostatnich szczelin, a ziemia rozmięknie i łatwo będzie wbić w nią łopatę, na ulicach zacznie się ruch. Firmy ogrodnicze, malarze i drogowcy od łatania dziur wyroją się dookoła. Z chirurgiczną precyzją przywrócą ogrodom barwy, tchną życie w trawniki, wygładzą asfalt, a domy pokryje warstwa farby równie świeżej jak kwiaty na podjazdach. Wszystkie symptomy rozkładu znikną. Dlaczego nikt nie mógł zadbać tak o mnie?

Wróciłem do domu dużo wcześniej niż zazwyczaj, zdziwiłem się więc, słysząc z kuchni włączone radio i głos mamy. Jeszcze zanim zdjąłem płaszcz, poczułem tytoniowy dym.

– Aidan! – zawołała matka, kiedy szedłem do biblioteki. – Chodź tutaj!

Siedziała przy stole, gdzie jadaliliśmy śniadania. Obok niej leżała dymiąca popielniczka. Poderwała się na nogi, kiedy pojawiłem się w kuchni. Wciąż miała na sobie ciuchy do porannych ćwiczeń. Z niedokładnie związanego kucyka wystawały kosmyki włosów. Stanęła ze złączonymi dłońmi, potem machnęła, bym podszedł bliżej, i znów przyjęła poprzednią postawę.

– Chodź tu, proszę.

Zawahałem się.

– Te wszystkie historie o kościołach... – ciągnęła. Nie ruszyła się z miejsca, ale jej nogi lekko drżały, jakby była gotowa zerwać się do biegu. Usiadłem przy blacie. Wołałem trzymać dystans. Zmusiłem się, żeby zapanować nad sobą, ale gdyby teraz podeszła i mnie objęła, chyba bym nie wytrzymał.

Matka usiadła na krześle.

– Uwierz mi, zmartwiłam się tym bardzo. Przecież ty udzielałeś się w parafii.

– W szkole też o tym mówią – powiedziałem wolno. Wyprostowałem się. Nie pozwalałem jej zajrzeć mi w oczy. Uznałem, że rozmowa pójdzie łatwiej, jeśli skupię się na matce. Byłem przyzwyczajony do okłamywania jej, mniej do oszukiwania siebie. – W parafii Najdroższej Krwi do niczego nie doszło. Nie wtedy, kiedy tam pracowałem.

– Jesteś pewien? – zapytała. – Zadzwoniła do mnie Hazel. Pamiętasz ją? Pojawiły się plotki.

– Plotki – powtórzyłem, spoglądając na matkę. Strach w oczach przydawał jej uroku niewinności, którą trzeba chronić. Jej spojrzenie wyrażało błaganie o pomoc. Dobrze je znałem i przymus ocalenia mamy zdawał mi się tym silniejszy. – To tylko insynuacje – kontynuowałem. Mówiłem tak wolno, jak potrafiłem, starając się sprawiać wrażenie spokojnego. – To nieuprzejme. Napastliwe. Ci, którzy to rozpowiadają, nawet tam nie pracowali. Ja owszem.

– Aidan, proszę cię. Czy jesteś pewien? To poważna sprawa.

– Ja też mówię poważnie. Do niczego nie dochodziło.

– Wszystkie gazety o tym piszą. To zatacza coraz szersze kręgi. Skala jest ogromna. Ludzie będą składać pozwy zbiorowe. W każdym razie powinni.

– W każdym razie ja nic nie dostrzegłem – powtórzyłem. – Mam już dosyć tej sprawy.

– Kimkolwiek by byli winni, trzeba ich osądzić jak każdego innego obywatela – mówiła dalej. – Nie chodzi tylko o tych, którzy molestowali. A co z ich poplecznikami? To dopiero sukinsyny. – Matka podeszła bliżej i przytuliła mnie. Położyłem jej głowę na piersi, żeby nie musieć na nią patrzeć. Nie wiedziałem, czy na długo starczy mi opanowania.

– Wszyscy mnie o to nagabują, jakbym był czemuś winien. Przecież nic nie zrobiłem – wymamrotałem. – Pracowałem tam i odszedłem. O czym tu mówić?

Tuliła mnie dłuższą chwilę. Nie wrywałem się. Milczałem. W końcu odetchnęła głęboko.

– Wierzę ci – powiedziała. – Wierzę ci i nie musimy już o tym rozmawiać. Tak się martwiłam, że ta sprawa dotyczy również nas.

Milczeliśmy dalej. Przycisnęła mnie do siebie. Wstrzymałem oddech, powoli wypuszczając powietrze. Oswobodziła mnie, ale nigdzie nie poszła. Naprawdę byłem na skraju wytrzymałości i miałem nadzieję, że tego nie widzi.

– Jeszcze jedno, Aidan. Wiem, że sam już to powiedziałaś, ale nigdy więcej nie pójdziesz do tamtego kościoła. Ani ty, ani ja. Nie byłam gotowa na coś takiego. Moja noga więcej tam nie postanie. Ta cała organizacja... Nic z tego nie rozumiem. – Mówiła coraz ciszej, jakby odpływała gdzieś myślami. – Jednak mogło być gorzej – stwierdziła, wracając do stołu, żeby zapalić kolejnego papierosa. – Wszystko wyglądałoby inaczej, gdybyśmy padli ofiarą. – Zaciągnęła się papierosem i wydmuchała dym, nie patrząc na mnie. – Ale nie padliśmy. To się teraz liczy.

– Racja – powiedziałem. – Otóż to. – Wcale się nie uspokoilem. Doświadczałem dziwnego odrętwienia.

Poszedłem na górę do mojego pokoju. Wyciągnąłem książki z plecaka i usiadłem przy biurku, jednak nie potrafiłem przebrnąć przez zadania z geometrii. Znałem twierdzenia, ale nie mogłem ich sobie przypomnieć. Wydawało mi się, że matematyczne regułki są szyderstwem z moich problemów. Wypisane w nich linijka po linijce prawdy sugerowały, że wszystko jest proste, że trzymanie się zasad prowadzi do poznania odpowiedzi. Wydawało mi się, że zza narysowanych na stronach podręcznika figur spoglądają na mnie przymrużone oczy. Żądały, żebym wszystko wyjaśnił, ale co jeśli poprawne odpowiedzi nie istniały? Co jeśli brakowało danych, jeśli panował taki brud i bałagan, że nie było sposobu na wyjaśnienie? Właśnie dlatego artykuł z gazety był tak kłamiwy. Wcale nie tak łatwo streścić całą historię w kilku akapitach ułożonych zgodnie z dziennikarską zasadą odwróconej piramidy.

Spróbowałem zabrać się do pracy domowej z literatury, ale nie poszło mi to lepiej. Nie mogłem zapamiętać poszczególnych zdań z książki, więc czytałem je bezskutecznie w kółko. Pan Weinstein potrząsał podręcznikiem nad głową, kiedy nikt z klasy nie potrafił odpowiedzieć na jego pytanie. „Odpowiedzi są tutaj! Nie czytaliście tego wiersza? Odpowiedź leży tuż przed

wami. Jeżeli marzy wam się podchodzenie do egzaminów, macie wykuć tę książkę na blachę!” Rzuciłem podręcznikiem w regał po drugiej stronie pokoju. Patrzyłem, jak z półek stacza się papierowa lawina. Pudełko po cygarach Seniora upadło na podłogę.

Wysypały się z niego różne szpargały. Śnieżna kula nie rozbiła się, ale potoczyła w stronę łóżka. Białe płatki wirowały w środku, a śnieżycy ta odbijała się w błyszczącej nodze łóżka. Poderwałem się na nogi i cisnąłem kulę na podłogę, zanim zdałem sobie sprawę z tego, co robię. Szkło rozprysnęło się na kawałki. „Magia Rejkiawiku” – głosił napis na podstawie. Uwolniona ze szklanego zamknięcia magia okazała się tylko mokrą plamą na dywanie. Migoczący niegdyś śnieg przeobraził się w szary, nijaki pył. Chodziłem wte i wewte po pokoju. Wszystkie przedmioty dookoła potrafiłbym zniszczyć. Klawiaturę i stojak do nut dałoby się połamać o nogę łóżka. Fotografia dwóch kobiet na moście Brooklińskim spłonęłaby od jednej zapałki. Wyblakłe, stare wydanie *Frankensteina*, które leżało na podłodze, łatwo było podrzeć i wyrzucić przez okno, by spadało na dół jak pył z przestworzy. Pokój nie był już bezpiecznym miejscem.

Mama zawołała mnie z holu, a chwilę później pukała już do moich drzwi. Weszła do środka, zanim cokolwiek odpowiedziałem.

- Co się stało? Słyszałam huk.
- Próbowałem przesunąć regał bez opróżniania półek.
- Co? – pytając, wzięła się pod boki.
- Chciałem mieć więcej miejsca przy fotelu, żeby zmieścić się tam podnózek.

Mama wyglądała na wyczerpaną. Postarzała się nagle. Zdałem sobie sprawę, że nie ma na sobie makijażu. Westchnęła.

- Nic ci nie jest?
- Nie.

– Przecież mogę ci pomóc, Aidan. Możesz poprosić o pomoc. – Po chwili na jej wargi wrócił uśmiech. – Poza tym, dobrze wiem, jak to jest poczuć się zdradzoną.

– Pewnie. – Zawahałem się. – Po prostu... Mam wrażenie, że mnie oszukano. Tyle dla nich zrobiłem. Tak wiele pracy, a tu same kłamstwa... Nie wiem, co myśleć. – Musiałem przerwać, zanim powiedziałbym za dużo. Czuję się, jakbym powstrzymywał wymioty.

– Wiem, kochanie. Wiem. Jestem tu, żeby ci pomóc. – Uśmiechnęła się do mnie. – Może zamówimy dziś pizzę i obejrzymy razem film? Masz jakieś prace domowe? Możemy tak zrobić?

- Chętnie – odpowiedziałem. – I tak nie mam siły na nic innego.
- Ja też nie.

Powiedziałem jej, że najpierw uprzątnę bałagan, a potem zejdę na dół, żebyśmy razem wybrali pizzę i film. Większość pamiątek, które Senior przywiózł mi z podróży, wyrzuciłem do śmieci. Po co miałbym je trzymać? Potem zaszyliśmy się w łóżku mamy. Na stoliku położyliśmy pudełko z pizzą ze szpinakiem i oliwkami. Obejrzelismy trzy odcinki serialu. Byłem rozczarowany, bo nie zmierzały one do żadnego zakończenia. Każdy zostawiał nas w stanie zawieszenia – wiedzieliśmy, że coś będzie dalej, ale że i tak nie dowiemy się, jaki będzie finał. Gdy wstałem, żeby pójść do siebie, mama chwyciła mnie za rękę.

– Kiedy wcześniej rozmawialiśmy ze sobą, mówiłam szczerze – powiedziała. – Najlepiej będzie, jeśli ci uwierzę bez żadnych zastrzeżeń. Muszę. Mogę ci ufać, prawda?

- Tak – odparłem. – Zaufaj mi. Uwierz.

Jeśli sam miałem uwierzyć w swoją wersję wydarzeń, musiałem konsekwentnie chodzić do szkoły. We wtorek nie opuściłem żadnej lekcji i uważałem na każdym zajęciach. Pan Weinstein ani razu nie wywołał mnie do odpowiedzi, a pani Martelli nie odezwała się ani słowem, kiedy okazało się, że nie mam zadania z geometrii. Jakoś dawałem radę, a przynajmniej tak sobie powtarzałem. Dało się. Mogłem się prześlizgnąć. Podejrzenia wobec mnie lub kogokolwiek innego związane z parafią Najdroższej Krwi miały się wkrótce rozwiązać. Wszyscy powinni szybko wrócić do codziennej rutyny. Przecież tak najlepiej przewyciężyć strach przenikający cały naród. Robić dalej to, co się robiło. Dalej jeździć autem, chodzić na zakupy, wybrać się do kina i na Broadway. Włączyć i wyłączyć się zarazem.

Było coś mechanicznego w moim chodzie, kiedy maszerowałem korytarzami z sali do sali. Ruchy były automatyczne, wykonywałem je, bo musiałem przemieścić się pomiędzy dwoma punktami. Popadłem w takie otępienie, że pod koniec dnia niemal wpadłem na Josie.

– Cześć – powiedziała. – Cały dzień jesteś taki milczący. Co to, zgrywasz teraz niedostępnego?

Zaśmiałem się niezręcznie.

– Możemy się przejść we dwoje? – zapytała.

Po ogłoszeniach na koniec dnia poszliśmy do Blueberry Hill Café. Kolejka do lady nie była długa. Zamówiłem kawę z mlekiem i ciastka. Josie znalazła nam stolik z tyłu, na który polowali zawsze nastoletni goście kawiarni, starając się usiąść jak najdalej od drzwi. Stolik był mały i ledwo mieściły się przy nim dwa metalowe krzesła. Josie usadowiła się tak, by widzieć wnętrze knajpki.

Przyniosłem tacę z naszym zamówieniem i siadłem naprzeciwko niej.

– Słuchaj, gadałeś może z Markiem? – zagadnęła mnie.

Powiedziałem, że nie widziałem się z nim jakiś czas. Zdziwiła się.

– No raczej, że się nie widziałeś! Przecież od dwóch dni nie było go w szkole. Próbowалам się do niego dodzwonić, ale nikt nie podnosi słuchawki.

– Jasne, rozumiem – odpowiedziałem. – Po prostu się o niego nie martwię. Cały weekend miał szlaban. Może rozchorował się w domu.

Napiąłem wszystkie mięśnie, żeby nie dać nic po sobie poznać, ale i tak ciągnęło mnie na wymioty. Nie chciałem myśleć o przyczynach zniknięcia Marka, ale nie mogłem też się powstrzymać.

– Nie opuścił szkoły od dwóch lat – dodała Josie. Udałem zaskoczenie, lecz ona nie poprzestała na tym. – Wszystkim teraz odbija. Gdyby Mark siedział z nami, zapaliłby bongo i zapomnielibyśmy o sprawie. Ale go nie ma. Cieszę się, że siedzimy tu teraz we dwoje – powiedziała – ale to dziwne, że nie przyszedł do szkoły. Dzieje się sporo niesamowitych rzeczy. Przez ten skandal z kościołami wszystko stanęło na głowie.

– Możemy o tym nie mówić?

- Trudno jest milczeć. Zwłaszcza że ludzie gadają, że coś było na rzeczy w naszej parafii.
- Proszę cię – przerwałem jej. – To brednie. Ludzie plotkują, bo to lubią.

Mówiłem do Josie, ale nie patrzyłem na nią. Wpatrywałem się w lustro za jej plecami. W ten sposób widziałem wnętrze kawiarni, będąc do niego obrócony tyłem. Lustro zajmowało niemal całą ścianę i optycznie powiększało knajpkę dwa razy. W Blueberry Hill panował tłok przez cały dzień aż do wieczora. Jak zwykle we wnętrzu stało kilka wózków spacerowych. Większość gości stanowiły kobiety, choć znalazło się też paru facetów. Kawiarniany tłum stanowił dowód na to, że aby wyżyć w naszym mieście, niekoniecznie trzeba zasuwać na dwa etaty albo bez przerwy jeździć w delegacje. W jednym z pijących kawę rozpoznałem ojca udzielającego się w radzie rodziców. Jak zwykle był ubrany w grubą flanelową koszulę. Dwa górne guziki były rozpięte. Wiele matek mówiło, że jest bardzo przystojny, ale nie wyglądał mi na flirciarza. W każdym razie nie wtedy, gdy go widywałem.

Kiedy wchodziliśmy do kawiarni, czytał gazetę, siedząc samotnie przy stoliku. Koło niego leżały resztki podłużnej kanapki. Miał zmarszczki pod oczami. Przez siwiejącą gęstą brodę mężczyzny przebijał uśmiech. Przewracał strony gazety i od czasu do czasu kręcił głową w geście łagodnego niedowierzania. Patrząc na niego, myślałem, że właśnie kimś takim chciałbym zostać. Nie chodziło mi o jego pracę – nie miałem pojęcia, jak zarabia na życie, ale o spokój, jaki promieniował od niego. Jednak spokój ten nie trwał wiecznie. Jak zaczęliśmy rozmawiać z Josie, zadzwonił dzwonek zawieszony nad drzwiami. Wyraz twarzy brodatego taty zmienił się nie do poznania.

Do kawiarni wszedł ksiądz Dooley. Podpierając się laską, powoli szedł do lady. Kelnerka poprawiła chustkę na głowie i wytarła ręce o fartuch, kiedy się zbliżył. Powiedział coś cicho, niemal szeptem, czując na sobie spojrzenia gości knajpki.

- Mój Boże – Josie nachyliła się do mnie nad stołem – nic dziwnego, że ostatnio ciężko spotkać gdziekolwiek księdza. Chyba nie uchował się żaden niewinny.

- Nieprawda – odpowiedziałem jej cicho.

Chciałem odwrócić wzrok, zamknąć oczy albo uciec tylnymi drzwiami, ale wtedy mężczyzna, którego wcześniej obserwowałem, zamknął gazetę i rzucił ją na stół. Patrzył na księdza, drapiąc się po brodzie. Wcześniej miał nogę założoną na nogę, ale teraz postawił obie stopy na podłodze. Przez chwilę siedział w pozie sportowca na ławce – złączone ręce zwisały mu między kolanami. W końcu wstał i podszedł do duchownego. Przemówił do niego, jednak zbyt cicho, żebyśmy mogli go usłyszeć. Dooley pokręcił głową i coś odpowiedział. Zamienili parę słów, po czym ksiądz ominął mężczyznę i stanął przy drugim końcu lady, gapiąc się na syczący ekspres do kawy.

- Nie udawaj, że nie słyszysz! – zawołał brodac. – Zadałem ci pytanie.

- Proszę cię, Paul – odezwał się oziębło Dooley. – Przyszedłem tu tylko po parę kaw.

- Jesteś przełożonym. Cięży na tobie odpowiedzialność – powiedział Paul.

- Proszę, daj mi spokój. – Ksiądz rozejrzał się dookoła. – To nie miejsce na takie rozmowy.

- Nie waż się mnie zbywać! – krzyknął mężczyzna. – Chodzę do twojego kościoła od ponad dekady. Zasluguję na wyjaśnienia. Posyłałem tam dzieci.

Kelnerka za ladą uwijała się jak w ukropie. Rozlała trochę kawy, kiedy stawiała ją przed księdzem. Wepchnęła kubek do opakowania na wynos.

- To oburzające – perorował Paul.

- Właśnie! – zawtórowała mu kobieta u drzwi. – On ma rację.

Ksiądz Dooley mocno chwycił laskę i postawił ją tuż przy swojej nodze.

– To nie mnie trzeba tu osądzać. Nie traktujcie mnie jak przestępcy. Znajdzie się lepszy czas i miejsce na rozmowę. Cały Kościół zмага się z tą sprawą. Odniesiemy się do zarzutów.

– Mówże jak człowiek, Frank! – Paul aż zatrzęsł się od gniewu. Oparł się o ladę. – Wydaje ci się, że jesteś ponad prawem. Domagamy się odpowiedzi. Greg rozmawiałby z nami. I gdzie, do cholery, on teraz przepadł?

Kobieta siedząca przy stoliku obok Paula wstała i położyła mu rękę na plecach w geście poparcia.

– On ma całkowitą rację! – powiedziała do księdza. – Powinieneś... Powinieneś... się wstydzić. – Zatchnęło ją. – Potwornie wstydzić. W niedzielę milczałeś. Nie słyszałam ani słowa o tej sprawie na mszy.

– Nie jestem dziennikarzem. Nie spekuluję bez powodu i nie podburzam ludzi, żeby wywołać sztuczną histerię.

Ksiądz rozejrzał się po kawiarni, a kiedy nasze oczy się spotkały w lustrze, zamarłem. Wyglądał, jakby wcale nie chciał robić tego, co robił – przekrzykiwać się z tłumem w kawiarni i wymachiwać laską. A jednak tak się właśnie zachowywał. Patrzyliśmy sobie w oczy przez krótką chwilę, a sądząc po tym, jak się trząsł, czuliśmy wtedy dokładnie to samo. Jego wzrok podziałał na mnie niczym ręka zaciśnięta na ramieniu, przyciągająca mnie do niego. Nie umiałem się uwolnić i przeszło mi przez myśl, że ja działałam tak samo na Dooleya. Zapewne bał się mnie bardziej niż Paula. Nic do mnie nie powiedział. Zamiast tego odwrócił się do brodacza.

– Robię, co mogę. Staram się.

– Najwyraźniej to za mało. Histeria to nie wina mediów. Niczego z ciebie nie wyciągnę, co? Gdzie, do jasnej cholery, jest ojciec Greg? On by nie zapomniał języka w gębie. Gdzie on jest?

Dooley zabrał trzy kawy, które zamówił.

– Ojciec Greg jest chory, więc nie będziemy go niepokoić. Nie będzie też odbierał telefonów. Ja będę. Na plebanii. A teraz powinniśmy zająć się istotniejszymi kwestiami i skończyć z tym ujadaniem. – Twarz Dooleya zawsze była niczym wykuta z kamienia, a on sam znany był z surowości. Jednak teraz, kiedy karton z kawami na wynos trząsł mu się w rękach, wydawało się, że zaczyna tracić kontrolę, że jego maska kruszeje.

Paul pchnął go palcem w pierś i pomyślałem, że staruszek się przewróci.

– Jesteś tak samo odpowiedzialny jak cały Kościół – stwierdził. – Tak samo winny. Nie wystarczy dogadać się z przełożonymi. My też zasługujemy na sprawiedliwość.

Ksiądz skinął głową.

– Przykro mi – powiedział i odwrócił się do wyjścia. Wydawało mi się, że wymamrotał: „Panie Boże, proszę”, kiedy otwierał drzwi.

Kobieta stojąca obok Paula poklepała go po plecach. Odskokzyła jednak, kiedy trzasnął ręką w ladę tuż obok kasy.

– Nigdy w życiu nie przekroczę już progu tego kościoła – odgrażał się. – „Udzielanie schronienia przestępcy” – tak się na to mówi wszędzie na świecie.

Kobieta, która klepała Paula po plecach, zaprosiła go do stolika. Przysiadł się do niej i jej koleżanki. Gwar rozmów wypełnił całą knajpkę.

– Uwierzyłybyś, że on tu przyjdzie? – odezwała się do mnie Josie. – Albo jest skończonym durniem, albo nic do niego nie trafia. Tata twierdzi, że to pycha przez nich przemawia. Kardynał jakiś tam też nie może uwierzyć, że zrobił się z tego taki skandal. Myślą, że wszystko

rozejdzie się po kościach. – Spojrzała na mnie, a z troski, która malowała się na jej twarzy, wywnioskowałem, że moje plany walą się w gruzy. – A ty co sądzisz? – zapytała. Czekala, aż coś odpowiem, ale nie mogłem nic z siebie wydusić. – Przecież udzielałeś się w parafii – naciskała. – Serio? Nie masz nic do powiedzenia?

– Szczerze? – wydusiłem w końcu. – Też bym wolał, żeby wszystko rozeszło się po kościach. Możemy porozmawiać o czymś innym?

– Ej, to ty zawsze chcesz gadać o tym, co wyczytałeś w gazetach. A to naprawdę ważna sprawa. Chodzi o dzieciaki.

– No i? Co w tym wyjątkowego? – zapytałem.

Potrząsnęła głową.

– Jak to co? To podwójna zbrodnia. Nie tylko robili komuś krzywdę, ale spieprzyli całą przyszłość. To tak jakby napaść kogoś raz, a potem bić do końca życia.

– Napaść?

– A jak inaczej to nazwać? Ale przynajmniej w tej sprawie jesteśmy w stanie coś zrobić. Co się dzieje z tym światem? Terrorysty przejmują połowę ziemi, ktoś rozsyła węgla do kongresmenów i senatorów, Amerykanie przyłączają się do talibów. To się dzieje naprawdę? A teraz na dodatek księża robią krzywdę dzieciom. Zbliża się koniec świata czy co?

– Tak, to chore – podniosłem głos. – Ale wiesz, ile dobrego kościół zdziałał do tej pory? Ta historia tego nie zmaże.

– Boże, co ty gadasz? Ty ich bronisz? Odezwał się w tobie radykalny katolik, mieszkaniec oblężonej twierdzy? Sprawa jest prosta. Ci faceci są winni. Pomyśl o tych biednych dzieciakach. To nie fair. Musiały przejść przez ten koszmar, a dowiedzieliśmy się o wszystkim tylko dlatego, że zaczęły mówić.

– Może po prostu chciały zwrócić na siebie uwagę? – Roześmiałem się, choć nie mam pojęcia dlaczego. – Może chciały zobaczyć się w wiadomościach?

– To nie jest śmieszne – powiedziała Josie. – Bredzisz jak potłuczony.

– Czego ty ode mnie chcesz? Dlaczego mnie gnębisz?

– Ciebie? – zapytała i zamilkła. Dopięła swoją kawę.

Nie mogłem wymyślić nic rozsądnego, bo każde zdanie, jakie przychodziło mi do głowy, pograżyłoby mnie jeszcze bardziej. Najchętniej uciąłbym sobie język i wysłał go w kopercie do parafii Najdroższej Krwi z dopiskiem: „To do waszej pieprzonej kolekcji”.

– Może po prostu chodźmy do domu – odezwała się w końcu Josie. – Zrobiło się jakoś dziwnie.

– Masz rację – potwierdziłem. – Dziwnie. Po prostu musisz mi zaufać. Uwierz mi, że czuję się zdradzony. Pracowałem tam. Wydawało mi się, że wszystko jest w porządku. A tu taka historia. – Josie słuchała mnie, opierając podbródek na złączonych rękach. Nie odzywała się, kiedy umilkłem. – Przepraszam, że zachowałem się jak dupek – dodałem w końcu. – Chciałbym, żeby wszystko było inaczej. Normalnie.

Wyciągnęła do mnie rękę.

– Nie jesteś dupkiem. Wiele można o tobie powiedzieć, ale na pewno nie to.

Wyszliśmy z kawiarni. Josie zaprowadziła mnie na parking ukryty za rzędem sklepów. Poczulem, jak jej wargi dotykają moich, jak ich nacisk przyciąga mnie do niej. Próbowalem oddać pocałunek, ale to wymagało wysiłku. Napierała na mnie i chociaż za plecami miałem ścianę, jakoś wymykałem się pieszczotom. Spróbowała jeszcze raz.

– Proszę, obejmij mnie – powiedziała. Spełniłem rozkaz. Wcisnęła mi język do ust. Nie dawałem z siebie nic. – Co z tobą? – zapytała. – Nie chcesz?

Całowałem się z nią, ale bez jej zapachu, a w każdym razie nie czułem tego podniecenia, jakie widziałem u niej. Starłem się kopiować jej uśmiechy, każdy grymas twarzy. Byliśmy spleceni w uścisku. Wydawało mi się, że robię to, co trzeba. Naśladowałem ruchy Josie – pocieraliśmy się nosami między jednym a drugim pocałunkiem, nadając pieszczotom rytm. Położyłem dłoń z tyłu jej głowy i dotykałem ucha. Całowałem się według ustalonego schematu: raz, dwa, trzy. Liczyłem kroki, realizowałem plan punkt po punkcie.

Złapała mnie za nadgarstek i poprowadziła moją rękę tak, żeby gładziła bok jej ciała. Kiedy puściła, by pogłaskać mnie po plecach, dalej wykonywałem ten sam ruch. Jednocześnie zapadałem się głębiej siebie. Poczulem nagle, że nie rozumiem, na czym polega pożądanie. Nie wiedziałem, jak je rozpoznać i przeobrazić w dialog z drugą osobą. Nie umiałem rozmawiać przez dotyk, słuchać ani odpowiadać. Jedyne, co znałem, to bycie pożądanym i uległość. Próbowałem głaskać ją w różnych miejscach, ale nie reagowała tak, jak się spodziewałem. Brakowało mi natchnienia, nic nie poruszało mnie od wewnątrz. Josie w końcu wyczuła to albo po prostu straciła cierpliwość. Próbowała kierować moimi rękami. „Dotknij mnie tutaj”. Słuchałem jej, ale za tym posłuszeństwem nie kryło się ani pożądanie, ani strach. Ręce błędziły po jej ciele coraz szybciej i ścisnęły mocniej, ale to już nie były moje ręce. Gdzieś w ciemnej otchłani wewnątrz mnie słyszałem głos księdza Grega, dyszący coś o Bogu, o tym, co w nas jest, i o miłości. Czułem się całkowicie pusty. Nic między nami nigdy nie było – mógłbym powiedzieć w tej chwili. Między nami była nicość.

Jestem pewien, że Josie zdała sobie sprawę, że tuli się do pustki. Spojrzała na mnie strapiionym wzrokiem.

– Co się dzieje? – zapytała. – Jak byś chciał to robić?

– Sam nie wiem. Nie wiem, co robić. Chciałbym wiedzieć, ale nie wiem.

Przez chwilę milczeliśmy.

– Nie wychodzi nam – szepnęła.

– Chociaż powinno – dodałem.

– Przecież mnie pragniesz?

– Pragnę.

Odsunęła się ode mnie.

– Naprawdę? Nie wydaje mi się.

Byłem zbyt skolowany, żeby znaleźć na to jakąkolwiek odpowiedź. Znów przybliżyła się do mnie. Złapała mój płaszcz i pociągnęła mnie ku sobie. Bawiła się ze mną.

– Myślisz, że jestem ładna?

– Pewnie, że tak.

– Nie chodzi o to, żebyś powiedział tylko to. Myślisz, że jestem ładna? – powtórzyła.

– Tak. Pragnę cię. – Nie kłamałem. Chciałem całować jej szyję za każdym razem, kiedy odgarniała włosy na lekcjach z panem Weinsteinem. Była pierwszą dziewczyną, jaką pocałowałem w życiu, ale wolałbym, żeby była pierwszym człowiekiem. Chciałem zmazać moją przeszłość i odzyskać dla niej dziewictwo.

– Pokaż to – powiedziała.

Rozpięła swój płaszcz i pokazała, jak mam ją objąć. Rozsunęła zamek błyskawiczny w moim płaszczu. Przyłgnęła do mnie.

– Jestem tutaj – przemawiała do mnie łagodnie. – Nigdzie się nie wybieram. Nie spiesz się. – Kiedy ją tuliłem i przesunąłem rękami po plecach, poczułem pod palcami zapięcie stanika. Chciałbym wiedzieć, jak go rozpiąć. Jej pieszczoty napływały delikatnymi falami i wywoływały mrowienie w moim ciele.

Staliśmy tak złączeni przez dłuższą chwilę. Przycisnąłem ją do siebie, a jej ruchy stały się bardziej zdecydowane, kiedy poczuła moją erekcję. Wypełniała mnie narkotyczna lekkość. Całowałem mocniej. Ssałem jej dolną wargę. Moje dłonie opadły na jej pośladki. Przycisnąłem ją mocno do siebie. Zachichotała i trwała w tym zbliżeniu przez moment, a ja czułem, jak szybko oddycha.

Wyrwała się w końcu z moich objęć.

– Dobrze, już dobrze. – Zaśmiała się. Moje wnętrzości chwycił nagły skurcz. Trząsałem się cały. Uśmiechnęła się do mnie, choć zachowywała się trochę nerwowo. Miała zaczerwienione policzki. – Szkoda, że już muszę iść.

Uspokoiła się i zażartowała, że na przyszłość musimy być przyzwoitsi. Mieliśmy znaleźć zaciszniejsze miejsce. Coś bardziej intymnego niż śródmiejska uliczka. Zgadzałem się z nią. Powiedziałem, że powinniśmy się spotkać gdzieś, gdzie można usiąść. Teraz czułem nasze pieszczoty w nogach.

– Lepiej znajdziemy miejsce, gdzie można się położyć – odparła. Pocałowała mnie.

– Może teraz? – zapytałem.

– Dobrze. – Wciąż dyszała. Jej nozdrza drgały z każdym oddechem. – Mama ma umówione spotkanie w mieście. Chodź ze mną. Postaram się, żeby Ruby cię nie zauważyła.

Poszliśmy do niej tą samą drogą, jaką przemierzaliśmy w nasz dzień pocałunków. Tym razem jednak bardziej się spieszyliśmy. Zatrzymaliśmy się tylko po to, by nasze wargi spotkały się na moment. Josie zaraz chwyciła mnie za dłoń i ciągnęła dalej. Nie rozmawialiśmy wiele. W końcu doszliśmy do domu. Chciałem zobaczyć, czy skorupa lodu zachowała się na korze wiązu przed podjazdem. Chciałem sprawdzić, jak wygląda nasze wspólne odbicie, ale lód już stopniał.

Josie raz po raz stawiała na palcach i opadała z powrotem na ziemię, kiedy objaśniała mi swój plan. Postąpiłem tak, jak kazała. Kiedy zamknęły się za nią drzwi domu, pomknąłem za dom jej sąsiadów i skręciłem za nim. Przeskoczyłem niski kamienny murek i przebiegłem przez podwórko do kępy drzew tuż przy granicy działek. Kucnąłem, kryjąc się za roslącym wiązem. Wkrótce Josie wyszła tylnymi drzwiami i poszła do domku przy basenie. Niosła przewieszony przez ramię plecak. Przebrała się w jaskrawe różowe spodnie od dresu i kurtkę, która ciasno opinała ją w pasie. Kaptur obszyty był futerkiem. Odczekałem minutę, po czym podbiegłem do bocznych drzwi domku.

Josie otworzyła, kiedy tylko zapukałem.

– Myślałam już, że się zgubiłeś. – Powitała mnie pocałunkiem. Przygotowała nam przy barze gorącą czekoladę, którą doprawiła likierem kahlúa. Siedliśmy na kanapie, sącząc nasze drinki.

Rozmowa prędko się urwała. Jej usta błędziły po moim karku. Odłożyłem kubek, żeby nie oblać nas jego zawartością. Udało nam się ponownie obudzić pożądanie i złączyliśmy się w uścisku. Sięgnęła do tyłu i pomogła mi rozprawić się ze stanikiem. Rozpięła mi spodnie i zapuściła się do wnętrza moich bokserów. Jej mała dłoń pochwyciła moją. Przyciskała rytmicznie moją rękę do swojego brzucha. Popłynął przeze mnie prąd. I wtedy usłyszałem, jak mamrocze, że spodoba jej się to i że będzie przyjemnie. Słowa nie były moje. Wystrzeliły

z ciemności w moim wnętrzu. Sączyłem je do ucha Josie, wkładając rękę w jej spodnie i mocniej na nią napierając. Uciekła biodrami, ale ja naciskałem coraz bardziej.

Puściła mnie i próbowała wydostać się z uścisku, ale leżała już pode mną.

– Proszę! – powiedziała. Nie powstrzymała mnie. – Nie – zaprotestowała jeszcze raz.

– Nie? – powtórzyłem i zasyczałem, próbując ją uciszyć.

– Przestań.

– Nie.

– Au! Co ty odpierdalasz? Przestań! – Uderzyła mnie w ramię. Odchyliłem się w tył, a ona podniosła się na kolana, zrzucając mnie z siebie. Podciągnęła spodnie i zwinęła się w kulkę w rogu kanapy. Patrzyła na mnie znad linii kolan. Serce tłukło mi się boleśnie w piersi. Spojrzałem na swoje dłonie. Trzęsły się, tak jak całe ciało. Czuję, jakby nie należało do mnie. Kiedy podciągnąłem spodnie, poczułem znajome odrętwienie.

– Pojebało cię? – Usłyszałem głos Josie. – Zrobiłeś mi krzywdę.

– Nie.

– Co niby „nie”? Właśnie, że tak. Krzywdę.

– Nie. To znaczy... nie chciałem.

Gardło mi się ścisnęło. Przelykałem łyżę. Podciągnąłem nogi pod brodę tak samo jak Josie. Telewizor był wyłączony i nasze sylwetki odbijały się w wielkim szarym ekranie.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło. To nie byłem ja. Przepraszam.

Josie milczała chwilę.

– Ty naprawdę masz jakiś przejebany problem ze sobą – odezwała się w końcu.

– Nie mam. Przecież chciałem to z tobą robić.

– To teraz nie będziemy nic ze sobą robić.

– Przepraszam. Nie chciałem cię zranić. Nie wiem, co się stało.

– Co jest z tobą? – zapytała.

– Nie wiem – odparłem i wbiłem wzrok w podłogę. Chciałem odpowiedzieć inaczej, ale jak miałbym zacząć. Nachyliłem się ku niej. Musiała pomyśleć, że chcę ją pocałować, bo poderwała się z miejsca i podeszła do baru. Nalała sobie wody.

– Mówię poważnie. Coś jest naprawdę nie tak. – Jej ton się zmienił. To nie były już pytania.

Pociągała wolno łyki ze szklanki i czekała na moją reakcję. Zastanawiałem się, na kogo teraz przed nią wyszedłem. Wciąż czekała.

– Sądzę, że na tym powinniśmy skończyć.

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz?

– Chcę tego. Chcę, żeby między nami się układało. Dlaczego nie wychodzi?

– Nie chodzi tylko o to, czego ty chcesz. Ja też mam coś do powiedzenia. A ja mówię teraz kurewsko dobitne „nie”. – Odłożyła szklankę i objęła się ramionami, jakby było jej zimno. Na jej twarzy malował się niepokój. – Zataiłeś coś przede mną – powiedziała. Nie mogłem tego słuchać. Zapadłem się w siebie. Skupienie było poza moim zasięgiem. Czuję się pusty, a jednocześnie nie było we mnie miejsca już na nic. – Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Nie wiem. Po prostu nie chcę, żebyś myślała, że mnie nie kręcisz. To nieprawda. Pragnę cię. Nie wiem, dlaczego tak się zachowuję.

Josie pokręciła głową. Jej oczy były smutne i wystraszone, ale zdobyła się na uśmiech.

– Nie o to mi chodziło. I nie chcę być wredna. Po prostu pytam. Czy jest coś, o czym

powinam wiedzieć? Czy jeśli mi o tym powiesz, to jakoś pomoże? – Kiedy tak stała z założonymi rękami i lekko przekrzywioną głową, wyglądała na bardzo odważną. Zazdrościłem jej i coś we mnie pękło. Podeszedłem do baru.

– Po prostu przestań! – wrzasnąłem. – Dlaczego wszyscy muszą drażnić? Dlaczego miałbym o czymkolwiek mówić?

Oparła się o półkę zastawioną butelkami.

– Po prostu staram się zrozumieć, o co chodzi.

– Po prostu jestem pojebany. Pasuje? – Chwyciłem za barowy stołek i nachyliłem się do przodu. – Nie może tak zostać? Dlaczego musimy wszystko wyjaśniać?

– Boję się ciebie. Proszę, nie wrzeszcz na mnie. – Nie ruszyła się zza kontuaru, ale teraz słowa padały z większą mocą. – Posłuchaj sam siebie. Spójrz na siebie. Odbija ci.

– Nie odbija mi.

– Masz stąd wyjść. Skrzywdziłeś mnie, a teraz cholernie się ciebie boję. Nie jesteś tym, za kogo cię miałam. Wynoś się z mojego domu. Natychmiast.

Odwrociłem wzrok. Wciąż opierałem się o stołek. Nie byłem w stanie mówić. Przytrzymałem się baru. Żadne słowa nie przychodziły mi na myśl.

– Idź stąd – powtórzyła. – Wynoś się.

Nie ruszyła się zza kontuaru, kiedy wkładałem płaszcz i szedłem do wyjścia. Wracając do domu, próbowałem sobie wmówić, że bałem się równie mocno jak ona, ale sam w to nie wierzyłem. Traciłem wszystko, co udało mi się zdobyć. Musiałem lepiej się kontrolować. Potrzebowałem planu, który pozwoliłby mi uniknąć takich wpadek jak ta, która przydarzyła mi się z Josie. Chciałem odzyskać swoje życie, ale nie potrafiłem. Myślałem o Marku. Jaką przemianę ujrzał na mojej twarzy, kiedy próbował porozmawiać ze mną na dachu szkoły? Kogo zobaczył?

Tej nocy, zanim udało mi się zasnąć, w mojej głowie ścierały się dwa głosy. Byłem niemal pewien, że w pokoju jest ktoś oprócz mnie, bo brzmiało to jak starcie dwóch różnych ludzi. Pierwszy głos namawiał mnie, żebym porozmawiał z Markiem. Drugi, szczekliwy, wydawał znane mi, stare rozkazy: „Zamknij się i siedź cicho”. Bałem się, że naprawdę ktoś się do mnie zakradł. Chciałem zapalić światło i upewnić się, czy jestem tu sam. Ten drugi mógł siedzieć w fotelu albo czaić się w nogach łóżka. Może czekał cierpliwie, aż otworzę szafę, żeby powiedzieć mi w twarz: „Ha! Mam cię! Nie będziesz krył się wiecznie, gnoju”. Zapaliłem lampkę do czytania i szybko rozejrzałem się dookoła. Głowa mi pulsowała. Wstałem, podeszedłem do szafy i kątem oka zauważyłem za oknem bladego, przerażonego chłopaka. Krzyknąłem. W słabym świetle nie widziałem twarzy, ale było to tylko moje odbicie. Sylwetka była spięta i przykurczona w oczekiwaniu ataku. Gapiłem się na to, co uznawałem za własny obraz, przez dłuższy czas. Widmowa, goła pierś wznosiła się i opadała, kiedy próbowałem złapać oddech.

Usiadłem na łóżku, podciągając nogi pod siebie. Oparty o ścianę trząśłem się i jęczałem. Nie było szans, żebym zasnął. Czuję się, jakbym spadał gdzieś w dół, i nie wiedziałem, jak ten upadek się zakończy. Czy stałem się taki z własnej woli? Nienawidziłem samego siebie. Nie chciałem postąpić z Markiem tak strasznie. Był moim przyjacielem. Wiedziałem, czego potrzebował – chciał, żebym go wysłuchał. Chciał, żebym ujrzał wszystko. Żebym zrozumiał, co czuje. Zdałem sobie sprawę, że ja chciałem tego samego. Czy nie każdy tego pragnie? I czy nie każdy na to zasługuje w szczerzej relacji z drugim człowiekiem?

Zyskałem kolejny powód, by nienawidzić księdza Grega. Josie miała rację. Nie tylko

krzywdził dzieci, wypaczał także mężczyzn, jakimi mieliśmy się stać – zatruwał w nas przyszłych przyjaciół i kochanków. Choć nie był przy mnie już obecny fizycznie, wciąż towarzyszył mi w jakiś tajemniczy sposób. Dalej domagał się mojego oddania. Cóż za religię stworzył? Jej przykazanie brzmiało: „Skoro we mnie nie wierzysz, bój się mnie”.

Po przebudzeniu, gdy szykowałem się do szkoły, nerwy przyprawiły mnie o mdłości. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, ale gdy wyrząłem przez okno jadalni i zobaczyłem zaparkowany samochód Eleny, wstąpiła we mnie nadzieja. Nie wiedziałem, jak dawno przyjechała, ale wiedziałem, że pojawiła się, żeby zabrać swoje rzeczy. Światło z okna jej kwatery padało prosto w szary, ponury poranek. Sylwetka Latynoski pojawiała się i niknęła mi z oczu, kiedy szedłem kamienną ścieżką do garażu. Bagażnik jej auta był otwarty. Stałem przy wozie, czekając na nią.

Chwilę później zeszła ze schodów. Niosła naręczę ubrań i marynarski worek. Zatrzymała się na mój widok. Zobaczyłem, jak się uśmiecha.

– *M'ijo*. – Niezręcznie się objęliśmy. Gestem wskazała samochód. Pomogłem wrzucić jej ciuchy na tylne siedzenie.

Wszedłem za nią po schodach do jej mieszkanek. W środku wspólnie pakowaliśmy oprawione zdjęcia i książki do pudełek.

– Co u nich słyhać? – zapytałem, trzymając w rękę fotografię Candida i Teresy. Na zdjęciu dziewczyna śmiała się, ale do tej pory pamiętałem złość w jej oczach, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

– Mogą się mną nacieszyć. Tere zostaje ze mną w domu codziennie po szkole. Szykuje dziś kolację dla nas wszystkich.

– Musisz się rozglądnać za kolejną pracę?

– Wkrótce.

Podala mi swoją Biblię, żebym spakował ją do pudła. Wpatrywałem się przez chwilę w książkę.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Nic nie dzieje się bez powodu, prawda?

Stała teraz po drugiej stronie łóżka. Chciałem ją przytulić, ale odeszła za daleko. Popatrywała przez okno w stronę domu.

– Posłuchaj, możemy teraz rozmawiać. Mama nie może nam przeszkodzić.

Elena westchnęła.

– Muszę się wkrótce wynosić. – Powstrzymywała się od łez. – To dla mnie trudne patrzeć teraz na ciebie, *m'ijo*. Ja też cię przepraszam – powiedziała. – Będę tęsknić.

Podszedłem do niej i przytuliła mnie. Po chwili jednak odsunęła się i zaczęła pakować ostatnie przybory toaletowe z szafki.

– Teraz sporo dzieje się w twoim życiu, prawda?

– Sporo się zmienia – odpowiedziałem. Zdjąłem krzyż ze ściany nad łóżkiem. – Czuję, że stałem się innym człowiekiem.

Pakowała się w pośpiechu, obrócona do mnie plecami.

– Jest tyle spraw, o których chciałbym z tobą porozmawiać. O niektórych z nich powinienem

był powiedzieć wcześniej. – Mój głos zadrżał, ledwo wyrzuciłem to z siebie.

Nie odwróciła się do mnie.

– Bóg nad nami czuwa. O tym tylko musisz pamiętać. Ja z Bożą pomocą znajdę nową pracę, a ty dorosisz, dostaniesz się do dobrego koledżu i wyjedziesz z domu.

Kiedy spakowała pudełko, odwróciła się wreszcie do mnie. Stałem przed nią, trzymając w ręce krzyż.

– Czytałaś ostatnio gazety? – zapytałem. Zignorowała mnie. Zabrała mi krzyż i wrzuciła go do pudełka na łóżku. Spod łóżka wyciągnęła parę butów. – Elena, dlaczego się odwracasz?

– *M'ijo* – odezwała się w końcu. Przestała się niespokojnie wiercić. – Nie chcę rozmawiać na ten temat.

– Ale ja muszę.

– Nie. Nie ze mną – powiedziała. – Musisz iść z tym do księdza. Do ojca Dooleya. Pamiętasz?

– Do jednego z nich?

– Codziennie modliłam się w kościele. – Stała przede mną sztywno, sapiąc przez nos. – Bóg wie wszystko najlepiej. Pokładam w nim moją wiarę.

Dygotałem przed nią. Oblał mnie pot.

– Nie wiem, co mam robić. Muszę komuś powiedzieć coś o ojcu Gregu.

Elena przerwała mi uniesieniem palca.

– Nie, *m'ijo*. Musisz porozmawiać z innym księdzem. Nie ze mną.

– Proszę. Potrzebuję, żebyś mnie wysłuchała. – Zbliżyłem się do niej, lecz wyciągnęła rękę w obronnym geście. Chwyciła leżące na łóżku pudełko i trzymała je przed sobą.

– Nie. Nie mogę. Modliłam się i to wszystko, co potrafię zrobić. Modliłam się i będę się modlić. Nie sądziłam, że dziś cię spotkam. Nie mogę cię wysłuchać.

Odwróciła się do drzwi.

– Co powiedziałaś? – krzyknąłem za nią.

Znów zwróciła się twarzą do mnie.

– Musisz porozmawiać z kimś z Kościoła. Dla mnie to też jest próba. Trzeba się nauczyć godzić z niektórymi sprawami. Tak mi powiedział mój ksiądz. Niektóre jabłka są robaczywe, ale to nie znaczy, że cała skrzynka jest zepsuta. – Podeszła do wyjścia. – Proszę cię. Muszę już iść. Nie dam rady.

Podbiegłem do niej i chwyciłem ją za rękę. Krzyknęła.

– Wiedziałaś? – zapytałem. Wyzwoliliła się z uścisku, ale znów ją złapałem. – Powiedz, czy wiedziałaś.

Milczała przez chwilę.

– Prałam twoje ubrania. Patrzyłam, jak odwozi cię do domu. Widziałam, jak na niego patrzysz. To nie było w porządku. Ale nie przerwałeś tego, *m'ijo*. Zostałeś przy nim. Bóg dopuszcza wszystko z jakiejś przyczyny. Wierzę w Niego. Zawsze będę.

Pospiesznie zeszła na podjazd. Stałem na podeście w połowie schodów. Kiedy wrzucała swoje pudła do bagażnika auta, rozplakałem się. Podeszła z powrotem pod schody i patrzyła na mnie.

– Proszę cię, *m'ijo*. Ojciec Dooley ci pomoże. Idź z nim porozmawiać.

Niewiele widziałem przez łzy. Zrobiłem krok w dół i oparłem się o poręcz.

– Ciągle mi to powtarzałaś: „Idź do kościoła”.

– Nie – podniosła głos. – Nie. Dla mnie to też trudne, *m'ijo*. – Machnęła ręką nad głową. – Też

mnie to boli, ale mam wiarę w Kościół. Bóg się o nas zatroszczy. Musisz w to wierzyć, *m'ijo*.

– Ja pierdolę. – Rozszlochałem się. – Mark...

Elena szła już do mnie po schodach, ale w tym momencie w kuchennych drzwiach pojawiła się mama.

– Co tu się dzieje?! – krzyknęła i podbiegła do nas. – Elena? Co to ma znaczyć? – Zauważyła, że płaczę. Potrząsnęła głową z dezaprobatą. – Starczy już tego. Uspokój się, Aidan. Elena odchodzi. Nie jest twoją matką. Chryste Panie, to tylko twoja niańka. Weź się w garść.

– Musimy porozmawiać – powiedziałem, lecz nie ruszyłem się z miejsca. Opierałem się wciąż o poręcz.

– Aidanie Donovanie, opamiętaj się natychmiast. Organizuję dzisiaj pierwsze przyjęcie i muszę wszystkiego dopilnować. Nikt nie będzie czekał, aż łaskawie dorośniesz. – Zwróciła się do Eleny. – Dosyć scen, i tak się przez ciebie spóźnię. Wszystko spakowałaś? – Latynoska kiwnęła głową. – No to w drogę – poganiała ją mama. – Przykro mi, że rozstajemy się w taki sposób, ale to już przesada.

Elena zawahała się, ale jednak weszła po schodach jeszcze raz. Przytuliła mnie. Płakałem jej w ramię.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszała mnie. – Przepraszam cię. *Te quiero*¹⁸. Naprawdę. Przepraszam, *m'ijo*.

Matka znów na nią krzyknęła. Elena zeszła na dół, nie oglądając się za siebie. Minęła swoją byłą pracodawczynię bez słowa. Dopiero kiedy wsiadła do auta i odjechała, zdałem sobie sprawę, że nie powiedziałem jej niczego. Słowa utknęły mi w gardle niczym odłamki szkła. Nie pozwoliła, żebym je wypowiedział, a teraz już jej nie było.

Mama fuknęła na mnie, zanim zdążyłem się odezwać.

– Nie teraz – powstrzymała słowa wyciągniętą dłonią. – Muszę lecieć. Pogadamy wieczorem. – Wygrzebała klucze z torebki. – To tylko koktajl party, nie wrócę bardzo późno. Ale co się stało, to się nie odstanie, Aidan. Ona już nie wróci. Musisz się z tym pogodzić – powiedziała rozkazującym tonem. – Szykuj się do szkoły.

Zniknęła w garażu. Po chwili wyjechała z niego srebrnym lexusem Seniora. Nie zatrafiła nawet ani nie opuściła szyby. Wyprostowała koła i pomknęła tak szybko, jak przed chwilą Elena. Patrzyłem, jak tylne światła znikają za rogiem, i pomyślałem, że jak dla mnie mogłaby równie dobrze odjeżdżać do Brukseli.

Kiedy dotarłem do szkoły, byłem w stanie myśleć tylko o Marku. Jego szafka na korytarzu była tuż obok laboratorium. Zanim poszedłem na lekcję chemii, stałem tam przez chwilę. Przypomniało mi się, jak Mark czasem garbił się, szukając czegoś w schowku. Nie było go teraz w pobliżu, ale wyobraziłem sobie, jak opaloną dłonią przytrzymuje drzwi szafki. Drugą ręką mógłby przeczesywać swoje gęste loki, które natychmiast opadłyby na miejsce. Niemal słyszałem, jak nuci sobie coś pod nosem, ale postaci, którą widziałem, nie otaczała już aura pewności siebie, zwykle towarzysząca Markowi. Teraz był tym oszalałym, przestraszonym facetem, jakiego widziałem tamtej nocy. Tym, który usiłował się rozgrzać na zimnym dachu i wpatrywał się we mnie z błaganiem w oczach. Był chory ze strachu. Rozumiałem go. Znałem ten stan i musiałem mu o tym powiedzieć.

Rozglądałem się za Markiem przez cały dzień, ale kolejny raz nie zjawił się w szkole. Trzy dni wagarów oznaczały nieuniknione konsekwencje. Josie też nie przyszła na lekcje. Bolał mnie żołądek i nie było na to żadnego lekarstwa. Czulem, że mój brzuch jest pusty i zgniły w środku.

Niczym nie mógłbym go napelnić. Mogłem do woli chleptać wodę z kranu. Bezskutecznie. Kiedy szedłem, nie czułem, że się poruszam. Wydawało mi się raczej, że to świat przesuwa się wokół mnie. Nie potrafiłem podjąć żadnej decyzji. Zadzwoił dzwonek. Do laboratorium weszła nauczycielka i kazała wyciągnąć książki. Uczępiłem się tego polecenia. Moja dłoń zastygła w gotowości między kartkami podręcznika. Siedziałem i czekałem, aż coś wreszcie zgniecie mnie w pył.

Na zewnątrz zaczął padać śnieg. Grube płatki szybko zakleiły okna. Opadałem coraz niżej na krześle, gapiąc się na szereg próbek i kulki tworzące model cząsteczki, który leżał na laboratoryjnym stole. Bałem się odezwać albo nawiązać z kimkolwiek kontakt wzrokowy. Bałem się tego, co będę musiał powiedzieć przyjaciółom, jeśli ich spotkam, i tego, co obudzą do życia moje wyznania. W kościele, kiedy podchodzimy do konfesjonału, nasze wyszeptane słowa wędrują w górę niczym powietrze wciągane do płuc Boga. Przynajmniej tak kiedyś mnie uczono. Wierzyłem, że wszelkie postęпки przepadają w bezmiarze wieczności, a naszym zadaniem jest dostrzegać większy plan stojący za wszystkim – że trzeba szanować go i milczeć, pozostając w cieniu. Teraz nie mogłem już udawać, że w to wszystko wierzę.

Myślałem o parafii Najdroższej Krwi i wszystkich poprzednich wspólnotach, gdzie pracował ksiądz Greg. Przemieszczał się z miasta do miasta jak zaraza niedostrzegalna dla większości mieszkańców. Chętnie bywał w towarzystwie, torując sobie drogę od rodziny do rodziny uściskami ręki i poklepywaniem po plecach. Aż w końcu przyszła moja kolej, żebym poczuł jego smrodliwy szept, który udawał Słowo Boże. Ksiądz zainfekował mnie, zaraza miała się rozwijać w moim ciele już do końca życia. Nie mógłby skrzywdzić mnie bardziej. Chciałem przynajmniej dostać szansę, żeby powiedzieć mu, że już się nie boję. Pragnąłem, żeby poczuł na twarzy swój własny smrodliwy oddech, żeby on i wszyscy podli starcy w rodzaju księdza Dooleya, którzy pozwalali zarazie infekować kolejne domy, mogli doświadczyć bólu, jaki nam zadali. Nie reprezentowali Boga, a wyłącznie swoją ludzką naturę. Nie mogli wiecznie kryć się za parawanem metafor. Srać na nadzieję i srać na rozpacz. Żyjemy w świecie, gdzie liczą się przyczyny i skutki. Czego oni dokonali? Kiedy wychodziłem z laboratorium, wiedziałem, że inni patrzą się na mnie. Na korytarzu najchętniej wyrwałbym drzwi szafki z zawiasów i rozwalil nimi coś. Może i tak bym zrobił, gdybym przy schowku Marka nie spotkał Sophie. Opierała się o skrytkę, chowając twarz w dłoniach. Przestraszyła się, kiedy ją zawołałem. Cofnąłem się, widząc jej reakcję. Pomyślałem, że Josie opowiedziała jej o swoich przejściach ze mną, i spodziewałem się, że na mój widok zacznie krzyczeć lub ucieknie. Zamiast tego jednak rzuciła mi się w ramiona. Przyłgnęła do mnie i nie chciała puścić.

– Słyszałeś, co stało się z Markiem? – zapytała. Obejmując ją, zastanawiałem się, jak przekazać to, co wiem, ale nic z siebie nie wydusiłem. – Jest w szpitalu – powiedziała. – Wpadł wczoraj do rzeki koło pola golfowego. Ciągle się nie obudził.

– Spadł z mostu?

O nic więcej już nie zapytałem. Staliśmy nieruchomo. Sophie cicho płakała, opowiadając mi, czego jej tata dowiedział się wczoraj w szpitalu. Mark zapadł w śpiączkę z powodu urazu i wychłodzenia. Miał szczęście, że ktoś go zauważył i został szybko wyciągnięty z wody. Zabrzmiął dzwonek na lekcję.

– Josie wie? – zapytałem w końcu.

– Nie. Nie mogę się do niej od wczoraj dodzwonić. – Sophie odsunęła się teraz ode mnie. – O co w tym wszystkim chodzi? – Patrzyła mi w oczy. – Nie rozumiem, dlaczego miałyby to zrobić?

Jaki cholerny powód mógłby mieć? Co było nie tak? Może mogłam mu jakoś pomóc?

Pani Richards wyszła do nas z laboratorium.

– Halo! Sophie, Aidan. Co wy tu robicie? Wracajcie do klasy.

Sophie pokręciła głową.

– Dobrze, że tata mi wszystko powiedział, ale chyba tu nie wytrzymam – zwróciła się do mnie. – Pójdę już do domu. Nie ogarniam tego. Po prostu nic nie rozumiem.

– Hej! Nie słyszeliście, co mówię? – krzyknęła nauczycielka. – Mam wezwać pana Berne'a?

Przed oczami miałem teraz obraz Marka na dachu. Słyszałem, jak krzyczy, a potem mówi mi, że już nigdy się nie wyzwoli. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, co ma na myśli. Teraz, stojąc obok jego szafki, zastanawiałem się, ile razy musiał wpatrywać się w nią i zastanawiać, czy powiedzieć komuś o tym, co zaszło między nim a księdzem Gregiem.

Walnąłem w metal pięścią. Pani Richards znów coś krzyknęła, ale nie zwracałem na nią uwagi.

– Ja już nie mogę! – wrzasnąłem. Sophie spojrzała na mnie przerażona. – Nie mogę!

Uciekłem. Pędziłem korytarzem, zbiegłem schodami aż na parter. Wypadłem przez drzwi prosto w lecący z nieba śnieg.

Ksiądz Greg musiał teraz dowiedzieć się o moich zamiarach. Nie chciałem, żeby po prostu przeczytał o nich w gazetach. Pragnąłem oznajmić mu to osobiście. Parafialny parking był pusty, nie licząc lincolna, pokrytego już warstewką śniegu. Kościół był ciemny. Dostrzegłem tylko dwa światelka tłące się na plebanii. Dobrnąłem do jej bocznych drzwi. Zostawiałem za sobą śnieżny rów. Drzwi były zamknięte, więc waliłem w nie pięścią tak głośno, jak potrafiłem. Uderzałem wciąż mocniej i mocniej, aż w końcu usłyszałem skrzyp metalowej zasuwki po drugiej stronie. Skrzydło poruszyło się. W progu stał ksiądz Dooley, osłaniając się przed zimnym wiatrem wpadającym do wnętrza. Przytrzymał sobie kołnierz szlafroka pod szyją. W tej samej ręce trzymał laskę, która teraz była przyciśnięta do jego piersi. Duchowny opierał się o drzwi. Wiatr rozwiewał jego cienkie włosy.

Garbił się bardziej niż zwykle. Zimne podmuchy poruszały też szlafrokiem. Flanela łopotąła mu wokół nóg. Pod spodem miał swoje zwykłe ubranie. Pomyślałem, że właśnie zerwał się dla mnie z fotela, może nawet przed chwilą drzemał.

– Wejdz do środka, zanim ten wiatr mnie przewróci – odezwał się do mnie.

Zatrzasnął drzwi i spróbował złapać oddech.

– Zaskoczyłeś mnie swoją wizytą. – Stał dalej przy wejściu, jakby spodziewał się, że za chwilę będzie mnie stąd wypuszczał. Odzyskał pewność siebie. – Rzecz jasna, drzwi są tu zawsze dla ciebie otwarte – powiedział. – Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę. Sprawileś mi miłą niespodziankę.

Przytknąłem ręce w skórzanych rękawiczkach do ust i dmuchałem w nie, poruszając palcami. Miałem nadzieję, że choć trochę rozgrzeję palce. Ksiądz zachwiał się i w końcu podparł się laską, puszczając materiał szlafroka. Poły rozsunęły się, ukazując wyleniały sweter i wełniane spodnie, w których niknęły patykowate nogi. Przeszedłem przez korytarz i zatrzymałem się dopiero przy poręczy schodów prowadzących do piwnicy. Przez okna wpadało niewiele światła, słońce było przyćmione przez śnieżycę. Większość lamp w środku wygaszono. Jasność sączyła się tylko z biura księdza Dooleya i z pomieszczenia szkołki niedzielnej na drugim końcu plebanii. Poniżej, w bardzo słabo oświetlonym wnętrzu, mogłem dostrzec szary prostokąt półpiętra. Za zakrętem schodów wszystko tonęło w mroku, ale pomimo to łatwo mi przyszło

wyobrazić sobie palec księdza Grega przyzywający mnie z ciemności.

– Nie wyglądasz za dobrze – powiedział Dooley, przerywając milczenie.

Stanął w drzwiach prowadzących do głównego holu. Przesłonił teraz sobą światło sączące się z gabinetu. Patrzył w podłogę. Jego głos był łagodny i pełen troski, a przynajmniej taki miał się wydawać. Uderzył w nutę współczucia.

– Dobrze się czujesz? Może chcesz filiżankę herbaty? Niedawno zaparzyłem cały dzbanek. Sporo zostało. Chodźmy do środka.

– Nie. – Chwyciłem się poręczy.

– Porozmawiajmy, proszę. Cieszę się, że tu jesteś. Rozmowa dobrze nam robi. Chodźmy do gabinetu.

– Nie.

– Daj odpocząć starym kościom, Aidan. Chodź. – Uśmiechnął się, ale uśmiech po chwili zgasł.

– Chodź ze mną do biura – ciągnął dalej. – Tak będzie najlepiej.

– Nie! – Trząśłem się cały. Gapiłem się w dół schodów, nie mogąc dostrzec na ścianie znajomych zarysów lamp.

Słyszałem, jak za moimi plecami dyszy Dooley. Westchnął głęboko.

– Przyszedłeś tu z jakiegoś konkretnego powodu, Aidan? Chcę ci pomóc. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale to prawda.

– Nie zabawię tu długo – powiedziałem z wysiłkiem. – Proszę przyprowadzić tu ojca Grega. Chcę, żeby coś usłyszał. Nie będę więcej milczał. Nie potrafię.

– Aidan... – Słyszałem ten ton już zbyt wiele razy. – Proszę cię. Powinniśmy to omówić.

– Właśnie zamierzam mówić.

– Nie ma się czego obawiać – mówił wolno ksiądz. – Nic ci już nie grozi. Musimy mieć na uwadze przyszłość.

– Przyprowadź ojca Grega! – wrzasnąłem. – Powiem mu to w twarz!

Ksiądz Dooley próbował się wyprostować. Trzymając laskę w obu rękach, przysunął się bliżej mnie.

– Proszę – próbował mnie uciszyć. – Chodź ze mną do gabinetu, Aidan.

Za każdym razem, kiedy wypowiadał moje imię, słyszałem głos księdza Grega – zimne szepty, złamane obietnice, rozległą sieć kłamstw. Uderzyłem pięścią w poręcz.

– To już koniec. Przyprowadź go. Powiem mu, co mi zrobił. Musi to usłyszeć. To jego wina.

– Koniec? Aidan, zdobądź się na szersze spojrzenie. Pomyśl o tradycji. O Kościele. O nowych szkołach. O dzieciach.

– A co ze mną?

Zbliżył się jeszcze o krok.

– Uspokój się, Aidan, ojca Grega już nie ma. Nie wróci tu więcej. Został przeniesiony. Wyjechał do Kanady, Aidan. Uspokój się, bardzo cię proszę. Możemy porozmawiać. Już dobrze, Aidan. – Położył mi rękę na ramieniu.

Wzdrygnąłem się.

– Do Kanady? Tam go posłałeś?

– Został przeniesiony. Potem trafi do Afryki. – Uśmiechnął się. – Mówiłem ci, Aidan, że o ciebie zadbam. Mówiłem, że mam cię na uwadze. Uspokój się już. Pomyśl o pracy, jaką tu wykonał. O tym, co zdołałście osiągnąć razem. To tyle dobra, Aidan. Dlaczego mamy je burzyć?

– Musi mnie wysłuchać. Muszę mu powiedzieć. To on to wszystko zrobił. To jego wina. Nie

chcę już nikogo krzywdzić! – krzychałem.

– Aidan, sam chciałeś, żebym zadbał o to, byś więcej nie musiał go oglądać. Rozumiem cię. Porozmawiajmy we dwóch. Tak będzie dobrze. Jestem tu, żeby ci pomóc.

Jego głos był słaby, ale im dłużej go słuchałem, tym mocniej czułem, jak obręcz zaciska się wokół mojego gardła.

– Puść mnie – powiedziałem.

Natychmiast zrobił krok w tył. Potarł dłonią o brodę. Jego ręce drżały.

– Aidan. Spójrz na to w inny sposób. Pamiętasz, jak święty Franciszek odbudował swój kościół? Mówimy tu o miłości, która przychodzi z niebios. O boskiej miłości. Miejmy ją w centrum uwagi. Ona przerasta wszystkie ludzkie niedoskonałości. Warto ją chronić, Aidan. Jest potężniejsza od nas. – Odszedł w stronę głównego holu.

– W kółko o tym gadacie! – wołałem za nim. – Wszyscy. Miłość? – Zerknąłem w głąb klatki schodowej i znów spojrzałem na księdza. – Miłość?! – wrzeszcząc, trząsałem poręczą. – Rzygać mi się chce od kłamstw. Nie będę więcej kłamał. Nie wiem, jak wy to potraficie.

Obrócił się do mnie, stojąc w drzwiach.

– Nie krzycz na mnie, Aidan. Nie widzisz, w jakim jestem położeniu? Co mam niby zrobić? Wierzę w ten Kościół. Wierzę w Kościół katolicki. On jest potężniejszy niż ty, ja czy ojciec Greg. Obejmuje wszystkich. Służę mu, Aidan. Wierzę w miłosierdzie. Wierzę w miłość. Wierzę w Kościół. – Oparł się o framugę i potrząsnął laską w powietrzu. W jego oczach były łzy. – Uwierz mi – powiedział. – Proszę.

Zbliżyłem się do niego. Chciał mnie uciszyć gestem, ale nie zwracałem na to uwagi.

– Wiesz, ile razy ojciec Greg mi to powtarzał? – podniosłem głos. – Jakie granice sobie wyznaczyliście? Dlaczego to mnie trzeba spisać na straty?

– Nie patrz na to w ten sposób.

– Jak ty to możesz znosić? Krzyk nie ciśnie ci się na usta?

Stał sztywno, jakby każdy mięsień jego ciała stężał, uniemożliwiając mu wszelki ruch.

– Istnieją konsekwencje, Aidan. Musisz to zrozumieć. Proszę. Pomyśl o innych wplątanych w tę sprawę. Pomyśl o innych ludziach.

– Myślę! – Trzasnąłem ręką we framugę. – Nie chodzi tylko o mnie. Chodzi mi właśnie o innych.

– Prasa zbyt rozdmuchała sprawę. Nie pozwól, by mąciła ci w głowie.

Wyciągnął do mnie rękę, ale odepchnąłem ją gwałtownie. Cofnął się.

– Nie mąci.

– Aidan, nie dołączaj do tej nagonki. Pomyśl tylko. Wiesz, że ojciec Greg jest dobrym człowiekiem. Opamiętaj się – powiedziawszy to, umilkł. Cofnął się w głąb holu, w mrok rozpościerający się pomiędzy mną a jego biurem. – Przerażasz mnie, Aidan – mówił, cofając się. – Jestem tylko starszym człowiekiem i nie zasłużyłem sobie na twoje groźby. Nie zmuszaj mnie, bym wezwał policję.

– Do mnie?! – wrzasnąłem. – A co powiedzą policjanci na moje rewelacje?

– Nie możesz mi grozić, Aidan. To nie w porządku. Nie ty pierwszy próbujesz. Policja już o tym wie. Dostaniesz zakaz zbliżania się do mnie. Proszę cię, nie rób tego. Zależy mi na tobie. Nie możesz zniszczyć wszystkich dookoła. Proszę. Przemyśl to. Pomyśl o innych ludziach.

Wskazałem na piwnicę.

– Byłem tam. Wszystko wiem. Poszedł tam z Jamesem, a ja tam byłem. Zszedł z nim na dół,

a ja tam siedziałem. – Walnąłem jeszcze raz we framugę, a ksiądz dalej cofał się w głąb holu. Szedłem za nim. – Mam myśleć o innych? Właśnie o nich myślę. O Jamesie i o Marku. O Marku Kowolskim, ty bandyto. Wiesz, co zrobił? Skoczył z mostu Stonebrook. Ojciec Greg ma się o tym dowiedzieć. – Ksiądz odwrócił się i uciekał do swojego biura. – Ty też miałeś to usłyszeć – powiedziałem, idąc za nim. – Wiedziałeś o każdym z nas. Wiedziałeś, co nam robił. – Złapałem go za koszulę i przyparłem do ściany tuż obok drzwi gabinetu. – Robił to. Wiesz, co z nami wyprawiał? Takie rzeczy.

Potrząsnąłem Dooleym i poczułem, jak jego żebra ocierają się o moją pięść. Trzasnąłem nim o mur. Szarpałem go i wrzeszczałem, myśląc o tym, jak ksiądz Greg przyszpilił Jamesa do ławeczki w podziemiach. Znów słyszałem świszczący oddech w moich uszach. „Sza! Sza!” Siła ramion nie zdawała się na nic wobec jego ciężaru. Słyszałem stłumione głosy. Szelest ubrań. Dusilem się. Przelykałem narastający we mnie ryk. „Sza. Sza”.

Pochylając się nad Dooleym, płakałem z twarzą wtuloną w ramię.

– Będę mówił – odezwałem się cicho. – Wszystko wyjdzie na jaw.

Ksiądz coś mamrotał. Słowa uwięzły mu w gardle. Nie bronił się. Cofnąłem się, kiedy doszło do mnie, że przygwoździłem go do ściany. Laska upadła mu na podłogę. Pokuśtykał przed siebie. Chwyciłem go i usadziłem na jednym z metalowych składanych krzeseł, jakie stały w pobliżu. Złapał się za głowę. Jego głuche zawodzenie niosło się po całym korytarzu.

– Wszystko powiem – ciągnąłem głośniejsze. – Byłeś bierny. Spróbuj zaprzeczyć. Powiedz, co dla nas zrobiłeś. No powiedz, potworze.

– Nie mogę – odparł. – Nie mogę.

Łzy napłynęły mi do oczu. Nie pamiętałem już, po co tu przyszedłem, ani nie wiedziałem, co robić dalej. Znajdowałem się w momencie pomiędzy nicością a nicością. Łamiący się głos księdza był jedynym punktem zaczepienia dla moich myśli. Dooley mówił coś, ale niczego nie rozumiałem. Nie byłem już w stanie słuchać jego wymówek. Gadanie starca odbijało się echem w mojej głowie, a ja nie odnajdowałem żadnego znaczenia w potoku słów. Bzdury i brednie oblepiały mnie niczym grudy śniegu. Czuję, jakby zaciskała się wokół mnie wilgotna pięść. Nie pozostało już nic, czego mógłbym wysłuchać. Zostawiłem go oklapłego na krześle, mamroczącego swoje modlitwy.

Śnieg padał gęsto. Pokrył już trawniki, gałęzie i dachy domów. Tylko drzewa wystrzeliwały w górę z tej pustej martwoty. Biegłem długimi susami przez ogród, słuchając, jak świeży śnieg trzeszczy mi pod nogami. Za każdym postawieniem nogi słyszałem głośny chrobot i kilka razy oglądałem się przez ramię, myśląc, że ktoś mnie śledzi. Nie zatrzymywałem się. Parłem przed siebie. Poprzedzała mnie chmurka mojego oddechu zawisająca pośród padającego śniegu. Kiedy dotarłem do pola golfowego Stonebrook, specjalnie nadłożyłem drogi, byleby ominąć most. Nie mógłbym na niego patrzeć. W okolicy czwartego dołka zobaczyłem, jak jakieś ciemne zwierzątko utorowało sobie własną ścieżkę przez białą teraz łachę piasku. Stworzenie obejrzało się w moją stronę i dalej brnęło przez pole.

Był już wieczór, kiedy dotarłem do dzielnicy Marka. Skręciłem w jego ulicę i odnalazłem dom. Podwórze było puste, a dom tonął w ciemnościach. Czuję mocne uderzenia pulsu w karku i w nadgarstkach. Nie mogłem ich opanować. Stałem na ulicy dłużej czas, pozwalając, żeby śnieg oblepiał mi twarz. Skóra szczypała mnie, kiedy płatki topniały. W końcu zebrałem się na odwagę, by podejść do drzwi i zadzwonić. Nie było odpowiedzi. Spróbowałem ponownie, a potem jeszcze raz. Bez skutku. Obszedłem dom i stanąłem przed kuchennym wejściem,

którym taszczyłem Marka do domu w Nowy Rok. Zaglądnąłem do wnętrza. Pod ławą stał równy szereg butów. Poszedłem dalej wzdłuż ściany, by zajrzeć do kuchni. Nad piecem tliło się małe światełko. Był to jedyny blask w całym domu – niebieskawobiała poświata zegara na piekarniku oświetlała całą kuchnię. Pomieszczenie było nieskazitelne, nieludzko uporządkowane i czyste.

– Przepraszam – rzuciłem w stronę pustego domu.

Na którymś z podwórek zaszczekał niskim głosem pies. Szczekanie niosło się przez okolicę, powoli zamierając. Głos rozchodzący się w ciemności cichł i ginał po drodze. Najwyraźniej wszystko na świecie czekała podobna kolej losu. Walnąłem w ścianę domu Marka. Kopnąłem drzwi.

– Proszę – powiedziałem. – Jestem tutaj. Przyszedłem!

Śnieżycą przyćmiła światła w oddali. Podwórko Kowolskich było ciemne, a poza nim rozciągał się jeszcze głębszy mrok. Miałem wrażenie, że jestem zupełnie sam. To samo uczucie towarzyszyło mi w podziemiach plebanii, kiedy ksiądz Greg po raz pierwszy skłonił mnie, żebym poszedł z nim w ciemności. To samo musieli czuć Mark i James, i wielu, wielu innych – całe zastępy chłopaków zstępujących do piwnicy i pragnących wierzyć. Jak mogli nie stracić rozeznania w tym świecie? Każdy z nich przeobrażał się w szare, zimne, roztrzęsione ciało terroryzowane miłością, bezpieczeństwem i wiarą. Musiałem komuś o tym powiedzieć. Musiałem wyrzucić z siebie całą tę historię. Mark zasługiwał na to, żeby usłyszeć ją jako pierwszy, ale ja nie mogłem już dłużej czekać. Pobiegłem pod dom Josie.

Przed podjazdem śnieżne zasy pyły gromadziły się wokół drzewa, w którym kiedyś ukazało się nasze odbicie. Dotarłem do śnieżnej kopy i zostawiłem w niej odcisk dłoni. O poranku powinien skuć go mróz, mój ślad miał pozostać tu jako symbol życia niczym jaskiniowy malunek.

Rodzice Josie byli na tym samym przyjęciu co moja matka, więc obawiałem się tylko, że dostrzeże mnie Ruby. Na szczęście nie zauważyła, jak nadchodziłem. Obszedłem cały dom. Zobaczyłem Josie siedzącą przy kuchennym stole. Odrabiała zadanie domowe. Kiedy zapukałem delikatnie w okno, wystraszyła się i w pierwszej chwili myślałem, że zawoła Ruby. Niepotrzebnie jednak się obawiałem. Gdy mnie rozpoznała, opanowała się. Gestem wskazała tylne drzwi. Otworzyła je i objęła się ramionami. Miała na sobie te same spodnie od dresu, w których widziałem ją po raz ostatni. Oczy wyrażały tę samą troskę.

– Przepraszam – odezwałem się. – Masz rację. Potrzebuję pomocy. Twojej pomocy.

Nie wydusiłem z siebie nic więcej. Moja broda się trzęsła. Odwróciłem się, spoglądając w stronę domku nad basenem. W oczach miałem łzy. Josie wyszła na mróz i objęła mnie. To wystarczyło. W jaki sposób ten prosty gest dodał mi tyle pewności siebie? Jakim cudem dał mi odwagę, by powiedzieć: „Zaraz opowiem ci historię, która może zabołeć”? Co i jak musiało wreszcie we mnie zaskoczyć?

Josie otrzepała śnieg z moich ramion i pleców. Cicho i szybko przemyciła mnie do swojej sypialni na piętrze. Podobnie jak ja miała w swoim pokoju fotel pod oknem. Pozwoliła mi w nim usiąść, a sama zbiegła na dół, by wszystko uprzątnąć. „Uwierz mi” – brzmiały moje ostatnie słowa przy poprzednim spotkaniu. Właśnie tego wówczas pragnąłem, ale teraz nie powtórzyłbym już tych słów. Słyszałem, jak wypowiadał je ksiądz Greg. Powtarzał: „Miłość, miłość, miłość, uwierz mi, Aidan – to właśnie jest miłość”. Teraz moje pragnienia były inne. Josie miała rację, a mnie już pozostało wyłącznie mówienie prawdy.

Kiedy wróciła, zamknęła drzwi na zamek.

– Powiedziałam Ruby dobranoc – oznajmiła mi. – Rodzice nie przyjdą już się ze mną przywitać, lecz trzeba być cicho. Ruby wciąż może kręcić się w pobliżu.

– W porządku – powiedziałem. – Ale i tak muszę mówić.

Przytuliła mnie i w geście tym nie było nic erotycznego. Każdy z nas powinien znaleźć się w takich objęciach chociaż raz. Zrobiła to, abym poczuł, że nie jestem sam. Darowała mi ludzkie przebaczenie win.

Jej bliskość dawała mi siłę. Wreszcie zacząłem opowiadać. Siedziałem koło niej na łóżku. W głowie mi się kręciło i trząsałem się. Uspokajał mnie jednak jej głos. Zadawała pytania, które nie bolały. Pomagały tylko wydobyć na powierzchnię to, co i tak musiałem powiedzieć. Trzymała mnie za rękę, kiedy mówiłem. Wyznałem wszystko.

Minęły całe godziny. Słyszeliśmy, jak wrócili rodzice Josie. Wiedziałem, że chociaż moja mama na pewno zostanie do końca przyjęcia, i tak wkrótce będzie w domu. Zadzwoiłem do niej i zostawiłem wiadomość. Powiedziałem, że jestem u Josie, na wypadek gdyby pomyślała, że znów uciekłem do Eleny. Poza tym i tak trzeba jej było dać znać – wkrótce miała usłyszeć całą historię, którą opowiadałem teraz. Próbowałem też sobie wyobrazić, jak o wszystkim dowie się Senior. Czy powiem mu to przez telefon, czy może nachylając się nad stolikiem w jakiejś restauracji na Manhattanie, kiedy tata wpadnie do Nowego Jorku w interesach? Chciałem powiedzieć rodzicom: „Bałem się. I wciąż się boję, więc mnie wysłuchajcie”.

– Nie chcę wracać do domu – odezwał się do Josie.

– Wcale nie musisz. Możesz zostać tutaj.

Zadzwoiłem do mamy i zostawiłem następną wiadomość na sekretarce. Dałem znać, żeby nie dzwoniła do Josie, bo jej rodzice nie wiedzą, że przyszedłem. Obiecałem, że wszystko wyjaśnię.

– Jestem tu bezpieczny – zapewniłem. – Nic mi nie jest.

Josie obserwowała mnie, kiedy się nagrywałem. Odłożyłem słuchawkę, a ona wstała i przytuliła mnie jeszcze raz. Kopnięciem zrzuciła pantofle i weszła pod kołdrę.

– Wskakuj – powiedziała. Gdy do niej dołączyłem, zgasiła światło i umościła się obok mnie. Nie rozmawialiśmy już, ale po chwili sięgnęła po moją dłoń.

– To wszystko moja wina – zacząłem. – Mark...

– Nieprawda.

Moje oczy przyzwyczyły się w końcu do ciemności i rozpoznawałem już sylwetki gwiazd na ściennych plakatach oraz zarysy mebli. Z głębi domu nie dochodził żaden dźwięk. Josie tuliła się do mnie z tyłu, jej ręka obejmowała moją pierś. Oddech ogrzewał moje plecy. Jego rytm zwalniał i w końcu zasnęła, a ja byłem teraz dość spokojny, by pójść w jej ślady.

Kiedy rano zadzwonił budzik, powoli wysunęliśmy się z objęć. Wstałem z łóżka i próbowałem doprowadzić pomięte spodnie do porządku. Josie włączyła telewizor i zabrała się do porannych przygotowań.

– Nie martw się, rano nikt mnie nie będzie niepokoił – powiedziała. Zejdziemy po schodach i wyjdziemy od frontu, kiedy wszyscy będą w kuchni. Uda się. Będzie dobrze.

Chmury zdążyły już się rozwiać. Usiadłem w fotelu, a słońce grzało mnie w plecy. Przez drzwi łazienki słyszałem, jak Josie nuci pod prysznicem. Miała w sobie mnóstwo energii. Jej pogodność nie wynikała z tego, że była wiecznie szczęśliwa, ale raczej ze zrozumienia świata i chęci niesienia pomocy. Napędzała ją troska. Podziwiałem ją i dziwiłem się, że tak niewiele dostrzegałem do tej pory. Zakręciła wodę i otworzyła drzwi łazienki. Do pokoju buchnęły kłęby pary. Owinęła się fioletowym ręcznikiem, a na głowie miała zawiązany turban. Uśmiechnęła się do mnie i wróciła do swoich zajęć. Unosiła się na palcach, kiedy szcztokowała zęby. Szybkie muśnięcia policzków przy nakładaniu makijażu były naturalną częścią jej radosnej krzątaniny.

Miałem ochotę podać jej kawę i jajecznicę. Chciałem móc poprawić węzeł krawata, pocałować ją w brew i życzyć miłego dnia. Poszedłem do łazienki, żeby mogła przebrać się w pokoju. Myślałem o tym, jak to jest zbudować prawdziwą rodzinę. Seks zszedł na dalszy plan – to mogło poczekać. Wszystko, czego chciałem, to przyjaźń. W niej tkwiła prawdziwa wolność. To ona mogła dać nam poczucie bezpieczeństwa, pozwolić kochać i żyć bez maski.

Zastanawiałem się nad tym przy pospiesznej porannej toalecie. Umyłem tylko twarz i szyję oraz przetarłem zęby palcem unurzonym w paście. Kiedy Josie była pod prysznicem, obejrzałem poranne wiadomości. Prezenterzy terkotali bezustannie, wypluwając z siebie kolejne informacje. Upadek Enronu pociągnął za sobą rządowe śledztwo, Pierwsza Dama prowadziła kampanię poświęconą bezpieczeństwu dzieci skierowaną do rodziców i nauczycieli, nowy system ostrzegania o zagrożeniu terrorystycznym był wychwalany w Kongresie, a dzień wcześniej burmistrz Nowego Jorku zaczął wydawać bezpłatne bilety, by jakoś zapanować nad tłumami cisnącymi się na Ground Zero. Czulem się, jakbym zawdzięczał życie drobnemu gestowi Josie, w którym wykazała się odwagą i dobrocią. Ona też zasługiwała na nagłówek w prasie, ale takie historie nie trafiają do gazet ani telewizji.

Zawołała mnie, żebym szybko przyszedł do pokoju. Teraz ona stała przed telewizorem. Miała na sobie szkolny mundurek, a do piersi przyciskała futrzany botek. Z ekranu telewizora patrzył na nas Mark. Rzuciłem się do ekranu. W wiadomościach pokazywali zdjęcie ze szkolnego albumu. Mark spoglądał z niego ze sceptycznym, pozbawionym radości uśmiechem. Kiedyś sądziłem, że to przejaw snobizmu, ale teraz wiedziałem, że tylko tak potrafił ukryć swój strach. W kolejnych ujęciach przedstawiano naszą szkołę, basen, szereg złotych medali. Prezenter oznajmił, że Mark był pod wpływem narkotyków. Przeszedł przez poręcz mostu i rzucił się do rzeki. Dowody znalezione w jego pokoju świadczyły o tym, że od dawna nadużywał substancji odurzających. Rodzice o niczym nie mieli pojęcia. Josie szlochała wtulona w moją pierś. Obejmując ją, patrzyłem w oczy Marka – na ekranie znów pojawiła się jego fotografia. Żałowałem, że nie było mnie wtedy na moście – mógłbym złapać go jeszcze raz. W serwisie lokalnym próba samobójcza Marka była tematem dnia. Tuliłem do siebie płaczącą Josie.

– To moja wina! – wybuchnąłem. Usiłowała zaprzeczać, ale powtórzyłem: – To moja wina.

– Przestań!

Za plecami Josie facet od pogody wprawiał w ruch chmury wędrujące wzdłuż wybrzeża i wypychał je na Atlantyk. Nie było więcej informacji o Marku. Dalej obejmowaliśmy się przed telewizorem.

– Nie znają wszystkich faktów – powiedziałem. – Sama o tym wiesz.

W mojej głowie znów odbijało się echem słowo „nadużycie”. Dziennikarze posługiwali się nim tak, jakby Mark był bez winy i narkotyki również. Winne było jedynie „nadużycie”. Nikt nie pytał, dlaczego Mark brał. Pozwalali, żeby słowo wybrzmiało, i nie drążyli dalej. Zupełnie tak, jakby Mark postanowił sobie któregoś dnia, że „nadużyje”, i na tym polegał cały problem. Nikt nie sięgał głębiej, by dostrzec, co działo się w jego głowie.

– Muszę go odwiedzić – zdecydowałem. – Boję się, ale muszę.

– Idę z tobą – powiedziała Josie. – Nie musisz być przecież sam.

Zadzwoiłem po samochód. Miał czekać na ulicy przed domem. Kiedy przyjechał, przemknęliśmy po schodach i nie niepokojeni wyszliśmy przez frontowe drzwi – tak jak zapowiadała Josie. Mieliśmy na sobie szkolne mundurki, ale kazaliśmy kierowcy jechać do szpitala, mając nadzieję, że Mark wciąż tam leży i nigdzie go nie przeniesiono. Mieliśmy

szczęście. Leżał w sali na drugim piętrze, ale później tego dnia mieli go zawieźć do New Haven. Josie zagadnęła pielęgniarkę za biurkiem, czy rodzice Marka są teraz u niego. Nie przyszło mi na myśl takie pytanie, ale kiedy usłyszeliśmy, że jeszcze nie przyszli, przepełniła mnie ulga. Spotkanie z nimi wolałem odłożyć na później. Teraz pragnąłem zobaczyć Marka. Złapaliśmy się z Josie za ręce. Pielęgniarka zaproponowała, że pokaże nam drogę. Byłem lekko oszołomiony. Winda jechała w górę przez całą wieczność. Białe światło jarzeniówek w korytarzach sprawiało, że czułem się obnażony i brudny. Kiedy pielęgniarka doprowadziła nas na miejsce i poszła, ucieszyłem się, że światło w małej salce Marka jest przyćmione.

Obok łóżka stało krzeselko, ale ani Josie, ani ja nie usiedliśmy na nim. Pokój wypełniała maszyna utrzymująca Marka przy życiu. Wszędzie wiły się przewody, rurki kroplówek i kable. Staliśmy ramię w ramię, a Josie chwyciła mnie mocno za rękę. Mark wychudł i pobladł. Policzki zapadły mu się. Wyglądał jak duch. Podparto go, by spoczywał w pozycji półsiedzącej. Miał zamknięte oczy. Gdyby nie sterujące z nosa i gardła rurki, można by było pomyśleć, że śpi, choć aparatura tak wykrzywiła jego twarz, że sen zdawał się dość koszmarny. To już nie był ten Mark, który odpłynął łagodnie na siedzeniu obok mnie w Nowy Rok. Wtedy mogłem usłyszeć jego ostatni wydech, zanim zapadł w sen – jego głowa skłaniała się ku mnie, a na ustach błąkał się uśmiech. Teraz ledwo mogłem na niego patrzeć. Był tylko skorupą, cielesnym więzieniem mojego przyjaciela. Sam przyjaciel znajdował się w cichym piekle.

Josie poczuła, że chce odejść, i przytrzymała mnie przy łóżku. Drugą dłoń wyciągnęła do Marka. Jego ręka spoczywała na kocu. Josie uściśnięła mu palce. Dzięki niej znów stanowiliśmy jedno. Spojrzała na mnie, a potem znów na Marka.

– Tęsknimy za tobą – powiedziała do niego.

Obróciła się do mnie z uśmiechem. Spojrzałem na przyjaciela.

– Przepraszam – wydukałem w końcu. Potem słowa wylewały się już ze mnie strumieniem. Opowiedziałem mu wszystko to, co zeszłego wieczoru usłyszała ode mnie Josie. Historię o księdzu Dooleym, Gregu, Jamesie, o nim i o mnie. – Nie jesteś sam – powtarzałem. – Chcę ci dać znać, że nie jesteś sam. Chcę powiedzieć to wszystkim.

Josie trzymała nas obu za ręce, kiedy mówiłem. Pomyślałem o tym, jak różni ludzie dawali mi rady, jakim człowiekiem powinienem być i kim mam się stać. Wśród radzących byli Senior, ksiądz Greg, nauczyciele, a nawet mama i Elena. Patrząc teraz na Josie, zastanawiałem się, dlaczego nie ujeli wszystkiego prościej: „Czy jesteś na miejscu, kiedy inni cię potrzebują? Czy to nie właśnie wtedy, kiedy dotarcie do kogoś wymaga nadludzkiego wysiłku, dowiadujemy się, co kryje nasza maska? Czy nie należy tak się obnażyć, żeby podtrzymać drugiego człowieka? A co z miłością? Czy możemy stworzyć sobie szansę, by pokochać po raz kolejny?”.

Nachyliłem się nad Markiem i pocałowałem go w czoło.

Podnosząc się, zauważyłem, że siostra, która przyprowadziła nas do sali, stoi w drzwiach i uśmiecha się.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Nie ma za co – odparła. – Rób swoje. – Uśmiechnęła się jeszcze raz i poszła dalej.

– Mark, powiem to wszystkim – obiecałem.

Zszedłem z Josie na parking przed szpitalem. Postanowiliśmy, że jako pierwsi dowiedzą się rodzice Marka, a potem pójdziemy rozgłaszać prawdę dalej. Josie powtarzała, że mi pomoże, że możemy wyruszyć w tę drogę razem i przekonamy się, dokąd nas zaprowadzi.

– Mówiłam ci, że mam postanowienie noworoczne. – Na jej twarzy pojawił się szeroki

uśmiech. – Jestem tutaj, obok ciebie.

Pobiegliśmy chodnikiem wzdłuż śnieżnych zasp na parkingu. Wypadliśmy na ulicę i przemknęliśmy przez centrum miasta. Biegliśmy obok pola golfowego i dotarliśmy w okolicy domu Marka. Nie biegłem już po przebaczenie, a Josie nie towarzyszyła mi dlatego, że mi przebaczyła. Na końcu drogi nie czekał nas spokój. Nie zwalnialiśmy przez całe miasto. Biegła ze mną sfera moich strachów.

Zatrzymaliśmy się, żeby złapać oddech, dopiero przed domem Marka. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak jest zimno. Gwałtowny wiatr, który wczoraj pędził ciężkie chmury, wciąż wiał przez miasto. Josie przytuliła się do mnie i tak miała minąć cała zima. Było kilka ciepłych ciał – obcy ludzie, których pragnąłem poznać lepiej, zanim odejdę ja albo oni. Podeszliśmy pod drzwi i nacisnąłem guzik dzwonka. Obcasy Barbary zastukały na parkiecie. Odsunęła kotarę i wpatrywała się we mnie, a na jej twarzy malowało się przerażenie. Kiedy otwierała drzwi, sięgnąłem po dłoń Josie, a ona odwzajemniła się uściskiem. Wtedy poczułem, że był to też uścisk Marka. Chociaż przetaczała się nad nami burza podniesionych głosów, Mark wyciągnął do mnie dłoń. Uczynił to raz i powtórzył znów. Ten prosty gest połączył nas, kiedy maszerowaliśmy razem w dziką, rozkrzyczaną przyszłość.

PODZIĘKOWANIA

Przed wszystkim należy wspomnieć, że podobne historie dotknęły prawdziwych dzieciaków i prawdziwych rodzin. Mam nadzieję, że ta książka będzie hołdem dla ich odwagi, godności i człowieczeństwa. Mówię zarówno o tych, którzy podzielili się już swoimi doświadczeniami, jak i o tych, którzy dotąd nie zdobyli się na odwagę, by opowiedzieć o krzywdach doznanych ze strony systemu wspierającego nadużycia.

Pisząc o pracy nad tą powieścią, chciałbym podziękować mojemu przyjacielowi i wspomniałemu agentowi Robowi Weisbachowi, który nigdy się nie poddaje. Jego pasja jest dla mnie źródłem inspiracji, a jego wizja i wskazówki pomogły mi przekuć ciąg wydarzeń w powieść. Dziękuję też Davidowi Groffowi, bez którego wsparcia, rad, uwag i troski książka ta nie znalazłaby innego odbiorcy niż on.

Bardzo cieszę się, że mogę przynależeć do rodziny wydawnictwa Margaret K. McElderry. Ogromne podziękowania należą się Justinowi Chandzie i całemu zespołowi literatury młodzieżowej z wydawnictwa Simon & Schuster: poczynając od redaktorów i korektorów, poprzez grafików i składaczy, aż po cudowną ekipę z marketingu i sprzedaży, która zawodowo nakłania ludzi do czytania. Wszystkich ich podziwiam i jestem im wdzięczny, że pracowali razem ze mną nad tą książką. Szczególnie pragnę podziękować nieustraszonej pani redaktor Rucie Rimas, której poprawki i uwagi znacznie się przysłużyły temu tekstowi. Jej zapałowi zawdzięczam, że historia Aidana ma szansę przebić się do ogólnej świadomości.

Dług wdzięczności mam także wobec Jonathana Rabba, przy którego stole kilku z nas zasiadało wiele lat temu. To dzięki jego warsztatom narodziła się ta fabuła. Dojrzewać przyszło jej już w innej stajni, dlatego jestem też wdzięczny piszącemu środowisku z The City College of New York. Dziękuję ekipie, która zarwała tak wiele (a i tak zbyt mało) nocy w Soundz & Dublin House, a także wszędzie indziej, by rozmawiać o książkach, naszych i cudzych. Za sprawą tych rozmów nie zapomniałem, czemu jeszcze cokolwiek nas porusza i dlaczego piszemy. Dziękuję Fredowi Reynoldsowi za wsparcie i za to, że był moim mentorem (a także za to, że zaprosił mnie do Archer City!). Pomógł mi on ustalić priorytety – pisarskie i inne. Wyrazy wdzięczności należą się Billowi Lippmanowi i Debbie Himmelfarb oraz ich rodzinom. Wszyscy oni od początku wierzyli w tę powieść. Ich wsparcie zaowocowało Nagrodą Doris Lippman i pozwoliło dotrzeć opowiedzianej tu historii do szerszej świadomości.

Jako pisarz nie zaistniałbym bez dwóch literackich matek: Linsey Abrams i Felicii Bonaparte. Wszystkie moje szkolne doświadczenia literackie orbitowały wokół ich myśli i filozofii. Na zawsze pozostanę im wdzięczny za obudzenie we mnie miłości do słowa pisanego.

Wreszcie, na końcu, choć miejsce to nie odzwierciedla temperatury uczuć, pragnę podziękować moim bliskim – klanowi Kielych, Shannonów i Chaffee. Są wśród nich Heide Lange i John Chaffee, którym codziennie jestem wdzięczny za to, że przyjęli mnie do rodziny, a swą wiedzą, literackim wyrobieniem, pomysłami i całym życiem ukształtowały różnymi sposobami tę powieść. Jest też rodzeństwo – Joshua, Niall i Trish – które podziwiam i pójdę za

nim wszędzie, a pomoc i zachęty z jego strony przeprowadziły mnie przez proces pisania. Podziękowania należą się mojemu bratu Tedowi. Jego zaraźliwy entuzjazm okazał się odnawialnym źródłem energii, które może służyć innym przez całe życie. Dziękuję mu też za to, że przypominał mi, jak ważna jest przygoda. Wiara, miłość, mądrość i promienny uśmiech mojej babci Jane stale były dla mnie gwiazdą przewodnią. Pragnę wreszcie wyrazić wdzięczność moim rodzicom: Maryanne i Tomowi, którzy nauczyli mnie, że w życiu liczy się ustalanie zasad, trzymanie się ich i posługiwanie się nimi, żeby bardziej kochać innych. To tata zawsze był prawdziwym pisarzem w naszej rodzinie i bez jego czerwonego pióra oraz niezmordowanej cierpliwości w życiu nie opanowałbym angielskiego.

Jessie – ta książka, podobnie jak wszystko inne w moim życiu, powstała dzięki tobie i dla ciebie. Jesteś kobietą, która każdego dnia daje mi inspirację, od której codziennie się uczę i dla której pracuję. Zawsze i na wszelkie sposoby będę cię kochał.

-
- ¹ Lek zawierający pochodne amfetaminy (przyp. tłum.).
 - ² *m'ijo* (hiszp.) – synku (ten i następne przypisy pochodzą od redakcji).
 - ³ *Ay, dios mio* (hiszp.) – Ach, Boże mój!
 - ⁴ *stand-up* (ang.) – występ rozrywkowy jednego artysty.
 - ⁵ Księga Psalmów, Psalm 31,4.17. Cytaty biblijne za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, wyd. 4, Wyd. Pallottinum, Poznań–Warszawa 1984.
 - ⁶ Ewangelia wg św. Mateusza 10,19.
 - ⁷ Ewangelia wg św. Mateusza 10,19.22.
 - ⁸ *Bienvenido al...* (hiszp.) – Witaj w...
 - ⁹ *Feliz Navidad* (hiszp.) – Szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia.
 - ¹⁰ *Gracias* (hiszp.) – Dziękuję.
 - ¹¹ *Lo siento* (hiszp.) – Przepraszam.
 - ¹² *lengua picante, lambi guisado* (hiszp.) – ozorki na ostro, gulasz z jagnięciny.
 - ¹³ *Tranquilo* (hiszp.) – Spokojnie.
 - ¹⁴ *En el nombre del Padre, del Hijo, y del Espíritu Santo...* (hiszp.) – W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego...
 - ¹⁵ *Mira, la pequeña maestra* (hiszp.) – Patrzcie, mała nauczycielka.
 - ¹⁶ Ewangelia wg św. Mateusza 28,20.
 - ¹⁷ Ewangelia wg św. Mateusza 25,35.
 - ¹⁸ *Te quiero* (hiszp.) – Kocham cię.